REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN

wSIECI

Nr 1 (68)
STYCZEŃ 2019
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

KRÓL SKANDALISTA

JAK HENRYK WALEZY ZOSTAŁ WYBRANY NA WŁADCĘ POLSKI

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

Dzieje Żydów polskich

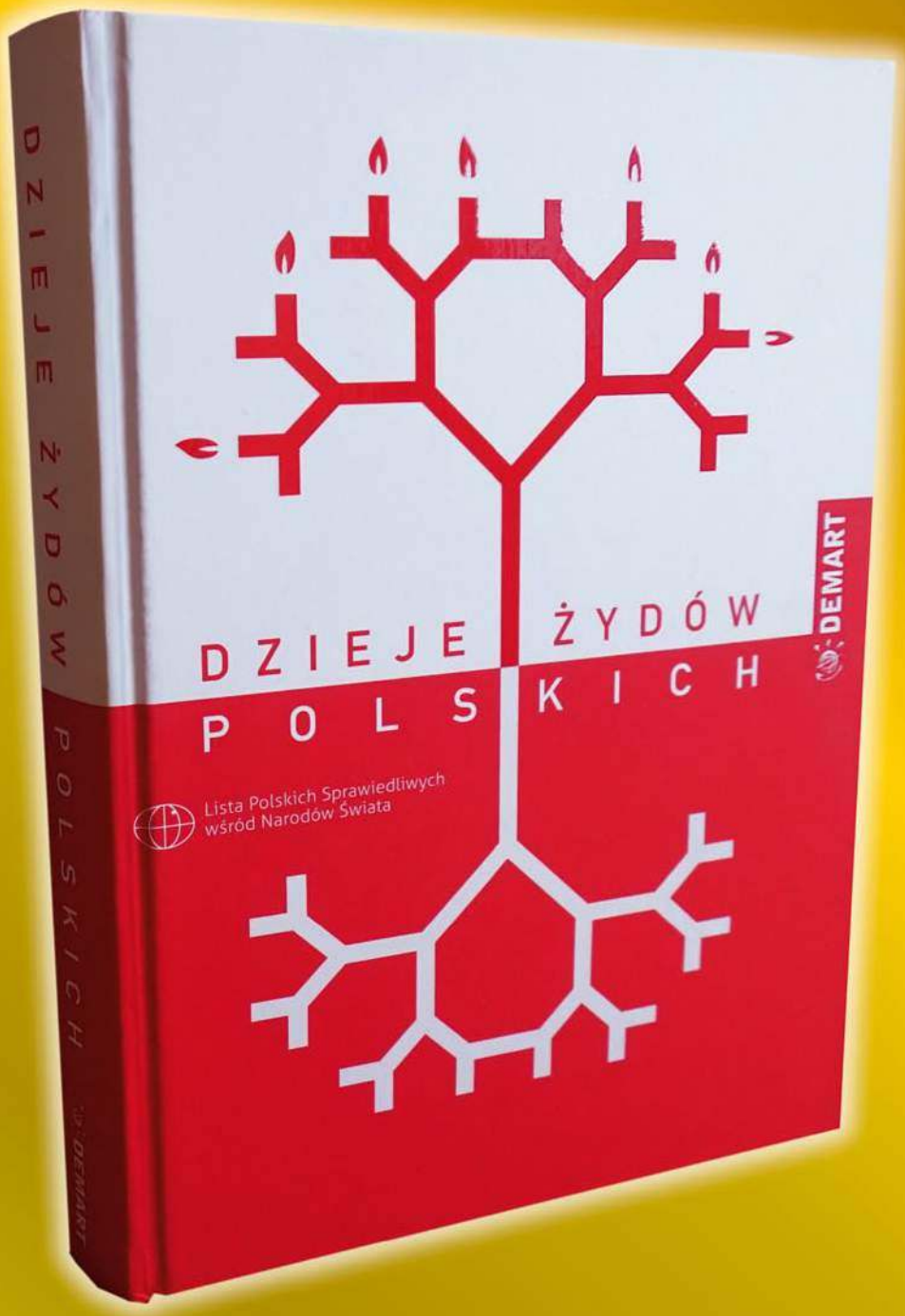

DEMART

+ Lista Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata

www.demart.com.pl

eprasa.pl c7862e56a9

„SZCZEKA MOCNO, ALE TEGO, CO TRZYMA W MORDCE, NIE WYPUSZCZA!"

Stosunki polsko-czeskie sięgające swymi początkami X w. mogą być opisane w perspektywie pamięci o św. Wojciechu i jego roli (szczególnie pośmiertnej) w utrwalaniu na terytorium piastowskim prawdziwej wiary, a mogą także być oceniane przez pryzmat kolejnych najazdów, począwszy od wyprawy Brzetysława zapewne z 1038 r. (lub 1039 r.), plądrującego Wielkopolskę i kradnącego relikwie pierwszego patrona Polski, a kończąc na niesławnym zajęciu Zaolzia najpierw podstępem zbrojnym w styczniu 1919 r., a następnie dyplomatycznym w lipcu 1920 r. Wydaje się jednak, że były one (cały czas te wzajemne stosunki) bardziej urozmaicone, a dziś nie muszą stanowić jakiejkolwiek przeszkody w budowaniu wspólnych planów politycznych w tej części Europy.

Tytułowy cytat pochodzi z dowcipu wypowiedzianego przez Romana Dmowskiego, który musiał przez dłuższy – niż jego organizm to wytrzymywał – czas uczestniczyć w pokazie sztuczek psich prezentowanych podczas obiadu przez przyszłego prezydenta Czechosłowacji Tomasza Masaryka. Jak wspominała Izabela z Lutosławskich-Wolikowska, „Pan Roman ani nie był zbytnim zwolennikiem Czechów, ani nie lubił tresowanych psów, więc te figle nie poprawiły jego humoru. Toteż powiada, powoli i z lekkim naciskiem: »Ot, sprytna ta czeska psina – szczeka mocno, ale tego, co trzyma w mordce, nie wypuszcza!«. Masaryk podobno doskonale zrozumiał aluzję i był wyraźnie niezadowolony". Konflikt o Zaolzie z lat 1918–1920, niesprawiedliwie przez Polaków przegrany, na długie lata zamroził serca obydwu narodów. Niewątpliwie bowiem w 1919 r. zdecydowana większość tamtejszych mieszkańców chciała żyć w Polsce odrodzonej, a nie w sąsiednim państwie. Niezależnie od dyplomatycznych sztuczek wprowadzanych przez duet Edward Benesz-Tomasz Masaryk w sprawie Śląska Cieszyńskiego, prawda była jedna: z punktu widzenia idei samostanowienia narodowego ludność tam mieszkająca sama, w listopadzie 1918 r., ustaliła granicę przyszłych państw sąsiadujących ze sobą. Podczas jednego z posiedzeń Rady Najwyższej Konferencji Pokojowej w Paryżu z 5 września 1919 r. poświęconej sporom polsko-czeskim, Benesz dowodził, że Niemcy dwukrotnie przed wojną fałszowali spisy ludności na rzecz Polaków. Na to Dmowski, „pokazując wyniki spisowe z 1900 i 1910, zapytał, który spis jest fałszywy, czy ten, który podaje podwyżkę Czechów i Niemców, czy ten, który stwierdza spadek Polaków. Śmiech u wszystkich, konfuzja u Benesza. [...] Cambon do Dmowskiego: »Monsieur, vous etiez fort aujourd' hui...«". Mimo że Dmowski też potrafił dobrze „szczekać", to ostatecznie przegrał ten pojedynek, a my, Polacy, wraz z nim, gdyż Czesi mieli silniejsze wsparcie Francji, a my bolszewików na głowie.

Wypada jednak dodać, w stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę, że to właśnie Dmowski był tym politykiem, który nie zapominał o dobrych kartach w historii wzajemnego wspierania się na rzecz rozbicia monarchii habsburskiej i pokonania germańskiego smoka. Mówił o tym podczas spotkania paryskiego: „Napracowaliśmy się z Beneszem i Masarykiem tyle lat przed wojną i w czasie wojny, aby utrwalić sojusz polsko-czeski, teraz przychodzimy tutaj jako dwie strony sporne". Jednym z przejawów tej politycznej współpracy był dokument, opracowany przez Dmowskiego latem 1917 r. i przekazany dyplomacji francuskiej oraz brytyjskiej, noszący tytuł: „Zagadnienia środkowo- i wschodnioeuropejskie". Pisał w nim m.in. o idei Międzymorza, opartego na sojuszu polsko-czeskim, którego warunkiem wstępnym byłoby całkowite rozbicie monarchii austro-węgierskiej i powstrzymanie imperializmu niemieckiego. Pisał o Czechach: „Osiągnęli oni całe swe odrodzenie narodowe w twardej walce z niemczyzną i stanowią jedną z głównych przeszkód do ujarzmienia Europy Środkowej przez Niemcy". I dziś nic, co ludzkie, nie jest takie proste ani nieodwracalne. Szczególnie w polityce.

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl c78G2e56a9

16 JUŻ OD PONAD TYSIĄCA LAT ISTNIEJĄ DWA BRATNIE PAŃSTWA, POLSKA I CZECHY. BRATNIE, GDYŻ OBA ZAMIESZKUJĄCE JE NARODY SĄ SOBIE BARDZO BLISKIE. KIEDY NASZE DROGI SIĘ ROZESZŁY? – ANALIZUJE MAREK BARAŃSKI

39 W ROKU 1573, GDY EUROPEJSKIE POTĘGI RYWALIZOWAŁY O SCHEDĘ PO JAGIELLONACH, FRANCUSKI DYPLOMATA JEAN MONLUC PRZEKONAŁ SZLACHTĘ DO WALEZJUSZA, ALE CHYBIŁ CELU STRATEGICZNEGO – OCENIA HENRYK LITWIN

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

W STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI

9 COP: TRÓJKĄT BEZPIECZEŃSTWA
MIECZYSŁAW T. STARKOWSKI

12 IGNACY DASZYŃSKI – SOCJALISTYCZNY OJCIEC POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI
TOMASZ PANFIL

TEMAT MIESIĄCA

16 POLSKA I CZECHY
MAREK BARAŃSKI

19 TOMASZ GARRIGUE MASARYK I RELACJE POLSKO-CZESKIE U PROGU 1918 r.
MACIEJ GLOGER

22 JAK RZECZPOSPOLITA UTRACIŁA ZAOLZIE
MAREK SKALSKI

26 DZIAŁALNOŚĆ WYWIADU SIŁ ZBROJNYCH PRL NA TERENIE CZECHOSŁOWACJI W 1968 r.
BARTOSZ KAPUŚCIAK

FELIETONY

29 GŁOWA I SERCE NA CELOWNIKU
GRZEGORZ GÓRNY

38 1937: ROK TURECKICH „SZEŚCIU STRZAŁ"
PAWEŁ SKIBIŃSKI

45 HITLER JAKO BREŻNIEW
PIOTR SKWIECIŃSKI

45 „SOFT ISLAM" (NA RAZIE)
RYSZARD CZARNECKI

69 OBOWIĄZKI PAMIĘCI
MAREK JUREK

73 TRADYCJE
WACŁAW LESZCZYŃSKI

85 NIE TYLKO O MIŁOŚCI
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

95 LANDSBERGIS U PENDERECKIEGO
PAWEŁ KOWAL

95 TRZECH ZA TRZECH
ANTONI DUDEK

98 AKCJA „WIENIEC"
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

WEHIKUŁ CZASU

30 STYCZEŃ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

34 ODNOWIENIE KRÓLESTWA POLSKIEGO
JACEK KROCHMAL

DUSZA KONTUSZA

36 KSIĘŻNA WDOWA W HABICIE
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

39 1573: JEAN DE MONLUC I POLSKA ELEKCJA
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

42 NIEMIECKA ZBRODNIA W WAWRZE
PIOTR ŚWIĄTECKI

46 IMIĘ NADAJE SIĘ RAZ
SYLWIA WINNIK

49 JEDYNY OPOZYCJONISTA W SEJMACH PRL
WACŁAW LESZCZYŃSKI

ZIEMIAŃSTWO

54 CHŁAPOWSKICH SPOSÓB NA NIEPODLEGŁOŚĆ
AGNIESZKA ŁUCZAK

PRASPORT

55 HUBERTA KOSTKI PRZYPADKI Z SB
GRZEGORZ MAJCHRZAK

BOHATEROWIE POLSKIEGO SPORTU

58 ROBERT LEWANDOWSKI, KAMIL STOCH, MARCIN GORTAT, ANITA WŁODARCZYK
MICHAŁ MUZYCZUK

POLITYKA HISTORYCZNA

62 RAJ UTRACONY
KRZYSZTOF JASIEWICZ

eprasa.pl c7862e56a9

70 MIMO ŻE PAMIĄTKA NARODZIN CHRYSTUSA WPISANA JEST NA STAŁE W RYT CHRZEŚCIJAŃSKI, POCZĄTKI JEJ OBCHODÓW W ŚREDNIOWIECZNEJ POLSCE DO DZIŚ STANOWIĄ ZAGADKĘ – PISZE MACIEJ BADOWICZ

WŁADCZYNIE

65 BŁOGOSŁAWIONĄ SALOMEA, PIASTÓWNA, KRÓLOWA HALICKA
MAREK BARAŃSKI

POLONIA

66 KOMEDIA WYBORCZA
KRZYSZTOF TARKA

BOŻE NARODZENIE

70 „NA ŚW. SZCZEPAN KAŻDY SOBIE PAN"
MACIEJ BADOWICZ

PEŁNA KULTURA

74 SZTUKA W BLASKU CHRYSTUSA
Z DYREKTOREM MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ KS. KANONIKIEM DR. MIROSŁAWEM NOWAKIEM ROZMAWIA JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

78 ŚMIERĆ POETY NA WOŁYNIU
MAREK KLECEL

80 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

82 TRZEBA, BY WCIĄŻ BYŁO SŁYCHAĆ „GŁOSY"
Z BOHDANEM URBANKOWSKIM ROZMAWIA HUBERT MUSIAŁ

84 CZESKI PUNKT WIDZENIA
KAROL MAZUR

PUPILE HISTORII

86 PSIE MINY
MAGDALENA SZCZEPANIAK

CZYM STRZELAĆ

87 POPRZEDNIK „RUDEGO 102", CZYLI CZOŁG BT-7
KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 SIERŻANT JOANNA ZUBROWA
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90 UCZULONE HISTORIE
KRZYSZTOF ŻARYN

AAN

92 POLOWANIA PREZYDENTA MOŚCICKIEGO
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

NAC

93 OFICEROWIE JUGOSŁAWII W POLSCE W 1929 r.
PIOTR NIEDZIELA

ZE ZBIORÓW MPW

94 1944/TOPOGRAFIA
KATARZYNA UTRACKA

HISTORIA OKŁADKI

97 FRANCUSKA INTRYGA
MICHAŁ KORSUN

ARCHIWUM IPN

99 KRÓLEWSKA WIZYTA U POLSKICH LOTNIKÓW
KONRAD WIESŁAW ŚLUSARSKI

eprasa.pl c7862e56a9

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn, Agnieszka Żurek oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Maciej Majtczak, Lidia Słowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja:
Ewa Falkiewicz, ewa.falkiewicz@fratria.pl,
Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl
Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Wojciech Kopacz – wojciech.kopacz@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: PROJEKT: MICHAŁ KORSUN, FOT.: JACEK SZYCHT CHARAKTERYZACJA: JOANNA WASILEWSKA, KLAUDYNA PABUDZIŃSKA-KOSSEK; WYSTĄPILI: XAWERY DANIEL, ADAM KOZAL, EWA MOSSAKOWSKA, DOMINIKA LUIZA SAKOWICZ, WOJTEK WĘGLARSKI.
PODZIĘKOWANIA DLA DYREKTORA JANUSZA CHOJECKIEGO I PRACOWNIKÓW TEATRU WIELKIEGO – OPERY NARODOWEJ W WARSZAWIE ZA POMOC W REALIZACJI SESJI.

Otwarcie wystawy o walkach o Lwów

20 listopada przed Domem Polonii w Warszawie został otwarta wystawa „Semper Fidelis. Walki o Lwów 1918–1919". Uroczystej inauguracji ekspozycji dokonali prezes IPN dr Jarosław Szarek, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" Dariusz Bonisławski oraz dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN Adam Hlebowicz. Autorami wystawy są pracownicy Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej we Wrocławiu: dr Tomasz Gałwiaczek, dr Stanisław A. Bogaczewicz, dr Andrzej Olejniczak, dr Daniel Koreś, Stanisław Kiełb oraz Jerzy Rudnicki. Projekt graficzny wystawy przygotował Michał Kogut, a autorami zdjęć militariów są Monika Mikuczewska oraz dr Andrzej Olejniczak. Przy tworzeniu ekspozycji wykorzystano zdjęcia i dokumenty ze zbiorów wrocławskich: Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Muzeum Miejskiego oraz Muzeum Politechniki Wrocławskiej, a także: Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum Niepodległości, Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie oraz zbiory prywatne polskich rodzin. Wystawa składa się z ośmiu części tematycznych: „Galicja i Lwów. Zarys historii i stosunki narodowościowe", „Geneza konfliktu polsko-ukraińskiego", „Próba opanowania miasta przez Ukraińców", „Polska koncepcja obrony miasta", „Walki we Lwowie", „Na odsiecz miastu", „Broń i wyposażenie polskich obrońców miasta", „Polegli, abyśmy wolni żyli".

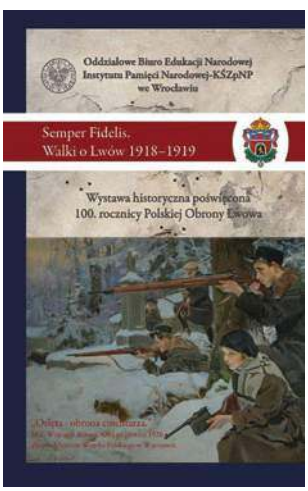

Konferencja o społeczeństwie obywatelskim z okazji 1. urodzin NIW–CRSO

Z okazji 1. rocznicy powstania Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, w dniach 29–30 listopada odbywała się w Warszawie konferencja „Społeczeństwo obywatelskie oparte na wartościach". Wśród gości specjalnych wydarzenia byli: wicepremier, przewodniczący Komitetu ds. Pożytku Publicznego prof. Piotr Gliński, wiceprezydent Gospodarczej, Społecznej i Środowiskowej Rady Republiki Francuskiej Carole Couvert, prof. Leslie Lenkowsky z Uniwersytetu Indiana w USA oraz prof. Krystyna Chałas z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Podczas konferencji poruszone zostały takie kwestie jak nowe rządowe programy finansowego wsparcia dla organizacji obywatelskich, rola młodzieżowych ruchów społecznych, przyszłość dialogu obywatelskiego, rola Kościoła i rodziny w kształtowaniu społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. Goście zagraniczni przedstawiali z kolei rozwiązania dla trzeciego sektora, jakie od dawna funkcjonują w krajach zachodnich. Konferencję uświetniła uroczysta gala urodzinowa NIW–CRSO, podczas której występowali artyści z zespołów prowadzonych przez organizacje pozarządowe z różnych części kraju.

FOT. S.KASPER /IPN

Żytomierz: otwarcie „Przystanku Historia" IPN

Z inicjatywy Obwodowego Związku Polaków na Ukrainie, 24 listopada Instytut Pamięci Narodowej otworzył „Przystanek Historia" IPN w Żytomierzu – Żytomierską Bibliotekę Obwodową. Podczas uroczystości odbyły się prezentacja wystawy „Ojcowie Niepodległości", przygotowanej przez IPN, oraz zajęcia edukacyjne dla polskich dzieci przeprowadzone przez lubelskich edukatorów. W imieniu IPN otwarcia instytucji dokonali: prezes Instytutu dr Jarosław Szarek, dyrektor Biura Edukacji Narodowej Adam Hlebowicz i szef lubelskiego oddziału IPN Marcin Krzysztofik. Okolicznościowy wykład „Jutrzenka wolności – Listopad 1918" wygłosił prof. Tomasz Panfil (OBEN IPN Lublin). Przedstawiciele Instytutu wzięli również udział w obchodach Dnia Wielkiego Głodu, a także złożyli kwiaty przed pomnikiem Płaczącego Anioła. Odwiedzili też groby Polaków na żytomierskim cmentarzu. W ramach „Przystanku Historia" IPN w Żytomierzu organizowane będą wyjazdy prelegentów i edukatorów celem prowadzenia zajęć i warsztatów dla dzieci i młodzieży, szkoleń dla nauczycieli oraz wykładów dla zainteresowanych. Planowana jest także stała obecność wystaw historycznych. Podobne instytucje tego typu działają już m.in. w Chicago, Nowym Jorku, Londynie czy we Lwowie.

Auschwitz: Wystawa „Sprawcy czy ofiary"

5 grudnia na terenie Muzeum Auschwitz–Birkenau została otwarta wystawa pt. „Sprawcy czy ofiary?". Ekspozycja opowiada historię niemieckiej i sowieckiej okupacji Polski w latach 1939–1945 poprzez pryzmat wybranych wydarzeń i postaci. Bohaterami opowieści są m.in. rotmistrz Witold Pilecki i konspiracja wojskowa w KL Auschwitz, rodzina Ulmów, polskie dzieci więzione w obozach koncentracyjnych, Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, polscy dyplomaci ratujący Żydów, Batalion „Zośka" w Powstaniu Warszawskim, Brygada Wileńska AK. Organizatorzy stawiają sobie za cel obronę dobrego imienia Polski i Polaków. Poprzez prezentację faktów historycznych chcą obalić krzywdzące dla naszego kraju mity i stereotypy. Pragną przeciwstawić się niezwykle krzywdzącej i szkodliwej dla Polski kampanii oszczerstw, prezentując chwalebne postaci i czyny Polaków podczas niemieckiej oraz sowieckiej okupacji. Wystawa będzie prezentowana zarówno w różnych miejscach Polski, jak i USA, Niemczech i Izraelu. Organizatorem przedsięwzięcia jest Fundacja Historia Wyklęta.

eprasa.pl c7862e56a9

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

Projekt „Niepodległość. Dobro wspólne”

Publikacja TOP100PL, główny element projektu „Niepodległość. Dobro wspólne”, zawiera listę rankingową 100 najważniejszych osiągnięć, które w okresie ostatnich 100 lat budowały naszą dumę narodową. W dziesięciu kategoriach, oprócz wiedzy powszechnej, znalazły się informacje o wydarzeniach mniej znanych, które zaistniały dzięki odzyskaniu niepodległości, służyły jej zachowaniu, jak i ponownemu uzyskaniu wolności po okresie komunizmu. W ramach projektu ukazał się również raport PL 2118, zawierający wizję niepodległej Polski za 100 lat. Raport wskazuje, jakie czynniki decydują o byciu liderem lokalnym i globalnym. Przedstawia scenariusze rozwoju na najbliższe dekady oraz poddaje refleksji przestrzenie posiadające potencjał znacznej zmiany pozycji międzynarodowej Polski. Prezentacja obu dokumentów odbyła się podczas Kongresu 590 w Rzeszowie–Jasionce. Projekt, którego organizatorem jest Fundacja Republikańska, dofinansowano ze środków Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2021 w ramach Programu Dotacyjnego „Niepodległa”.

Promocja albumu o Romanie Dmowskim

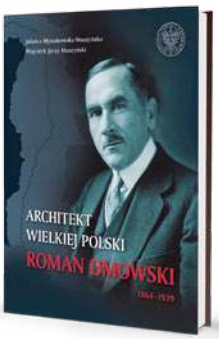

10 grudnia w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” w Warszawie odbyło się spotkanie promocyjne albumu Jolanty Mysiakowskiej-Muszyńskiej i Wojciecha Jerzego Muszyńskiego „Architekt wielkiej Polski. Roman Dmowski 1864–1939”. Rozmowę z autorami poprowadził prof. Krzysztof Kawalec. Album poświęcony życiu i działalności politycznej lidera endecji został podzielony na trzy części. Pierwsza – „Niepodległościowy konspirator” obejmuje lata 1864–1905, druga – „Polityk i dyplomata” koncentruje się na okresie aktywności politycznej Romana Dmowskiego w rosyjskiej Dumie Państwowej czy działalności dyplomatycznej na rzecz sprawy polskiej na forum konferencji pokojowej w Wersalu. Narracja ostatniej – „Myśliciel polityczny” rozpoczyna się w 1920 r. i przybliża dorobek intelektualny Dmowskiego. Każdą z części otwiera tekst monograficzny, którego uzupełnieniem są materiały ikonograficzne i obszerne cytaty zaczerpnięte z pism przywódcy obozu narodowego oraz osób mu współczesnych – zarówno admiratorów jego idei, jak i politycznych rywali. Album zawiera łącznie ponad 400 zdjęć, rysunków, skanów dokumentów i karykatur z epoki, zaprezentowanych w układzie chronologiczno-rzeczowym. (O tym albumie oraz o innych wydawnictwach okolicznościowych IPN piszemy też na stronach 80–81.)

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

27. Targi Książki Historycznej

W dniach 29 listopada – 2 grudnia w Arkadach Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie odbyły się 27. Targi Książki Historycznej. Imprezie towarzyszyły liczne spotkania autorskie, promocje książek oraz pokazy filmów. Wśród autorów, z którymi można było spotkać się w trakcie targów, byli m.in. prof. Włodzimierz Suleja, Piotr Zaremba, ks. Józef R. Maj, Antoni Macierewicz, Wacław Holewiński, Lech Kowalski, Jolanta Mysiakowska-Muszyńska, Wojciech Muszyński, Elżbieta Cherezińska. Patronat honorowy nad przedsięwzięciem sprawował prezydent RP Andrzej Duda. Inicjatorem targów jest Porozumienie Wydawców Książki Historycznej, a organizacją imprezy zajmuje się Fundacja Historia i Kultura.

Upamiętnienie ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie

Z inicjatywy Instytutu Tradycji Rzeczypospolitej i Samorządu Terytorialnego, 26 listopada w Świątyni Opatrzności Bożej na warszawskim Wilanowie miały miejsce obchody upamiętniające 99. rocznicę urodzin ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Rozpoczęły się one od uroczystej mszy świętej, po której nastąpiło złożenie wieńców i kwiatów przy grobie prezydenta w Panteonie Wielkich Polaków. Ostatnim elementem programu był Apel Chwały Oręża Polskiego w wykonaniu Kompanii Reprezentacyjnej Wojsk Lądowych z asystą orkiestry Policji oraz Salwa Artylerii Czarnoprochowej Bractwa Kurkowego przed świątynią.

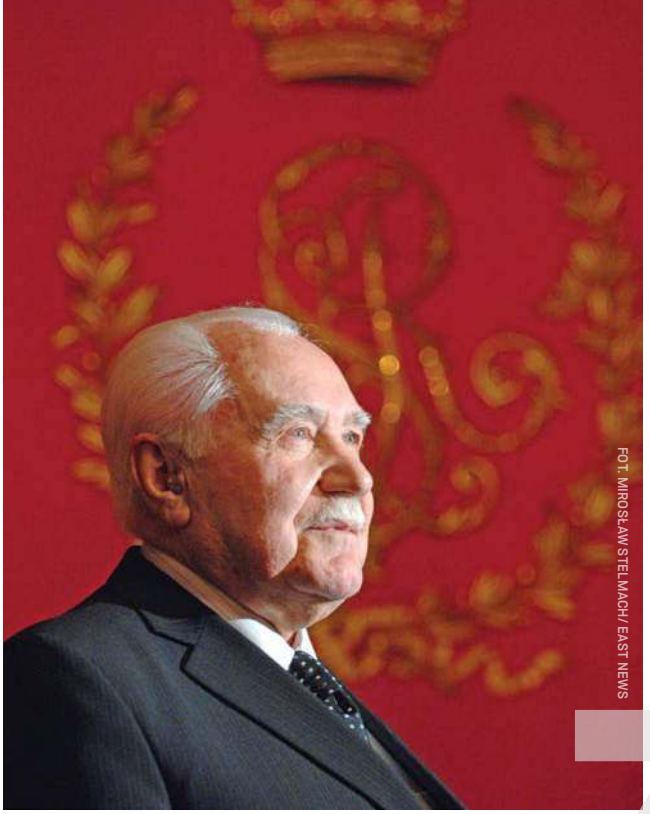

FOT. MIROSŁAW STELMACH / EAST NEWS

eprasa.pl c7862e56a9

CO BYŁO

Wystawa o „operacji polskiej" NKWD

26 listopada w Domu Polonii w Warszawie miało miejsce otwarcie wystawy „Rozkaz nr 00485. Antypolska operacja NKWD na sowieckiej Ukrainie 1937–1938" przygotowanej przez Archiwum IPN. Na 16 planszach przedstawione zostały losy osób represjonowanych w ramach „operacji polskiej" przeprowadzonej w Związku Sowieckim. Ekspozycja powstała dzięki materiałom archiwalnym przekazanym do IPN przez ukraińskie Państwowe Archiwa Obwodowe w Odessie, Chmielnickim i Winnicy. Dokumenty wytworzone przez NKWD są dowodem planowej, zbrodniczej działalności sowieckiego aparatu represji, mordów i zsyłek, które nigdy nie mały zostać ujawnione. W ramach „operacji polskiej" sowiecka bezpieka aresztowała ponad 143 tys. osób. Spośród nich co najmniej 111 tys. skazano na karę śmierci. Wystawę przygotowano w językach polskim i ukraińskim. Równolegle prezentowana jest ona w mieście Chmielnicki na Ukrainie. Projekt został objęty Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy.

CO BĘDZIE

Bieg Powstania Wielkopolskiego

27 grudnia w centrum Poznania odbędzie się Bieg Powstania Wielkopolskiego, który uczci 100. rocznicę zwycięskiego boju Wielkopolan o przynależność regionu do II Rzeczypospolitej. Rozpocznie się on o godz. 19.00 Start i meta zorganizowane zostaną przy placu Wolności. Trasa składa się z dwóch pętli po pięć kilometrów każda. Udział w imprezie mogą brać osoby, które mają ukończone 16. rok życia. Organizatorem wydarzenia jest Stowarzyszenie „Bieg Powstania Wielkopolskiego". Więcej informacji można znaleźć na jego stronie internetowej www.biegpowstaniawlkp.pl.

Rocznica śmierci przywódcy Obozu Narodowego

W związku z 80. rocznicą śmierci Romana Dmowskiego w Klubie jego imienia w Zgierzu, 8 stycznia 2019 r. o godz. 18.00 (Zgierz, Hostel Folkier ul. Rembowskiego 1, sala konferencyjna) odbędzie się spotkanie z prof. Janem Żarynem, senatorem RP.

Modlitwa polityczna

Zgodnie z wieloletnią tradycją w Wierszach w Puszczy Kampinoskiej 13 stycznia 2019 r. o godz. 12.00 zostanie odprawiona w miejscowym kościele msza św. w intencji polityków rządzących Polską. Organizatorką uroczystości jest pani Urszula Przymus, prezes Rady Niepodległej Rzeczpospolitej Kampinoskiej, działaczka społeczna i kustosz pamięci, m.in. o Powstańcach Styczniowych, Żołnierzach Września 1939 r., Powstańcach Warszawskich i Żołnierzach Wyklętych, którzy walcząc o Polskę ginęli w lasach podwarszawskich.

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

15 grudnia 2018 r. (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

17 grudnia (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego, „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek godz. 22.05

Autor rubryki: Piotr Mazurek

eprasa.pl c7862e56a9

TRÓJKĄT BEZPIECZEŃSTWA

IDEA CENTRALNEGO OKRĘGU PRZEMYSŁOWEGO NARODZIŁA SIĘ JUŻ NA POCZĄTKU LAT 20. XX w. REALIZOWANO JĄ Z SUKCESEM, CHOCIAŻ ZOSTAŁA PRZERWANA DRAMATYCZNĄ NAPAŚCIĄ NA NASZ KRAJ WE WRZEŚNIU 1939 r. REZULTATY I TAK BYŁY JEDNAK IMPONUJĄCE

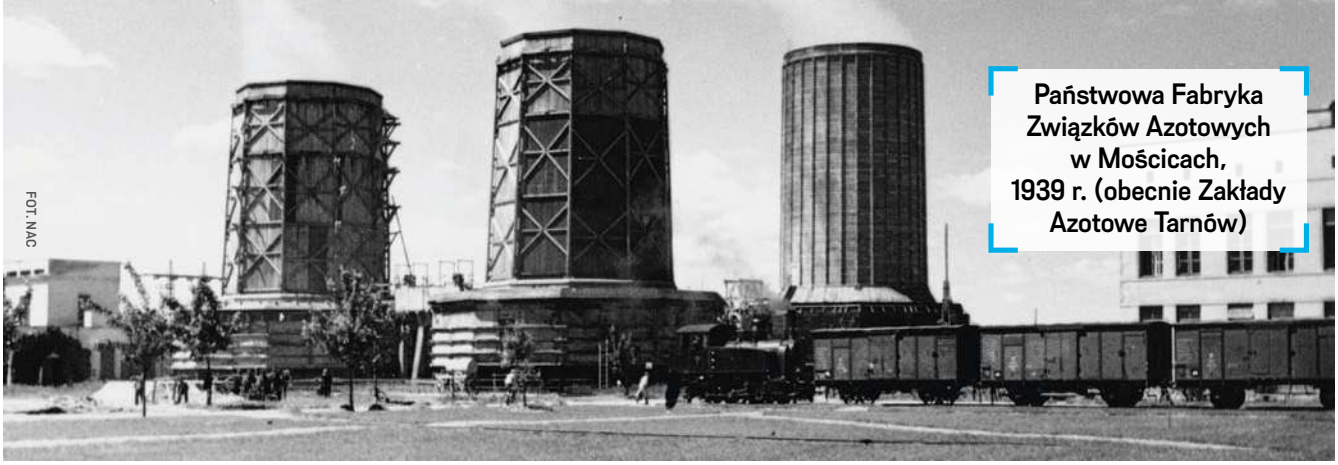

FOT. NAC

Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach, 1939 r. (obecnie Zakłady Azotowe Tarnów)

MIECZYSŁAW T. STARKOWSKI

Stoją nam przed oczami dawne liczne rudy, hamernie, huty i huciska zagłębia staropolskiego, sylwetki „kretów" i „kuźniaków", „gulonów" i „kaszkieciarzy" – pionierów uprzemysłowienia ziemi Piastów i Jagiellonów. Wyrastają piękne postaci: Stanisława Staszica, autora „O ziemiorództwie Karpatów i innych gór i równin Polski", Franciszka księcia Druckiego-Lubeckiego, Henryka Łubieńskiego i innych mężów stanu Królestwa Kongresowego, pamiętających, że trzy rzeczy każdy kraj szczęśliwym czynią: bogactwa, wojsko i rząd dobry.

„I krzyczy z tej książki krzywda, którą ziemiom tym i Polsce wyrządziły rozbiory i polityka zaborcza. Gdy czytałem książkę A. Patkowskiego, tym bardziej umocniłem się w przekonaniu, że rzeczą nas, współczesnych, jest co rychlej naprawić tę krzywdę" – pisał w 1938 r. wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski w przedmowie do książki „Sandomierskie. Góry Świętokrzyskie" Aleksandra Patkowskiego.

Radość z niepodległości

„Niestety, Staropolski Okręg Przemysłowy Staszica, podobnie jak wszystkie ziemie dawnej Rzeczpospolitej, został doszczętnie zniszczony i rozgrabiony przez przewalające się armie zaborców w czasie I wojny światowej" – przypomina Jan Banaszak, współtwórca i wiceprezes Klastra Przemysłowego COP im. Eugeniusza Kwiatkowskiego, syn Ludwika, którego zespoły w dwudziestoleciu międzywojennym zbudowały 17 fabryk na terenach COP. „Dlatego po odzyskaniu niepodległości w II RP postawiono na odbudowę i budowę nowych fabryk".

Brakowało wówczas dosłownie wszystkiego, ale priorytetem był przemysł obronny. Powstające fabryki stawały się przy tym elementem miastotwórczym, gdyż często trzeba było budować osiedla dla pracowników przyszłych zakładów. W całym dwudziestoleciu, na terenach ówczesnego Centralnego Okręgu Przemysłowego, zbudowano 52 nowoczesne fabryki, a 58 rozbudowano, jednocześnie je modernizując. Zakład budowano zwykle dwa i pół roku, a bywało że nawet sześć miesięcy. W takim tempie powstała w pierwszej połowie 1939 r. fabryka Dunitu (materiału wybuchowego polskiej technologii autorstwa Stanisława Dunin-Markiewicza) w ramach koncernu Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach. „Biurem Projektów i budową Dunitu kierował właśnie mój ojciec. Na marginesie, zakopane w 1939 r. maszyny i dokumentacja zostały odnalezione i wywiezione przez sowiecką armię wiosną 1945 r." – dodaje Jan Banaszak.

»

eprasa.pl c7862e56a9

1. Fabryka celulozy w Niedomicach
2. Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach
3. Budowa zapory wodnej w Rożnowie na Dunajcu
4. Poświęcenie Zakładów Południowych w Stalowej Woli

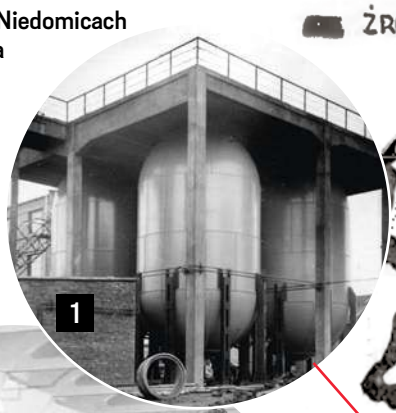

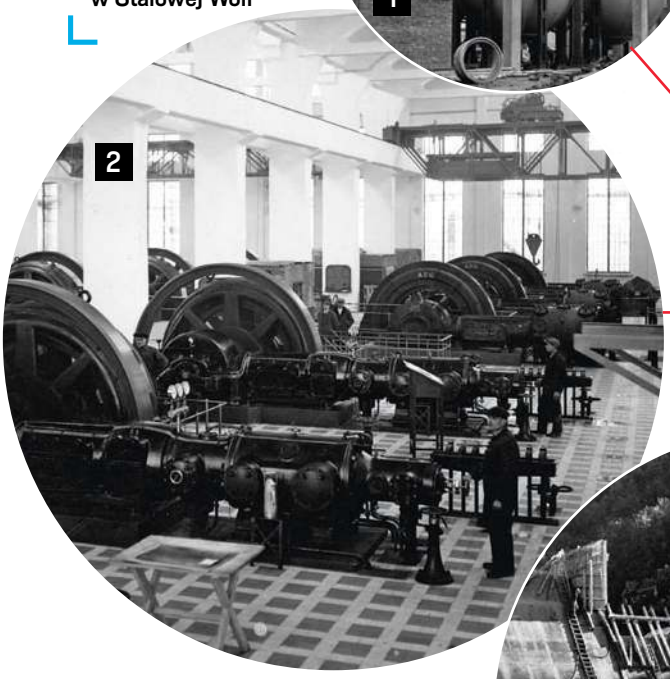

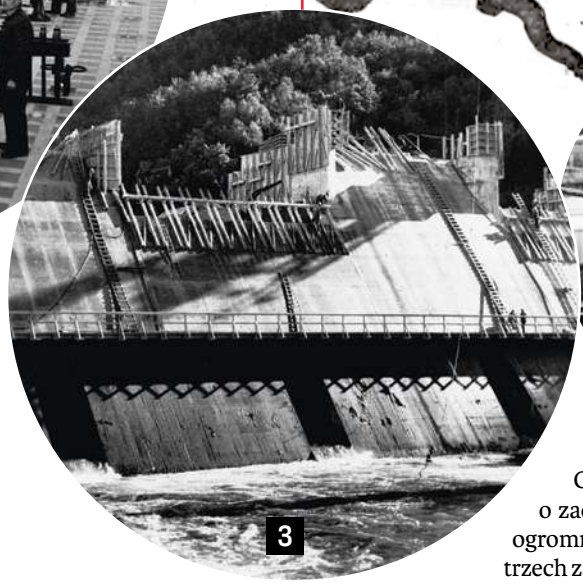

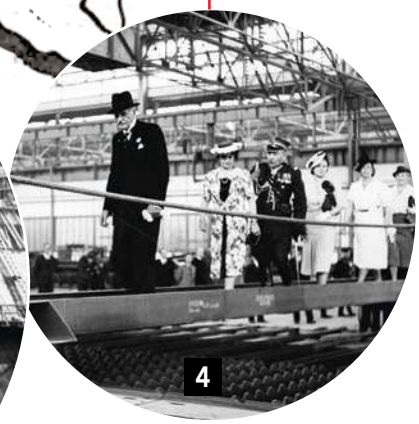

» COP był jednym z największych projektów tych czasów w Europie, z pewnością wizjonerskim, dzięki wybitnym organizatorom jak wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski i prezydent Ignacy Mościcki. I spotkał się ze wspaniałym odzewem wszystkich środowisk twórczych cechujących się wielkim patriotyzmem i pragmatyzmem w działaniach, choć przy ogromnym braku potencjału finansowego. Przypomnijmy, że po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 r. społeczeństwo było pełne entuzjazmu. Kraj był zrujnowany, ale ludzie chcieli go odbudować. Mieliśmy wybitnych inżynierów o ogromnym dorobku w różnych częściach świata, którzy chętnie wracali z zagranicy, mimo dużo niższych zarobków w Polsce.

„Na przykład w 1936 r. rozpoczęto budowę Zakładów Celulozy w Niedomicach" – zwraca uwagę Jan Banaszak. „Wdrażano tam w życie efekty badań prowadzonych w Państwowej Wytwórni Prochu. Polscy inżynierowie i technicy stworzyli pierwszą w Europie fabrykę wytwarzającą celulozę podwójnego znaczenia (na cele wojskowe i cywilne) na licencji szwedzkiej firmy KMW. Szwedzi zezwolili na zmiany w technologii jedynie pod nadzorem jej autora, dr. inż. Leifa Thomasa. Po badaniach w renomowanym laboratorium w Anglii produkty te zakwalifikowano do światowej czołówki". Niesamowite było też zaangażowanie miejscowej ludności. Fachowa prasa zagraniczna pisała, że „[...] Polacy w technice dokonują niemożliwych rzeczy [...]". To również o tej fabryce pisał Melchior Wańkowicz w „Sztafecie".

Chodziło przede wszystkim o zacieranie podziałów, o likwidację ogromnych różnic między terytoriami trzech zaborców. Pomysł stworzenia COP padł więc na bardzo podatny grunt. Realizowano go zatem z sukcesem i przed terminem, chociaż – niestety – cały proces został przerwany dramatyczną napaścią na nasz kraj przez III Rzeszę Niemiecką i Rosję sowiecką we wrześniu 1939 r.

Konieczność dyslokacji

„Dopiero w 1921 roku ukształtowały się granice II Rzeczypospolitej" – podkreśla Janusz Kaliński, profesor w Katedrze Historii Gospodarczej i Społecznej w Szkole Głównej Handlowej. „Okazało się wówczas, że najważniejsze ośrodki przemy-

FOT. NAC (4X); ILUSTROWANY KALENDARZ SŁOWA POMORSKIEGO 1939

eprasa.pl c7862e56a9

słowe – Górny Śląsk i Wielkopolska – leżą bardzo blisko granicy z Niemcami. Politycy nie mieli wątpliwości, iż jest to dla Polski szalenie niebezpieczne. Jak się wtedy mówiło, nasze zakłady przemysłowe były w zasięgu niemieckich karabinów maszynowych".

Postanowiono zatem dokonać dyslokacji naszego potencjału przemysłowego, zwłaszcza związanego z obronnością. Wielki wpływ miały doświadczenia związane z wojną polsko-bolszewicką w 1920 r. Wybór padł na tzw. trójkąt bezpieczeństwa, czyli tereny u ujścia Sanu do Wisły.

Jednak w pierwszych latach po I wojnie światowej, a potem po Wielkim Kryzysie, trudno było znaleźć tak gigantyczne środki finansowe. Dopiero rosnące zagrożenie ze strony obu naszych wielkich sąsiadów, Niemiec i Rosji, nadało nowy impet przedsięwzięciu w połowie lat 30. Ogromne znaczenie miała też determinacja Eugeniusza Kwiatkowskiego w doktrynalnym sporze z pułkownikami mającymi wielki wpływ na ówczesną politykę. Postulowali oni szybką emisję 800 mln zł. Wicepremier nie pozwalał na takie psucie pieniądza. Rozbieżności co do zasad działania nie przesłoniły jednak zasadniczego celu. Panowała zgoda, że Polska musi być silna, a więc mieć znaczący własny przemysł, w tym zbrojeniowy. Bo przecież nie przypadkiem wcześniej zaborcy nie lokowali na naszych ziemiach zakładów tego typu.

Czteroletni plan inwestycyjny (połowa 1936 r. – połowa 1940 r.) został skorelowany z sześcioletnim Planem Modernizacji Sił Zbrojnych (połowa 1936 r. – połowa 1942 r.). Jednocześnie opracowany był już monumentalny Plan Piętnastoletni (lata 1939–1954). Efektem miało być dynamiczne ożywienie tych terenów, wyrównanie różnic między regionami, w tym szybki rozwój przemysłu, m.in. obronnego.

Były także poważne przesłanki społeczne. Nie zapominajmy, że panowały wówczas w tej sferze ogromne napięcia. Tym bardziej że trzeba było się bronić przed wrogą, niezwykle agresywną propagandą bolszewicką. Przeludnienie agrarne na terenie przyszłego COP szacowano na ok. 700 tys. ludzi. Panowało zatem wysokie bezrobocie. Część słabo wykwalifikowanych mieszkańców znajdowała zatrudnienie na budowach. Natomiast nie nadawali się oni do pracy w nowoczesnych fabrykach. Trudności spotęgowała zatem wielka migracja ludzi, ok. 100 tys. osób, z całej Polski. Natomiast łącznie powstało tylko niewiele ponad 100 tys. stanowisk pracy. Spora część problemów społecznych pozostała więc nierozwiązana. Jednak biorąc pod uwagę rodziny, z efektów tego programu mogło korzystać łącznie nawet ok. 500 tys. ludzi. Zwłaszcza że średnie zarobki były mniej więcej dwukrotnie wyższe niż w innych częściach kraju.

„Projekt obejmował trzy części. Podokręg A – województwo kieleckie – był zapleczem surowcowym. B – lubelskie – wytypowano na zaplecze aprowizacyjne, zaś C – okolice Sandomierza – stały się właściwym centrum przemysłu przetwórczego. COP miał być w zasadzie samowystarczalny. Obawiano się bowiem odcięcia dostaw górnośląskiego węgla. Źródłem energii miał być zatem gaz tłoczony z rejonów Jasła czy Borysławia. Rozpatrywano także wykorzystanie energii wodnej. Dlatego powstała zapora w Rożnowie na Dunajcu, a przewidywano budowę tamy na Sanie w Solinie (zrealizowano ją dopiero po drugiej wojnie światowej)" – stwierdza Janusz Kaliński.

Nowatorskie przedsięwzięcie

„Powstanie Centralnego Okręgu Przemysłowego zawdzięczamy strategicznym decyzjom polskiego rządu, przede wszystkim inicjatywie i determinacji wicepremiera do spraw gospodarczych i ministra skarbu Eugeniusza Kwiatkowskiego" – uważa dr Jakub Skiba, od lutego do września 2018 r. prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA. „Opracowany przez niego w 1936 r. czteroletni plan finansowy i inwestycyjny był przedsięwzięciem odważnym, przełomowym i nowatorskim na skalę europejską. Co najważniejsze, projekt został szybko zrealizowany i zakończył się gospodarczym i społecznym sukcesem. Zasadniczymi celami budowy COP były rozbudowa przemysłu przetwórczego, rozszerzenie rynku wewnętrznego oraz wzmocnienie przemysłu zbrojeniowego".

W latach 1937–1939 powstały m.in. Zakłady Południowe wraz z miastem Stalowa Wola, zakłady w Rzeszowie, Dębicy, Sanoku, Radomiu, Starachowicach, Kraśniku, Jawidzu p. Lubartowem, Nowej Dębie czy Mielcu. Rozpoczęto także budowę elektrowni wodnych na Dunajcu, Sole oraz Sanie. Od rozpoczęcia budowy do uroczystego otwarcia w czerwcu 1939 r. Zakładów Południowych przez prezydenta Ignacego Mościckiego minęło niespełna 800 dni.

„Oprócz planu gospodarczego nadzorowanego przez Eugeniusza Kwiatkowskiego w Ministerstwie Spraw Wojskowych i Sztabie Generalnym powstał 6-letni plan rozwoju i rozbudowy polskich Sił Zbrojnych. Oba plany były komplementarne. Za sprawą inwestycji rządowych powstawały zakłady przemysłowe, które od razu podejmowały produkcję na potrzeby polskich Sił Zbrojnych. Powodzeniu przedsięwzięcia sprzyjała też koniunktura światowa. Pozwoliła ona na znaczne przyspieszenie realizacji planu czteroletniego. Zadania planowe ukończono w marcu 1939 r. Wydatki na budowę COP sięgnęły 2 mld zł, co stanowiło ok. 60 proc. wszystkich wydatków inwestycyjnych państwa w tych latach. Z kolei z planowanych 6 mld zł na modernizację uzbrojenia i wyposażenia wojska do wybuchu wojny zdołano wydatkować 4,186 mld zł" – przypomina dr Jakub Skiba.

Zbudujmy nową Polskę

Władze myślały zresztą perspektywicznie. Podjęto m.in. pierwszą na taką skalę po wojnie polsko-bolszewickiej kampanię propagandową. Roztaczano wizję nowoczesnego regionu przemysłowego mającego zapewniać lepsze życie. Dziś brzmi to z pewnością dziwnie, ale sięgano po podobną retorykę jak w Związku Sowieckim. Takim językiem przemawiała wtedy w zasadzie cała Europa. Obecnie może on nas nawet śmieszyć, ale w przypadku COP nie było w nim kłamstwa.

Stworzono wielki cel: zbudujmy nową Polskę. I dano ludziom szansę: możecie dobrze zarabiać i żyć godnie. Nic więc dziwnego, że do tej kampanii z pasją włączali się ludzie tak znani jak pisarz Melchior Wańkowicz czy malarz Rafał Malczewski.

I to się w znacznym stopniu udało. Różne są oceny dotyczące rozwoju tych terenów. Jak w soczewce skupiają się w nich bowiem dzieje II Rzeczypospolitej, zwłaszcza drugiej połowy lat 30. XX w. Rezultaty były mimo wszystko imponujące. COP oznaczał skok cywilizacyjny dla wielu Polaków. Powstało ponad 50 nowoczesnych jak na owe czasy zakładów przemysłowych, co dało impuls rozwojowi miejscowego rolnictwa i rzemiosła. W czasie II wojny światowej ten potencjał częściowo wykorzystywali Niemcy, a później władze PRL. Wiele przedsiębiorstw istnieje do dzisiaj.

eprasa.pl c7862e56a9

IGNACY DASZYŃSKI – SOCJALISTYCZNY OJCIEC POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

„JAKŻE ROZKOSZNĄ BYŁA PRZECHADZKA BEZ CELU PO WARSZAWIE, JAKĄŻ SWOBODĘ ODCZUWAŁEM WRESZCIE PO TYLU MIESIĄCACH I LATACH NIEDOLI WOJENNEJ! SPEŁNIŁY SIĘ SNY MŁODOŚCI. PO LATACH MĘKI WOJENNEJ, CIERPIEŃ, WALK, BŁĘDÓW I PRACY, ZAJADŁEJ, ZAPAMIĘTAŁEJ PRACY, PO TYLU PRZEJŚCIACH, PO TYLU UPADKACH NADZIEI WYŁANIAŁO SIĘ NIEPODLEGŁE PAŃSTWO POLSKIE Z KRWAWEGO ODMĘTU DZIEJÓW"

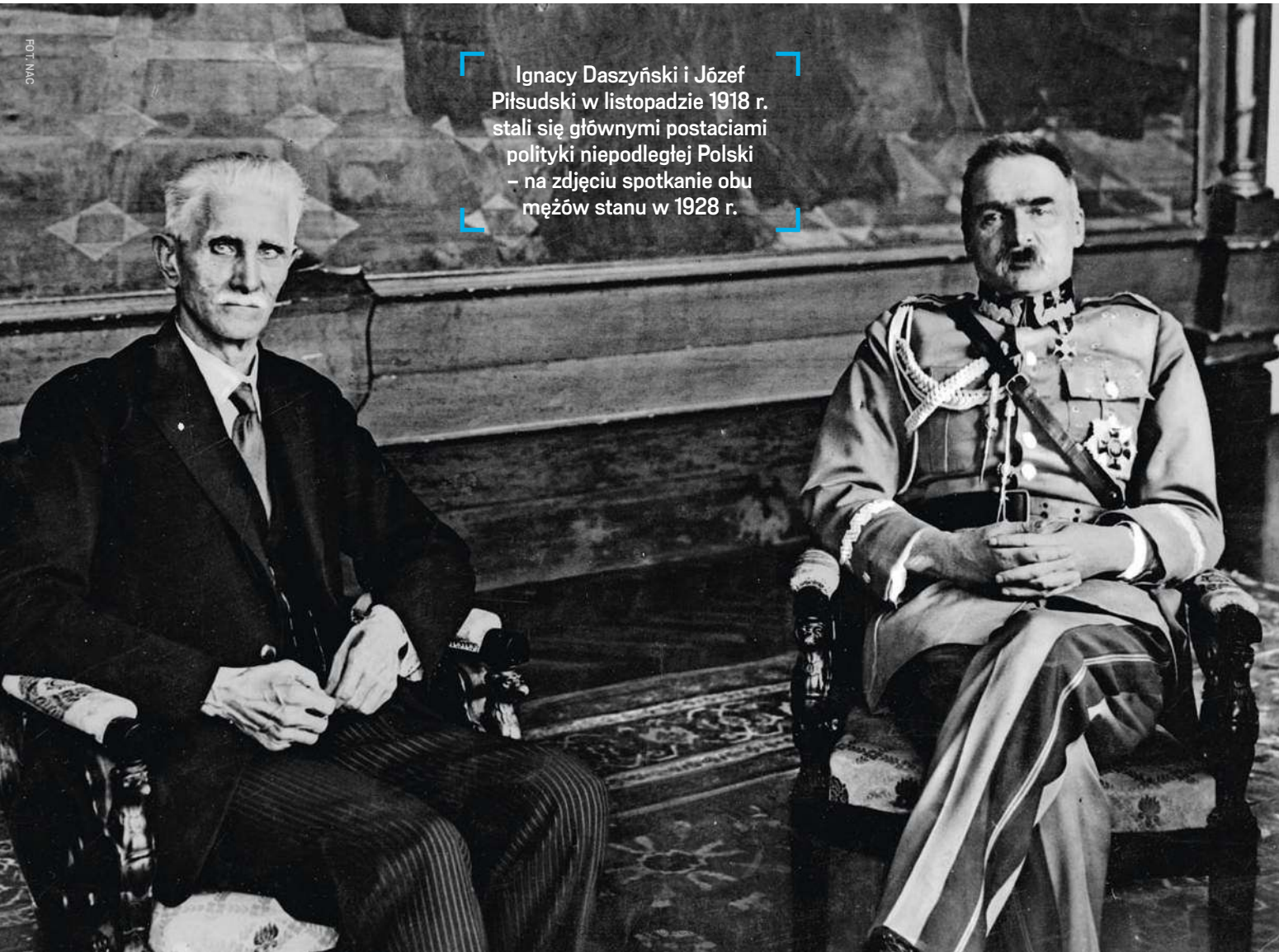

FOT. NAC

Ignacy Daszyński i Józef Piłsudski w listopadzie 1918 r. stali się głównymi postaciami polityki niepodległej Polski – na zdjęciu spotkanie obu mężów stanu w 1928 r.

TOMASZ PANFIL

Tak Ignacy Daszyński wspominał wieczór 18 listopada 1918 r. Daszyński, człowiek, który po raz pierwszy ze swej działalności patriotycznej tłumaczył się przed austriackimi policjantami, gdy miał 14 lat; którego za pogadankę o Wiośnie Ludów, wygłoszoną do kolegów na wielkiej przerwie, wyrzucono z wilczym biletem z gimnazjum w Stanisławowie, gdy miał 17 lat; który przez następnych 14 lat często chodził w dziurawych butach i cieszył się, jeśli na obiad mógł zjeść coś więcej niż chleb popijany herbatą – a wszystko to z powodu „roboty", czyli pracy na rzecz niepodległości i socjalizmu. W tej właśnie kolejności – był bowiem Daszyński zawsze socjalistą niepodległościowym, wyznającym zasadę, że czas rozwiązywania kwestii społecznych i problemów ekonomicznych przyjdzie, gdy Polacy będą żyć we własnym wolnym i suwerennym państwie.

Redaktor socjalista

Był Daszyński błędnym rycerzem polskiego socjalistycznego nurtu niepodległościowego. Należał do ludzi, o których Chrystus w Kazaniu na Górze powiedział: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości". Był niestrudzonym bojownikiem o wolność Polski. Piłsudski wybierał walkę militarną, Dmowski posługiwał się logiką i dyplomacją, Paderewski „wygrywał Polskę na fortepianie", Jacek Malczewski napominał swych uczniów, by tak malowali, „aby Polska zmartwychwstała". Daszyński zaś był mistrzem słowa. Ponoć za jego przyczyną w wiedeńskich restauracjach i kawiarniach pozostawały na stolikach niedojedzone obiady i niedopite kawy. Gdy bowiem rozchodziła się wieść, że będzie on przemawiał w parlamencie, wszyscy biegli słuchać. Zanim jednak został posłem do parlamentu w Wiedniu, był przez lat kilkanaście redaktorem różnych czasopism socjalistycznych, z najsłynniejszym z nich tytułem „Naprzód". To jemu pismo zawdzięczało swój charakter – mówiono nawet o stylu „naprzodowym" – i popularność. Ostry język (poprawność polityczna wówczas na szczęście nie istniała) i bezkompromisowość: to te cechy, które Daszyński potrafił narzucić współpracownikom. I za to był ścigany przez austriacki system represji – cenzura regularnie konfiskowała kolejne numery „Naprzodu". Gdy stał się on gazetą codzienną, z pierwszych 200 numerów skonfiskowano 50! Rewizje, przeszukania i sprawy sądowe to chleb codzienny redaktora naczelnego socjalistycznego pisma. Ignacy Daszyński, przyszły premier Polski i marszałek Sejmu, miał na koncie blisko 40 wyroków sądowych, z których część odsiedział w galicyjskich (a także rosyjskich) więzieniach i aresztach.

Poseł socjalista

Bezkompromisowości się nie wyrzekł, a zdolności oratorskie jeszcze udoskonalił, gdy w 1897 r. rozpoczął karierę polityczno-parlamentarną. Wtedy został po raz pierwszy wybrany do parlamentu wiedeńskiego – mandat posła piastował niemal bez przerwy przez 21 lat, do końca istnienia monarchii. Już na początku swej kariery zasłynął tym, że zaatakował rząd Kazimierza Badeniego, w którym oprócz premiera było jeszcze czterech ministrów Polaków i w imię przestrzegania prawa doprowadził do jego obalenia. Wilhelm Feldman w wydanym w Krakowie w 1907 r. opracowaniu „Stronnictwa i programy polityczne w Galicji 1846–1906" nazwał Daszyńskiego z emfazą „młotem na grzeszników, wielkim prokuratorem wszelkich nadużyć i małych, nie wyłączając alkierzowych brudów panującej warstwy".

Wielka Wojna przyniosła kres istnieniu wielowiekowej monarchii Habsburgów – skorumpowana i dekadencka musiała upaść wraz ze swą elitą polityczną, do której należało również wielu Polaków. I jako dziennikarz oraz redaktor, i jako poseł, w sposób najbardziej zacięty zwalczał Daszyński „Austriaków języka polskiego". Określenie to ukuł Roman Dmowski, który tak o nich pisał: „Widziałem tam Austriaków języka polskiego, obserwowałem ich sposób myślenia i postępowania. Był to gatunek bardziej obcy mi moralnie niż jacykolwiek cudzoziemcy w Europie. To nie byli ludzie – to były karykatury ludzkie – coś wstrętnego i niesłychanie śmiesznego zarazem". W miarę trwania wojny przyszłość Austro-Węgier stawała się coraz bardziej wątpliwa, aż ostatecznie przekreślił ją prezydent USA Wilson, uznając prawa narodów Europy Środkowej i Południowej do pełnej niepodległości. Nadchodziła jesień 1918 r.

Premier socjalista

We wspomnieniach Daszyńskiego te dni to przede wszystkim ciężka praca i wielka improwizacja zamieniająca chaos w jako taki porządek. Nieco operetkowe działania Polskiej Komisji Likwidacyjnej powołanej w październiku w Krakowie trochę Ignacego mierziły, toteż nie wahał się, gdy 6 listopada przybył z Lublina por. Olszamowski z listem od płk. Śmigłego-Rydza. W liście tym pułkownik informował, że POW kontroluje miasto, i wzywał polityków do przyjazdu. Wieczorem więc do automobilu wsiedli wraz z Daszyńskim Wincenty Witos, Jędrzej Moraczewski i poseł Jan Stapiński, radykał z PSL. Moraczewski poczuł się źle, w drogę ruszyli bez niego. Zużyte dętki i opony pękały jedna po drugiej. Tuż za Puławami kierowca nie zauważył szlabanu rogatek. Uderzony nim w głowę Stapiński padł bez przytomności na ręce Daszyńskiego. Osiem kilometrów przed Lublinem skończyła się benzyna. Zdobycie paliwa było niemożliwe, więc szacowni posłowie wjechali do Lublina dopiero o godz. 15, siedząc na sianie chłopskiej furmanki. Kilka godzin snu w hotelu Victoria, potem przejście do siedziby austriackiego gubernatora, którym był wówczas gen. Antoni Liposzczak. Generał dostał uprzejmy, ale stanowczy rozkaz opuszczenia budynku i powrotu do cesarstwa – którego już nie było – a polscy politycy zasiedli do pierwszego zebrania Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Śmigły-Rydz jeszcze przed przyjazdem Witosa z Daszyńskim kazał przygotować plakaty ze składem rządu, którego Ignacy Daszyński był premierem i obejmował tekę spraw zagranicznych; sprawy wewnętrzne powierzono Stanisławowi Thuguttowi, Jędrzej Moraczewski miał odpowiadać za komunikację, Wincenty Witos za kwestie aprowizacji; pisarz Wacław Sieroszewski miał zająć się propagandą (z pomocą wiceministrów Andrzeja Struga, Tadeusza Hołówki oraz – uwaga! – Ireny Kosmowskiej); za wojsko odpowiadał Edward Rydz-Śmigły. Premier Daszyński był zadowolony: rząd bowiem reprezentował najbardziej przez niego cenione siły społeczne: pięciu »

eprasa.pl c7862e56a9

ministrów było socjalistami, pięciu było ludowcami, czterech reprezentowało inteligencję, żołnierz był (formalnie) bezpartyjny. Wincenty Witos zdecydowanie postawił kwestię poszerzenia rządu o ludzi z narodowej demokracji, reprezentujących poglądy znacznej części społeczeństwa. Wobec odmowy Witos spotkanie opuścił i nie zwlekając, powrócił do Krakowa. Nieoficjalnie mówiło się, że oprócz poglądów w grę wchodziły również ambicje: w Krakowie Daszyński podlegał Witosowi jako szefowi PKL, w Lublinie zaś Daszyński był premierem, Witos zaledwie ministrem.

Choć premier Daszyński doskonale zdawał sobie sprawę z doniosłości przyszłych reform zapowiedzianych w manifeście swego rządu, to przede wszystkim wydarzenia bieżące domagały się zdecydowanej uwagi. Przez polskie ziemie przewalały się tysięczne tłumy jeńców, dezerterów, zdezorientowanych żołnierzy, których państwa raptownie znikały, bandy wygłodniałych i zrewoltowanych frontowców. Nad tym groźnym chaosem należało zapanować, masy ludzkie przemieścić, resztki majątku uratować przed grabieżą. Lapidarnie i konkretnie opisał sytuację dni listopadowych w byłej już okupacji austriackiej Daszyński: „Bo też panowały stosunki straszne, niosące w sobie możliwość najdzikszych wybryków. Przez Polskę waliła w dwóch kierunkach ogromna fala jeńców wojennych z zachodu i zdemoralizowanych żołnierzu austriackich ze wschodu. W środku zaś czyhały na łup gromady załóg austriackich i bandy dezerterów, rozbijających po drogach. Austriaccy dowódcy albo byli bezsilni, albo obmyślali, co by zrabować i wywieźć z kraju. Zadanie nasze było jasne: opanować koleje, rozbroić załogi, zabrać wojskowe magazyny i dać krajowi administrację". Administracją zajmował się minister Thugutt, mianując i rozsyłając w teren „komisarzy ludowych" przejmujących władzę od austriackich starostów, wspieranych przez lokalne milicje robotnicze i chłopskie. Lojalni kolejarze socjaliści, musztrujący się dopiero ochotnicy, pełni zapału ministrowie społecznicy stanowili całą siłę tego rządu. Wszyscy pracowali po 20 godzin na dobę

W niedzielę 10 listopada odbyła się wielka manifestacja na pl. Litewskim w Lublinie, Ignacy wygłosił na niej przemówienie w swoim stylu – miało ono mieć dla niego przykre konsekwencje: „[...] rząd nie odrzuca szczerej pracy i pomocy niczyjej, ale nie podda ludu pod niczyje rozkazy, jak tylko z woli ludu płynące. Polska musi być ludowa lub upadnie: kto chce Polski silnej, ten podda się ludowi polskiemu. Szlacheckie czy kapitalistyczne rządy w Polsce są niemożliwe, a próba ich utworzenia wywołać musi wojnę domową!".

W poniedziałek z Warszawy zadzwonił do premiera Daszyńskiego Józef Piłsudski. Po południu pomknął Daszyński samochodem do stolicy, o 10.00 wieczorem zameldował się wyczerpanemu 16 miesiącami uwięzienia Komendantowi, który powierzył mu misję utworzenia pierwszego, ogólnopolskiego rządu. Dość spokojnie opisał Daszyński swoje kilkudniowe negocjacje, których celem było utworzenie rządu koalicyjnego. Bez emocji stwierdzał, że pod oknami jego siedziby krzyczano: „Precz z Daszyńskim! Na szubienicę!" – tak siły endeckie odpowiadały na przemówienie z pl. Litewskiego. I Daszyńskiego, i Piłsudskiego raziło ustawiczne powoływanie się narodowych demokratów na wolę aliantów, oczekiwanie na wkroczenie ich sił zbrojnych do Polski od zachodu oraz pewne lekceważenie dla wysiłków krajowych. Jak przypuszczał Daszyński, słynna depesza Józefa Piłsudskiego, wysłana 16 listopada do państw wojujących i neutralnych, a notyfikująca odrodzenie państwa polskiego, była poniekąd reakcją na plany narodowych demokratów. „Dzięki zmianom, które nastąpiły wskutek świetnych zwycięstw armii sprzymierzonych – wznowienie niepodległości i suwerenności Polski staje się faktem. Państwo polskie powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych. Rząd polski zastąpi panowanie przemocy, która sto czterdzieści lat ciążyła nad losami Polski przez ustrój zbudowany na porządku i sprawiedliwości. Opierając się na armii polskiej pod moją komendą, mam nadzieję, że odtąd żadna armia obca nie wkroczy do Polski, nim nie wyrazimy w tej sprawie formalnej woli naszej. Jestem przekonany, że potężne demokracje Zachodu udzielą swej pomocy i braterskiego poparcia Polskiej Republice odrodzonej i niepodległej" – pisał Piłsudski.

Pięć dni trwały negocjacje i prace Ignacego Daszyńskiego jako desygnowanego premiera nad stworzeniem rządu. Dążąc do skomponowania stabilnego układu koalicyjnego, wspieranego przez prawicę, dość szybko zdał sobie sprawę, że największą przeszkodą dla jego powstania jest on sam. Kontynuował rozmowy, ale podstawą do nich była jego nieformalna rezygnacja. Mając gotowy skład gabinetu, Daszyński namówił swego partyjnego towarzysza i przyjaciela Jędrzeja Moraczewskiego, by stanął na czele nowego gabinetu. Wieczorem 17 listopada Daszyński z Moraczewskim udali się do Piłsudskiego leżącego z gorączką w łóżku. Po kolejnych godzinach rozmów wreszcie o 3.00 w nocy, 18 listopada, Józef Piłsudski podpisał dymisję Daszyńskiego, nominację Moraczewskiego i skład gabinetu. Daszyński uwolniony od brzemienia, sterany pracą nad siły, przekonany, że zyskał zasługę, poświęcając osobiste ambicje dla dobra wspólnego, wrócił do hotelu i zapadł w długi sen. Po obudzeniu, uwolniony od trosk, wolny po raz pierwszy od 21 lat od obowiązków publicznych poszedł na spacer.

Autor jest pracownikiem BEN IPN Lublin

FOT. SHUTTERSTOCK

Autopromocja

Przesłanie Ignacego Daszyńskiego

„Nie ulegajmy jednak zaślepieniu, jakobyśmy »dostali Polskę darmo«. Nie zamykajmy oczu na własny ruch odrodzeńczy, który na długo przed wojną światową ogarnął szerokie warstwy ludu polskiego. Obce armie nie mogłyby państwowo wyzwolić narodu-trupa, narodu, który by sam nie miał w sobie woli do życia, woli do wolności i niepodległości!

Lecz jedno nie śmie dzisiaj ulegać dla nikogo w Polsce żadnej wątpliwości. Trzeba w Polsce czynić tak, trzeba dla Polski pracować tak, abyśmy już nigdy, przenigdy w niewolę nie popadli! W dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości ten ślub uczynimy: Raczej śmierć niż utrata niepodległości!"

Przemówienie sejmowe w 10. rocznicę odzyskania niepodległości, 10 listopada 1928 r.

eprasa.pl c7862e56a9

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik SIECI i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Płonące Pustkowie"
o wartości 39,90 zł
otrzymasz gratis!

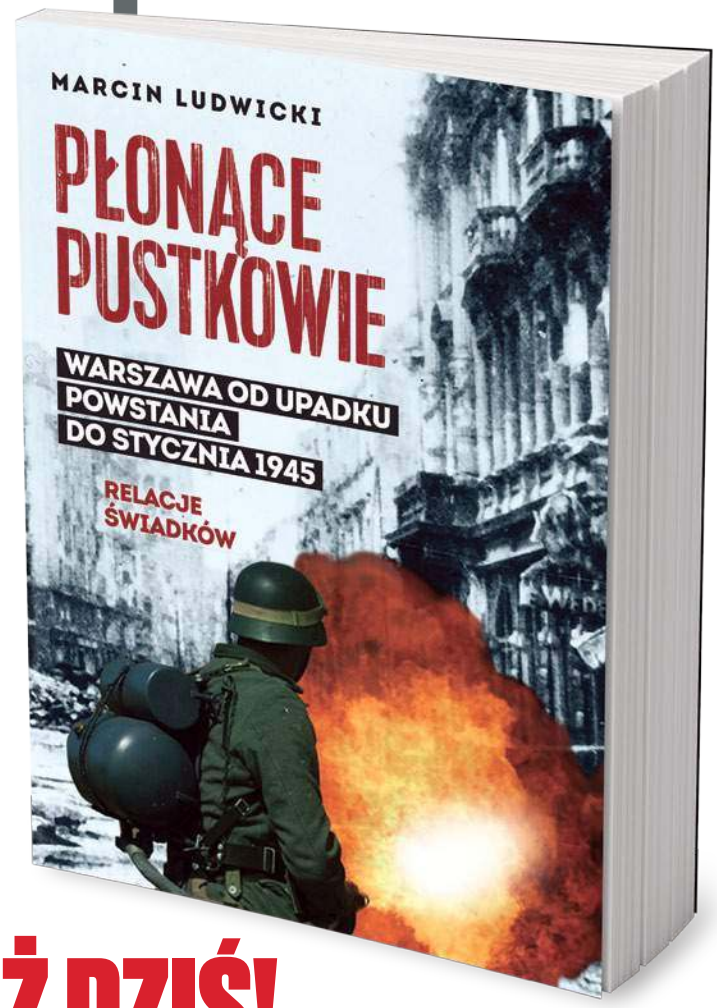

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl c7862e56a9

POLSKA I CZECHY

JUŻ OD PONAD TYSIĄCA LAT ISTNIEJĄ DWA BRATNIE PAŃSTWA, POLSKA I CZECHY. BRATNIE, GDYŻ OBA ZAMIESZKUJĄCE JE NARODY SĄ SOBIE BARDZO BLISKIE. TYSIĄC LAT TEMU RÓŻNICE BYŁY JESZCZE MNIEJSZE

Jan Matejko, „Koronacja pierwszego króla", 1889 r.

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

MAREK BARAŃSKI

Nawet dzisiaj Polak może bez tłumacza rozmawiać z Czechem, nasze języki są niemal jednym językiem. Z powodu innych doświadczeń różne są natomiast cechy charakterów polskich i czeskich. Ale do początku XVII w., do bitwy pod Białą Górą, gdzie Czesi stracili całą swą elitę, niewiele się różniliśmy. Co więc spowodowało, że nie stworzyliśmy jednego państwa?

Początki państwa czeskiego sięgają drugiej połowy IX w. Wtedy to kolejni przedstawiciele rodu Przemyślidów zaczęli jednoczyć plemiona żyjące w Kotlinie Czeskiej. Do śmierci Świętopełka morawskiego (894 r.) Czesi podlegali władcom Wielkich Moraw, ok. 985 r. czeski książę Borzywoj pod wpływem Świętopełka i św. Metodego przyjął chrzest. Czesi wyzwolili się spod władzy Moraw po 906 r., gdy pod ciosami Węgrów padło państwo wielkomorawskie.

Prawie rówieśnicy

We wczesnym średniowieczu państwo czeskie osiągnęło największe rozmiary

eprasa.pl c7862e56a9

za panowania Bolesława I (935–972). Książę ten, po zamordowaniu swego brata Wacława, stał się panem całej Kotliny Czeskiej. Następnie opanował on Morawy, Śląsk i ziemię krakowską. Zdobyczy tych nie zdołał utrzymać jego syn i następca Bolesław II. Na rzecz władcy Polski Mieszka I stracił Kraków i Śląsk. Co prawda książę ten zunifikował ostatecznie swe państwo, likwidując zależne od niego libickie księstwo Sławnikowiców, jednak wcześniejsze straty terytorialne spowodowały zmniejszenie czeskiej potęgi militarnej, a także obniżenie autorytetu władcy.

Państwo polskie zaczęło się organizować nieco później. Co prawda pierwsza próba stworzenia organizacji państwowej na ziemiach późniejszej Polski miała miejsce, tak jak w Czechach, w drugiej połowie IX w. Wtedy rozpoczął swoją działalność książę wiślański. Ponieważ jednak organizował on wyprawy łupieżcze na Morawy, został pokonany przez ich władcę – Świętopełka. Natomiast państwo nazwane później Polską zaczęli na przełomie IX i X w. tworzyć przodkowie Piastów. Powstawało ono w okolicach Gniezna i Poznania, kolejni Piastowie, początkowo władający tylko Polanami, podporządkowywali sobie niezależne dotychczas drobne plemiona graniczące z ich księstwem. Na arenę międzynarodową państwo to wstąpiło w 966 r. wraz z przyjęciem chrztu przez Mieszka I.

W X w. państwo Piastów rosło i było coraz silniejsze. Mieszko rozszerzył swe panowanie także na ziemie podległe Czechom, podporządkowując sobie Kraków i podbijając Śląsk. Za panowania Bolesława Chrobrego, syna i następcy Mieszka, Polska wzmocniła się tak bardzo, że mogła prowadzić zwycięskie wojny nawet z będącym cesarzem rzymskim królem niemieckim.

Polska kariera dzięki czeskiemu świętemu

Bolesław został władcą Polski w 992 r. Prędko zjednoczył podzielone przez swego ojca państwo, wypędzając przyrodnich braci z kraju. Prędko też włączył się w politykę europejską, wspierając cesarzową Teofano rządzącą w Niemczech w imieniu młodego Ottona III. Wsparł też misję pruską wypędzonego z Czech biskupa praskiego Wojciecha. Gdy misja ta zakończyła się niepowodzeniem, a Wojciech został przez Prusów zamordowany, Chrobry wykupił jego ciało, urządził mu uroczysty pogrzeb w Gnieźnie i powiadomił o męczeństwie misjonarza zarówno papieża Grzegorza V, jak i cesarza Ottona III. Wiadomość ta wstrząsnęła młodym cesarzem, zrobiła też wrażenie na papieżu. Już w 999 r. Wojciech został kanonizowany, a jego brat Gaudenty, który był uczestnikiem misji pruskiej, został arcybiskupem św. Wojciecha. Został określony tak dziwnym tytułem, gdyż arcybiskupstwo gnieźnieńskie nie było jeszcze ustanowione. Cesarz natomiast zdecydował się na pielgrzymkę do Gniezna, do grobu świętego.

Przybył tam w 1000 r., Bolesław Chrobry powitał go niezwykle uroczyście. W czasie zjazdu gnieźnieńskiego św. Wojciech został ogłoszony patronem Cesarstwa, natomiast panującego w Polsce Bolesława Otton uznał za jednego z najważniejszych władców chrześcijańskiej Europy. Rządzona przez niego Polska miała się stać jednym z kilku królestw wchodzących w skład odrodzonego Cesarstwa Rzymskiego. Pochodząca z tych czasów miniatura przedstawia te królestwa. Były nimi: Roma, Galia, Germania i Sklawinia, czyli państwo Bolesława. Jednocześnie zostało utworzone arcybiskupstwo gnieźnieńskie, arcybiskupem został Gaudenty, brat św. Wojciecha, a władca Polski dostał prawo mianowania biskupów w swoim państwie. Była to prerogatywa przynależna wyłącznie koronowanym władcom.

STWORZENIE JEDNEGO PAŃSTWA W XI w. JUŻ NIE BYŁO MOŻLIWE. WCZEŚNIEJ WYTWORZYŁY SIĘ W OBU KRAJACH NIEZALEŻNE OD SIEBIE OŚRODKI WŁADZY, POWSTAŁY NIEZALEŻNE DYNASTIE, LOKALNE ELITY

Dwóch Bolesławów

Zjazd gnieźnieński był wielkim sukcesem politycznym Bolesława Chrobrego. W tym samym czasie państwo czeskie przeżywało kryzys. Zaczął się on już pod panowaniem Bolesława II, gdy Czechy utraciły na rzecz Polski Kraków i Śląsk. Jednak naprawdę złe czasy nastąpiły po 999 r., po śmierci Bolesława II. Po zmarłym księciu tron praski odziedziczył jego najstarszy syn Bolesław III zwany Rudym. Był to okrutny władca, ale może jego tyrańska władza spowodowana była kryzysem państwa. W Czechach coraz więcej do powiedzenia mieli przedstawiciele rodu Wrszowców, którzy zaczęli wspierać młodszych braci Bolesława: Jaromira i Udalryka. Ratując swą władzę, Bolesław Rudy kazał wykastrować Jaromira. Zagrożeni bracia książęcy uciekli do Niemiec. Nie uratowało to Bolesława Rudego. Wrszowcy wygnali księcia z kraju, a na tron został zaproszony przedstawiciel bocznej linii Przemyślidów, Władywoj. Książę ten rozpoczął swe panowanie od podróży do Ratyzbony i złożenia hołdu lennego nowemu królowi Niemiec, Henrykowi II. Od tego czasu Czechy stały się lennem królów niemieckich.

Władywoj zmarł już w 1003 r., podobno z powodu nadmiernego pijaństwa. Po jego śmierci na praski tron wrócił Jaromir. Nie panował długo. Ale czy naprawdę panował? O tym, co działo się w Czechach, decydowali przedstawiciele potężnego rodu Wrszowców. Wygnali oni Jaromira. Z zamieszania skorzystał Bolesław Chrobry i ponownie wprowadził do Pragi Bolesława Rudego. Miał nadzieję, że będzie on jego wiernym sojusznikiem. Niestety zawiódł się. Bolesław Rudy zaczął prowadzić działania niezgodne z zamierzeniami Chrobrego. Książę czeski nie potrafił też porozumieć się ze swoimi poddanymi. Po powrocie do Pragi zaczął się mścić na tych, których uznał za swoich wrogów. Między innymi zabił swego zięcia, członka potężnego rodu Wrszowców. Mścił się, gdyż w wyniku kryzysu władza książęca w Czechach »

eprasa.pl c7862e56a9

Święty Wojciech, litografia z XIX w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

bardzo osłabła, Bolesław Rudy chciał ją wzmocnić okrucieństwem. Swoim postępowaniem wzbudził powszechne niezadowolenie.

Równowaga po cesarsku

Z panującego w Czechach napięcia ponownie skorzystał Bolesław Chrobry. Zaprosił Bolesława Rudego do Polski na rozmowy, a tu kazał go pojmać i oślepić. Następnie zatrzymał Rudego u siebie. Nieszczęsny książę spędził resztę życia w krakowskim więzieniu. Po zneutralizowaniu czeskiego księcia Bolesław Chrobry przybył do Pragi, tam został entuzjastycznie powitany. Czesi mieli nadzieję, że doczekali się nareszcie takiego władcy, na jakiego liczyli. Bolesław Chrobry nie był dla nich kimś obcym, jego matka pochodziła przecież z dynastii Przemyślidów. Wydawać by się mogło, że Bolesław Chrobry zjednoczy mieszkające po obu stronach gór tak bliskie sobie plemiona słowiańskie, a w efekcie powstanie duże i silne państwo mogące konkurować z Niemcami. Tak się jednak nie stało.

Król Niemiec Henryk II nie był oczywiście zadowolony z zajęcia przez Chrobrego czeskiego tronu, jednak był zbyt zaabsorbowany innymi sprawami, aby natychmiast interweniować. Zażądał tylko od Chrobrego złożenia hołdu lennego z Czech. Bolesław nie zgodził się na to, sądził, że jest dość potężny, aby przeciwstawić się Henrykowi. Miał nadzieję, że jego władza w Czechach opiera się na silnych podstawach. Niezłożenie hołdu było jedną z przyczyn wybuchu wojny polsko-niemieckiej, choć zapewne i bez tego była ona nieunikniona.

W 1004 r. Henryk II ogłosił wyprawę wojenną przeciw Polsce. Zebrał wojska i ruszył w kierunku granicy. Jednak nad Łabą nie skierował swych wojsk na Polskę, tylko na Czechy. Rozpoczął on bowiem wojnę w interesie czeskiego księcia Jaromira, który wraz ze swoimi zwolennikami towarzyszył mu w wyprawie.

Do walk doszło w okolicy Żatca. Gród ten padł, Czesi zaczęli masowo opuszczać Bolesława Chrobrego i przechodzić na stronę podążającego z Niemcami Jaromira. Gdy wojska niemieckie wraz z coraz liczniejszymi Czechami doszły do Pragi, Bolesław wycofał się do Polski. Udało mu się wyprowadzić swych wojowników z Czech, w walce zginął tylko dowodzący tylną strażą brat św. Wojciecha, Sobiebor.

Po wyparciu Polaków z Pragi na tronie Przemyślidów zasiadł Jaromir, Bolesław Chrobry zachował tylko Morawy. Nie udało się z dwóch bratnich ludów stworzyć jednego państwa. Nie udało się to także kilkadziesiąt lat później czeskiemu księciu Brzetysławowi. W 1039 r. wyruszył on na osłabioną kryzysami Polskę, złupił Gniezno i Poznań, przyłączył do Czech Śląsk. Być może, gdyby mógł kontynuować swą działalność, podbiłby ziemie państwa piastowskiego. Jednak tym razem król niemiecki wsparł Piasta Kazimierza i Polska pozostała odrębnym od Czech państwem.

Puszczając wodze fantazji...

Gdyby doszło do stworzenia z Polski i Czech jednego państwa, byłoby to państwo potężne. Dla władców Niemiec stanowiłoby równorzędnego partnera. Niemożliwe byłoby zmuszanie władców takiego państwa do płacenia trybutu ani składania hołdu cesarzowi. Jednak w XI w. stworzenie jednego państwa nie było już możliwe. Wcześniej wytworzyły się w obu krajach niezależne od siebie ośrodki władzy, powstały niezależne dynastie, lokalne elity. W XI w. istniała już w obu państwach własna tradycja, która nie pozwalała na podporządkowanie się sąsiadom. Nawet tak bliskim jak poddani Piastów dla Czechów i poddani Przemyślidów dla zwolenników Piastów. Już w XI w. byliśmy odrębnymi narodami, choć zapewne, gdyby przewaga któregoś z centrów, Pragi albo Gniezna, trwała dłużej, być może stalibyśmy się jednym narodem.

A może, gdyby Węgrzy nie zniszczyli Wielkich Moraw, władcy z dynastii Mojmirowiców stworzyliby państwo składające się z Czech, Moraw, Polski, a także Słowacji i może jeszcze Łużyc? Może, ale to już historia alternatywna, czyli fantazja.

eprasa.pl c7862e56a9

TOMASZ GARRIGUE MASARYK I RELACJE POLSKO-CZESKIE U PROGU 1918 r.

MACIEJ GLOGER

REFLEKSJE W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI PRZEZ POLSKĘ I CZECHY

W tym roku Polska i Czechy (w 1918 r. Czechosłowacja) obchodzą stulecie niepodległości. W obu krajach rocznicy towarzyszy szeroki program wydarzeń kulturalnych i historycznych. Instytut Polski w Pradze (Polský Institut v Praze) włączył się w ten program projektem „Świętujemy razem", który znawcy dziejów może się wydawać przesadny, ale na pewno potrzebny dla wzajemnego poznania. Polacy i Czesi znają się bardzo mało i odwołują się często do stereotypów. Pozytywnych wydarzeń ze wspólnej historii zmagań o niepodległość możemy wskazać niewiele. Więcej ich jest w relacjach kulturalnych. Wydawałoby się, że dwa bliskie kraje słowiańskie powinny solidarnie wspierać się w swych niepodległościowych dążeniach, zwłaszcza w obliczu zagrożenia niemieckiego i sowieckiego. Niestety, zwłaszcza 1918 r. pokazał, że zamiast współpracy dominowały nieufność i wrogość, konkurowanie w przystępie do ucha zachodnich dyplomatów. Stało się tak nie tylko z powodu zatargów granicznych o Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawę, ale także »

Tomasz Masaryk ogłasza w Filadelfii niepodległość Czechosłowacji, 26 października 1918 r.

FOT. NAC

» na skutek antypolskich poglądów społeczno-politycznych ojca czeskiej niepodległości Tomasza Garrigue Masaryka.

Polska kultura inspiruje

Czeskie odrodzenie narodowe, jakie nastąpiło w XIX w., niemało zawdzięczało polskim wzorcom kulturalnym i literackim zarówno romantycznym, jak i pozytywistycznym. Wykazał to w swych publikacjach wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze w okresie międzywojennym Marian Szyjkowski (polski skrót wielotomowego dzieła profesora został wydany w Poznaniu „Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym", 1947). Czescy poloniści zaś, tacy jak Josef Bečka, a zwłaszcza jego syn Jiři Bečka, wskazali w swych pracach ogromny wpływ twórczości Henryka Sienkiewicza na kształtowanie się czeskiej nowoczesnej świadomości narodowej. Dużą popularnością cieszyła się w Czechach twórczość innych pisarzy pozytywistycznych: Orzeszkowej, Konopnickiej, a potem Reymonta. Można też wskazać na wpływy polskiej opery na kompozytorów czeskiego odrodzenia narodowego, takich jak Bedřich Smetana, twórcy słynnego cyklu poematów symfonicznych „Moja ojczyzna" oraz ojca czeskiej opery narodowej.

Sam Masaryk znał dobrze język polski i w młodości nawet sympatyzował z polskimi ruchami niepodległościowymi. W swych słowianoznawczych zainteresowaniach nie pomijał kultury polskiej, ceniąc sobie zwłaszcza twórczość Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego. Korespondował z wieloma polskimi uczonymi, m.in. Bronisławem Grabowskim i Janem Karłowiczem. Głębszą przyjaźń zawarł z wybitnym polskim filozofem i słowiańskim kulturoznawcą Marianem Zdziechowskim.

W kulturze czeskiej oraz w naukowych zainteresowaniach Masaryka dominowała jednak fascynacja kulturą rosyjską, co później przełożyło się także na politykę. Masaryk przedkładał nawet sowiecką Rosję nad odrodzoną i demokratyczną Polskę. Było to powodem rozejścia się dróg duchowych Zdziechowskiego i Masaryka, zaznaczone gorzkim artykułem polskiego filozofa i zarazem znaczącego sowietologa „Lui et moi" („On i ja"), zamieszczonym w 1926 r. w „Przeglądzie Współczesnym".

Tekst był pierwotnie przeznaczony do jubileuszowego numeru czasopisma „Slovansky Přehled" wydawanego przez wybitnego czeskiego słowianoznawcę, etnografa i polonofila Adolfa Černego (w latach 1898–1914 i 1925–1930, periodyk ukazuje się po dziś dzień). Czasopismo było imponującym pod względem merytorycznym i objętościowym organem szerzącym ideę wzajemności słowiańskiej i projektującym przyszłą federację narodów słowiańskich. Okładkę jednego z pierwszych numerów pisma stanowiła reprodukcja alegorycznego obrazu Artura Grottgera „Posąg Słowiańszczyzny" z 1865 r. Namalowany kredką i węglem na białym papierze obraz zdobił założone w Wiedniu „Kasyno Słowiańskie". Pod tym obrazem Grottger przemawiał na otwarciu kasyna w duchu słowiańskiej wzajemności. Wiedeń stawał się wtedy ośrodkiem myśli austroslawistycznej, a Grottger przebywał tam na zaproszenie Jana Palackiego, którego politykę federacjonistyczną popierał. Idea pisma zyskała sympatię polskich twórców, m.in. Orzeszkowej, Sienkiewicza, Tadeusza Grabowskiego oraz syna wielkiego poety Władysława Mickiewicza. Černy kontynuował dzieło innego, zmarłego przedwcześnie działacza zbliżeniowego Edwarda Jelinka (1855–1897). Z inicjatywy Sienkiewicza wmurowano w Dolinie Strążyskiej w Tatrach w 1898 r. tablicę i popiersie tego uczonego. Černy, kontynuując dzieło Jelinka, mógł wpływać na Masaryka, był bowiem także politykiem m.in. biorącym udział w konferencji wersalskiej, później posłem czeskim w Warszawie w latach 1922–1923. Mimo tych wspaniałych tradycji wzajemnej wymiany duchowej Masaryk był zadziwiająco uprzedzony do odradzającego się państwa polskiego.

Artykuł Zdziechowskiego nie został w Czechach opublikowany, maszynopis z tłumaczeniem znalazł się jednak na biurku Masaryka z adnotacją, że tekst nie będzie uwzględniony w numerze, co pokazuje, że cenzorskie zapędy były obecne i w liberalnej Czechosłowacji.

Głęboki antypolonizm

Idea polsko-czeskiego zbliżenia, a nawet federacji państwowej, powracała w czasie I i II wojny światowej, nie mogła jednak nabrać kształtów ani życia z uwagi na antypolskie uprzedzenia Masaryka i jego współpracownika oraz następcy Edvarda Beneša. Ideę federacji omawiał z Romanem Dmowskim najpierw Masaryk w latach 1916–1918. Idea wróciła w latach 1940–1942, kiedy w Londynie gen. Władysław Sikorski z Benešem i synem Masaryka – Janem konsultowali już bardzo zaawansowany projekt takiego związku. Rozmowy te w jednym i drugim wypadku spełzły na niczym, strona czeska bowiem tylko je pozorowała, aby prezentować się korzystniej, jako partner liberalny, otwarty i ugodowy, przed aliantami, a z drugiej strony, aby nie narażać się Rosji, najpierw carskiej, potem bolszewickiej, oraz Stalinowi. Warto tu odesłać do ciekawej monografii Marka K. Kamińskiego „Edward Beneš kontra gen. Władysław Sikorski" (2005).

Opublikowana niedawno (2013) korespondencja Masaryka z Benešem ukazuje bardzo zły, wręcz nacechowany fałszem, stosunek tych mężów stanu do Polski. Nie brakuje tam pogardliwych stwierdzeń i ocen. Postawa polskich polityków określana jest jako rodzaj „żebrackiego arystokratyzmu". Bardzo sceptycznie podchodzili do idei oddania Polsce Gdańska, uważali bowiem, jak to określał Masaryk, iż „Polacy nie strawią Gdańska. Nie mają dość gospodarczej kultury". Dodawał też: „Pamiętam, że Wilson mi powiedział, że Gdańsk nie musi być polski, tak więc bym się Wilsonowi w tej opinii nie sprzeciwiał". Polskich historyków bulwersuje zwłaszcza stwierdzenie Masaryka, który 28 grudnia 1918 r. napisał: „Polakom nie zaszkodziłby solidny policzek w twarz, ostudziłby niebezpiecznych szowinistów".

Były dwa najistotniejsze powody niechęci czeskiego prezydenta do Polski: po pierwsze, jego mocarstwowe ambicje, dążące do przyciągnięcia do Czechosłowacji różnych mniejszości, w tym np. ukraińskiej (na Wołyniu znajdowały się spore kolonie czeskie); po drugie, poglądy filozoficzne, zmierzające do przemiany porządku świata, związane także z jego masońskimi inklinacjami. Polska stawała się zawadą i konkurencją dla stworzenia silnego państwa mogącego z czasem stać się ośrodkiem przemiany krajów słowiańskich w jeden organizm państwowy, który stanowiłby zaczątek idealnego ustroju społecznej sprawiedliwości, o czym marzyli czescy bohaterowie narodowi tacy jak Jan Hus, Petr Chelčický i Jan Amos Komeński. Na ich biografii i dziełach budowano wówczas nowoczesny, czechosłowacki mit państwowy. W tych dążeniach wspierało Masaryka wielu artystów czeskich, w tym słynny malarz, wielki mistrz wolnomularski, Alfons Mucha.

eprasa.pl c7862e56a9

Masońskie inspiracje i pieniądze

W latach 1911–1928 Mucha stworzył słynny monumentalny cykl 20 obrazów „Słowiańska epopeja", który jest malarską ilustracją masarykowskiej utopijnej historiozofii. Mucha bowiem pilnie wczytywał się w pisma Masaryka oraz w pisma wielu innych historyków i filozofów, uchodzących za twórców nowoczesnej Czechosłowacji, z Janem Palackim na czele. Dzieło zostało zainspirowane w kręgach ówczesnej masonerii. Niemały udział w rozbudzeniu słowianofilskich idei na Zachodzie miał milioner, tajemniczy sponsor nie tylko Muchy, rusofil i słowianofil Charles Richard Crane (1858–1939); przyjaciel prezydentów Wilsona i Masaryka, zarazem człowiek zaangażowany we wspieranie rewolucji bolszewickiej oraz sponsor Lwa Trockiego, jak to wykazał Antony C. Sutton w swej przełomowej monografii „Wall Street a rewolucja bolszewicka". Badacze wskazują słowianofilsko-mesjanistyczne inspiracje cyklu Muchy, czerpane z utworu Jána Kollára „Córa sławy" (1824), jak i unowocześnione przez możliwe oddziaływanie koncepcji antropozoficznych i teozoficznych Rudolfa Steinera. W wieńczącym cykl obrazie „Apotéoza »Slovanstvo pro lidstwo«" utopijno-mesjańskie przesłanie cyklu dochodzi do głosu. Widoczne są też wpływy socjalizmu utopijnego Saint-Simona, idei Religii Ludzkości Augusta Comte'a, a także rozprawy polskiego mesjanisty Augusta Cieszkowskiego. Mucha bowiem namalował także cykl „Ojcze nasz", będący komentarzem do Modlitwy Pańskiej, tak jak najważniejsze dzieło polskiego mesjanisty noszące ten sam tytuł.

Jednak nie była to idea mesjańska w szlachetnym romantycznym stylu, ale nacechowana już nacjonalistycznym, dość wąskim szowinizmem ideologicznym z jednej strony oraz rewolucyjnym resentymentem wywiedzionym z okultystycznych tradycji rewolucji francuskiej z drugiej strony.

Utopijne zaślepienie

Masaryk chciał mieć Zaolzie, bo chciał mieć węgiel i linię kolejową, co miało zapewnić powstającemu czechosłowackiemu mocarstwu silną pozycję: „Musimy mieć Karwin (węgiel), gdy będziemy mieć dość węgla, będziemy w stanie dostarczać go Wiedniowi, Budapesztowi i Bawarii, a dzięki temu będziemy mieć wpływ na te kraje". Zastanawia w tym stwierdzeniu wymienienie Bawarii jako osobnego kraju. W tym czasie (8 listopada 1918 r.) Bawaria proklamowała się jako osobna republika pod wodzą lewicowego dziennikarza żydowskiego pochodzenia Kurta Eisnera. Masaryk zawiadywał: „Bawaria nawiązuje kontakt, chce od Berlina iść precz i liczy na naszą pomoc. Przysyła nam swych ludzi. Chciał przyjechać Kurt Eisner sam, przysłał swojego człowieka, spotkam go jutro". W liście też odnotował silne poparcie czeskich Niemców dla swojego państwa i ich niechęć wobec Polski. W tym czasie Adolf Černy pracował nad koncepcją, przedstawioną przez niego na konferencji wersalskiej, stworzenia autonomicznych Łużyc pod czechosłowackim protektoratem. Gdyby ten zasłużony badacz języka i kultury łużyckiej wywalczył autonomię dla Słowian Łużyckich, można było mieć nadzieję, że wejdą oni w przyszłości w skład federacji czechosłowackiej, a więc zwiększą potencjał państwa Masaryka.

Tomasz Masaryk, prezydent Czechosłowacji, 1919–1935

FOT. NAC

Jednocześnie trzeba było maksymalnie osłabić Polskę, jako konkurencyjne mocarstwo i jako ostoję tradycjonalizmu. Szczególna okazja pojawiła się w momencie wybuchu wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Masaryk, jak wiadomo, sprzyjał propagandzie antypolskiej, nie przepuszczano przez Czechy transportów broni z Węgier; przekonywał zachodnich polityków, że nie warto udzielać Polsce żadnej pomocy militarnej, być może wręcz liczył na połączenie się rewolucji bolszewickiej z niemiecką komuną zgaszoną w 1919 r. w Bawarii. W swych rachubach liczył na to, że kulturowa i ekonomiczna siła jego państwa doprowadzi do ucywilizowania Rosji, zjednoczenia postępowych Słowian i zbudowania utopijnej wspólnoty odmalowanej w dziele Alfonsa Muchy. A bezpieczeństwo i stabilność jego kraju w zupełności zagwarantują sojusznicze Anglia i Francja. Jak bardzo się przeliczył w swych rachubach i w swej wierze w wolnomularską solidarność, pokazał rok 1938 i traktat monachijski.

Prezydenta Czech musiało jednak gryźć sumienie, gdy bowiem ukazała się słynna książka Edgara Vincenta D'Abernona, w której ujawniono antypolskie stanowisko Masaryka, służby prezydenta zbierały wycinki prasowe z całego świata, które informowały o tej zdradzie Polski. W archiwum Masaryka w odpowiedniej teczce znajduje się sporo tych wycinków. Nie była to zapewne lektura przyjemna dla tego utopisty, który zbudował, owszem, nowoczesne Czechy o imponującej kulturze, zwłaszcza materialnej, ale nie zdołał zapewnić swemu państwu dłuższej egzystencji.

Polska i Czechy podzieliły jednako swój los i w 1939 r., i w 1945. Warto się ciągle zapytywać, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby jednak została zawiązana polsko-czechosłowacka federacja lub chociażby sojusz wojskowy, mogący być zaczątkiem międzymorza. Była na to szansa w 1918 r., solidne podstawy tego zbliżenia stworzyły wszak znakomite relacje kulturalne doby pozytywizmu. Niestety, na przeszkodzie do zbliżenia stanęła utopijna, rewolucyjno-masońska formacja duchowa Masaryka, pozwalająca mu z sympatią spoglądać na bolszewizm, a z pogardą na chrześcijańską Polskę.

eprasa.pl c7862e56a9

ZIEMIA CIESZYŃSKA OD NIEPAMIĘTNYCH CZASÓW STANOWIĄCA INTEGRALNĄ CZĘŚĆ ŚLĄSKA PRZEZ WIEKI DZIELIŁA LOSY CAŁEJ DZIELNICY. I PRAWIE OD ZAWSZE – JAK CAŁA KRAINA – STANOWIŁA OŚ NIEZGODY MIĘDZY TAK BLISKIMI SOBIE NARODAMI SŁOWIAŃSKICH CZECHÓW I POLAKÓW

ZAPOMNIANY KAWAŁEK POLSKI

Bogumin na Zaolziu, 1939 r.

FOT. NAC

JAK RZECZPOSPOLITA UTRACIŁA ZAOLZIE

MAREK SKALSKI

We wczesnym średniowieczu Księstwo Cieszyńskie przechodziło z rąk do rąk, by ostatecznie w 1335 r. trafić pod władzę króla Czech, Jana Luksemburczyka. W odróżnieniu jednak od pobliskiej Opawy pozostało w ręku Piastowiczów aż do śmierci ostatniego księcia z tej dynastii w 1525 r.

Wbrew temu, co głosiła praska propaganda, Księstwo Cieszyńskie nigdy nie stało się integralną częścią czeskiej korony św. Wacława, gdyż po wymarciu Piastów przeszło pod bezpośrednią władzę Habsburgów. Razem z byłym Księstwem Opawskim ziemia cieszyńska stanowiła osobny kraj cesarski, tzw. Śląsk Austriacki, i miała podobny status jak Galicja czy Bukowina.

Czesi bardziej zawzięci

Jednak klęska militarna Austro-Węgier i dosłowne rozpadnięcie się w ciągu miesiąca tego mocarstwa zmieniło sytuację o 180 stopni. Odradzające się na gruzach c.k. monarchii republiki czechosłowacka i polska równocześnie zgłosiły roszczenia do terytorium niemal całego byłego Księstwa Cieszyńskiego. Czesi wysunęli argumenty natury historycznej (ziemie te przez wiele wieków były związane z Królestwem Czech i Moraw), ale przede wszystkim ekonomicznej (bogate zagłębie węglowe oraz rozwinięty przemysł przetwórstwa stali, a także jedyna linia kolejowa łącząca Morawy ze Słowacczyzną). Polacy mieli jeden, za to niezwykle silny, argument. Ok. 70 proc. ludności spornego obszaru zdecydowanie opowiadała się za przynależnością do odradzającej się Rzeczypospolitej. Czechów na spornym terenie było tylko ok. 10 proc. Pozostali to Niemcy oraz tzw. Ślązakowcy. Ci ostatni dążyli do utworzenia własnego miniaturowego państewka. Przykładowo w stolicy Księstwa, Cieszynie, na ok. 33 tys. mieszkańców Czechów było tylko ok. 600, wyłącznie byłych urzędników administracji austriackiej i ich rodzin. W Bielsku czy Skoczowie nie było już ich wcale.

Argument tzw. etnograficzny wydawał się wówczas decydujący, bo jako rozstrzygający uznawały go władze zwycięskiej Ententy. Politycy koalicji zakładali, że będzie to najbardziej sprawiedliwa metoda rozsądzania sporów w przyszłej Europie. O ile obie strony przejawiały równie sta-

eprasa.pl c7862e56a9

nowczą postawę, o tyle jednak zasięg konkretnych roszczeń terytorialnych był różny. Czesi domagali się bezwarunkowo całego obszaru dawnego Księstwa, na wschodzie aż po rzekę Białą, a więc obejmującego nie tylko powiaty: frydecki, frysztacki i cieszyński, ale również bielski, gdzie Czechów w ogóle nie było.

Polacy natomiast od początku godzili się na podział Księstwa i gotowi byli odstąpić Czechom powiat frydecki – ze zdecydowaną większością czeską, a także część powiatu frysztackiego z polską Ostrawą, Orłową oraz Boguminem. Polacy lansowali wprawdzie hasło: „Ostrawica – polska granica!", ale od początku gotowi byli oddać zachodnie skrawki księstwa w myśl zasad etnograficznych.

Argumenty strony czeskiej, jakimi szermowano w sporze, były dla polskiej opinii wręcz obraźliwe. „Chociaż na Śląsku, w szczególności zaś na Śląsku Cieszyńskim, jeszcze przed wojną byliśmy bardzo słabym elementem i pomimo, że byliśmy zagrożeni z obu dwóch stron, to jednak nasza przyszłość nie była tak beznadziejna [...]. Przeciwko Polakom – mieliśmy wyższy poziom kultury. Demokracja i kultura były filarami, na których na Śląsku z sukcesem wsparliśmy swoją małą konstrukcję. [...] W porównaniu do Polaków mieliśmy jeszcze jedną zaletę: większe zdolności organizacyjne i nowocześniejsze metody pracy" – pisał Ferdinand Pelc, wiceprzewodniczący Zemskiego Narodnigo Vyboru pro Slezsko.

Mimo tych przepychanek, które trwały około tygodnia, już 5 listopada 1918 r. udało się wypracować trwałe, jak się wydawało, porozumienie. W myśl umowy między Zemskim Vyborem a Radą Narodową dla Księstwa Cieszyńskiego dokonano podziału ziemi cieszyńskiej. Polacy zatrzymywali około dwóch trzecich spornego terytorium, gdzie żywioł polski zdecydowanie dominował. Czesi zadowolili się zatrzymaniem powiatu frydeckiego i części frysztackiego. Zagłębie przemysłowe z kopalniami węgla w Karwinie i wielką stalownią w Trzyńcu miało pozostać przy odradzającej się Polsce.

Jakkolwiek Polacy wszystkich zaborów powitali porozumienie z satysfakcją, Czesi nie traktowali ustępstw jako trwałych. Atmosfera tymczasowości rozgraniczenia panowała zarówno wśród władz centralnych Republiki Czechosłowackiej w Pradze, jak i na szczeblu lokalnym. „Polakom policzek by nie zaszkodził, ba, przydałby się, ostudziłby niebezpiecznych szowinistów. To rzeczywiście prawda: my jedyni jesteśmy gotowi i potrafimy zjednać i utrzymać porządek. Nasz wzór będzie decydować. [...] Polacy. Zupełnie nielojalni ludzie. Uzgodniłem przecież z Dmowskim, że w sprawie Śląska dojdziemy zawczasu do dobrego porozumienia. [...] Ci Polacy to nie autochtoniczni Ślązacy, lecz robotnicy z Galicji, ludzie zupełnie niegramotni, a więc bolszewizm w wersji polskiej. Bardzo niebezpieczne. [...] Poprzez okupację doprowadzili do rozkładu i bolszewizmu. Także sami Polacy proszą byśmy ich zajęli. Musimy mieć Karwinę (węgiel): kiedy będziemy mieli dostatek węgla, będziemy mogli zaopatrywać Wiedeń, Budapeszt i Bawarię i dzięki temu będziemy mieli wpływ na te państwa". Z listów Tomasa Garrigue Masaryka, prezydenta Republiki Czechosłowackiej, do ministra Edwarda Beneša, Praga, grudzień 1918 – styczeń 1919.

Zdradziecki napad

Wkrótce się okazało, że o państwowej przyszłości obszaru Śląska »

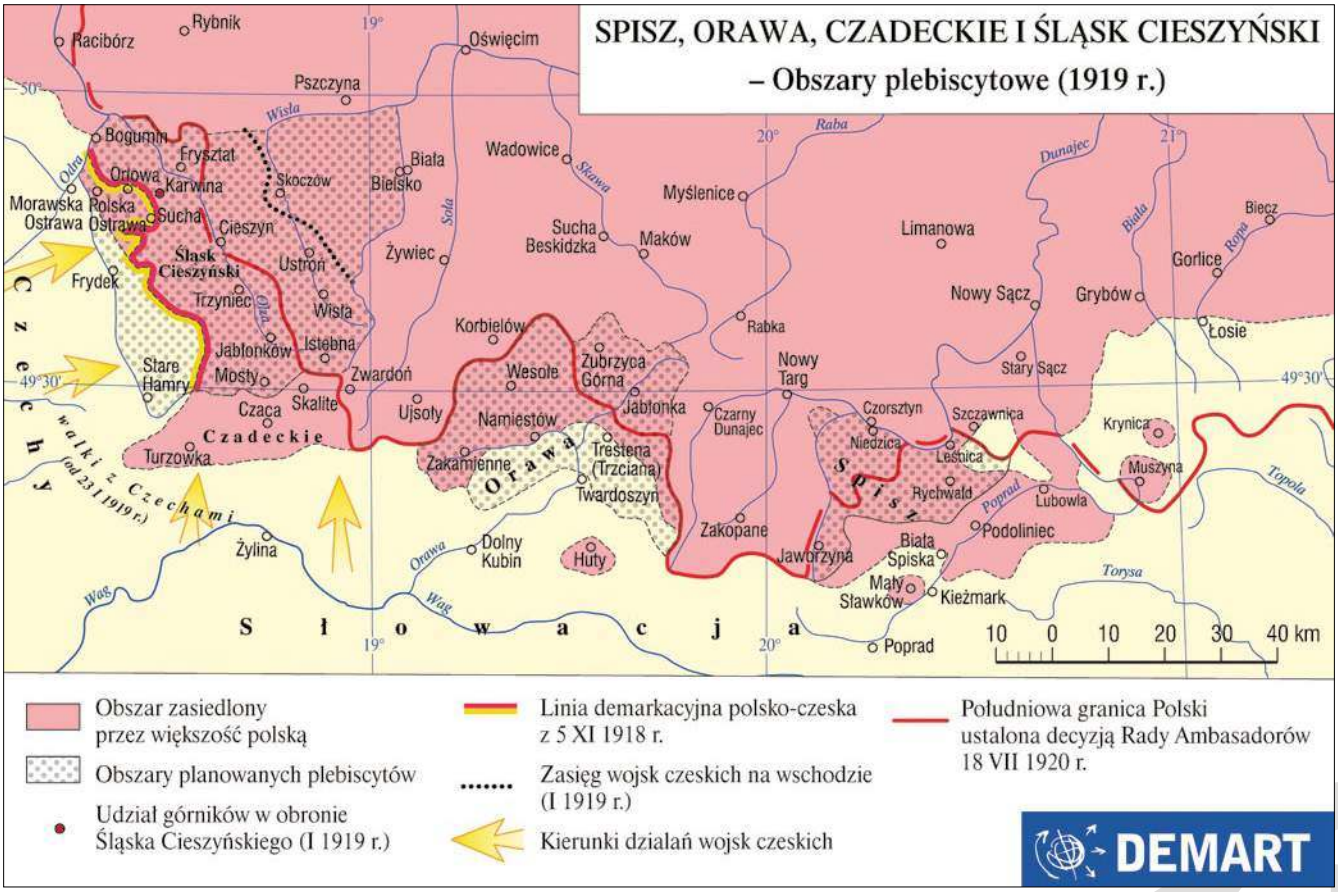

eprasa.pl c7862e56a9

» Cieszyńskiego zadecyduje metoda faktów dokonanych. Niestety dla miejscowych Polaków inicjatywa trafiła w ręce władz czeskich.

Przejście do zdecydowanych działań ułatwiła Pradze decyzja władz polskich z początku stycznia 1919 r. Otóż 9 stycznia 1919 r. silny batalion wojska sformowany z miejscowych rekrutów odesłano na front wschodni – z odsieczą dla Lwowa. Wkrótce miało się okazać, jak fatalna była to decyzja. Miejscowi Polacy nie mogli bronić ojcowizny.

W połowie stycznia Czesi zmienili radykalnie sposób działania. 21 stycznia rząd polski otrzymał notę gabinetu praskiego zawierającą jawne żądanie ewakuacji całego Śląska Cieszyńskiego. Sporny obszar arbitralnie uznany został za ziemie należące do państwa czechosłowackiego i czasowo jedynie okupowany przez Polaków.

Czesi nie czekali na odpowiedź - przystąpili do działań zbrojnych. Wszystko zaczęło się 23 stycznia 1919 r. Tego dnia doszło do podstępnego, zdradzieckiego zajęcia Zaolzia przez Czechów. Czescy wojacy przebrani za żołnierzy francuskich i angielskich (!) udawali, że występują z upoważnienia dowództwa alianckiego, co zostało później zdementowane. Pomimo uzgodnionej uprzednio etnicznej delimitacji granic na obszarze Księstwa Cieszyńskiego zażądali od polskiego dowódcy, płk. Latinika, natychmiastowej ewakuacji wojsk polskich z całego obszaru księstwa. W tym samym czasie wojska czeskie, nie czekając na wyniki negocjacji w Cieszynie, nacierały już od północy na ważny węzeł kolejowy w Boguminie, rozpoczynając z zaskoczenia walkę o cały Śląsk Cieszyński. Ich celem była dolina rzeki Białej. Gdyby czeski plan się powiódł, dziś przejście graniczne między Czechami a Polską byłoby w środku... Bielska-Białej.

CZESCY WOJACY PRZEBRANI ZA ŻOŁNIERZY FRANCUSKICH I ANGIELSKICH (!) UDAWALI, ŻE WYSTĘPUJĄ Z UPOWAŻNIENIA ALIANTÓW

Przez długie dziesięciolecia władze czeskie, ale także polskie tuszowały pamięć zbrodni czeskich popełnionych w dniach styczniowej ofensywy. „Cywilizowani" żołnierze czesko-słowackiej armady dopuścili się licznych aktów barbarzyństwa. Bodajże największym echem odbił się mord w Stonawie: „[Czesi] postępując za wycofującymi się polskimi żołnierzami, wstąpili do domu Wróblowej, który stał jakieś sto metrów od naszego. Zobaczyłem, jak wyprowadzili rannego żołnierza i bijąc go, zaprowadzili w stronę kościoła. Spotkał go tam ten sam los, co wielu innych – został zakłuty bagnetem. [...] Został również przebity bagnetem ranny polski żołnierz koło szkoły ludowej w Stonawie, na drodze. Daremnie prosił o darowanie mu życia, gdyż ma żonę i dzieci. Zostali też zakłuci bagnetami żołnierze ukryci w sianie, w stodołach u Febra w przysiółku Dolany i u Wałoszka na Górzanach. [...] Barbarzyństwo czeskich żołnierzy spowodowało tylko w Stonawie dwadzieścia jeden ofiar, w większości dobitych" (zeznanie Andrzeja Raszki, polskiego milicjanta ze Stonawy).

Na szczęście dowództwo polskie, choć zaskoczone siłą uderzenia, w porę zdołało się pozbierać. Pod Skoczowem siły napastników zostały powstrzymane. Czesi wycofali się, ale tylko za Olzę, zyskując w ten sposób bogate tereny przemysłowe. Początkowo wydawało się, że metoda faktów dokonanych Czechów zawiedzie. Przedstawiciele rządów zachodnich aktem agresji byli oburzeni. Głośno protestował premier Francji George Clemenceau, wycofania wojsk czeskich żądał nawet antypolski z reguły premier Anglii Lloyd George. Ententa stała wciąż na stanowisku plebiscytu. Jeszcze w styczniu przerażony Beneš na gorąco depeszował Masarykowi: „Zajęcie Śląska wywołało tu złe wrażenie. Pan Clement Simon [Poseł francuski w Pradze] telegrafował tu o sprawach dla nas bardzo nieprzyjemnych. Należy go dokładnie poinformować. Uważam za bezwzględnie konieczne zahamować dalszą akcję i czekać na wiadomości od nas. Francja powiadomi nas o tym w pisemnej nocie: jest w tej sprawie przeciwko nam".

29 stycznia pod naciskiem aliantów Czesi zatrzymali natarcie. 3 lutego władze polskie i czechosłowackie zawarły porozumienie, które przewidywało wysłanie do Cieszyna Komisji Kontrolującej, w skład której wchodzili oficerowie alianccy. Komisja swą obecnością i działaniem miała doprowadzić do uspokojenia nastrojów i przygotowania gruntu pod przyszłe porozumienie międzypaństwowe. Sprawy granic miały być rozstrzygnięte w Wersalu, podczas obrad Konferencji Pokojowej. Czesi liczyli na utwierdzenie się w swych zdobyczach na lewym brzegu Olzy. W Wersalu zdecydowano jednak, że na spornym terytorium zostanie przeprowadzony plebiscyt.

Arbitraż, a nie plebiscyt

Sytuacja zmieniła się diametralnie na niekorzyść Polaków latem 1920 r. Miało to oczywiście związek z odwrotem wojsk polskich w wojnie z bolszewikami. 1 czerwca pojawiła się po raz pierwszy propozycja arbitrażu. Właśnie arbitrażu, a nie plebiscytu. O losie tych ziem mieli zadecydować zachodni dyplomaci, a nie ich mieszkańcy. W lipcu pozycja Polski była krytyczna, Sowieci przełamali obronę naszych wojsk na Bugu i parli w kierunku Warszawy. Anglicy i Francuzi uznawali, że Polski nic już nie uratuje. Należało raczej wzmacniać Czechosłowację jako kolejną redutę obrony przed Armią Czerwoną.

Wynik arbitrażu ogłoszono 28 lipca 1920 r. Utrzymano w mocy linie tymczasowego rozgraniczenia na Olzie, z lutego 1919 r. Czechom przypadła zachodnia, silnie uprzemysłowiona część Śląska Cieszyńskiego, z całym zagłębiem karwińskim, hutami stali w Trzyńcu, kopalniami węgla, linią kolejową do Jabłonkowa... Na blisko 20 lat ok. 200 tys. Polaków z zachodniej części dawnego Księstwa Cieszyńskiego zostało odłączonych od Macierzy. Cieszyn stał się pierwszym podzielonym miastem w Europie – dużo wcześniej niż niemiecki Berlin.

W polskiej prasie utracone terytorium zaczęto nazywać Zaolziem. Pamięć o krzywdzie była pielęgnowana przez władze II RP. Regularnie pojawiały się korespondencje w polskiej prasie. Publikowano książki, albumy, wypuszczano nawet specjalne serie znaczków pocztowych. Jednak szansa na ponowne przyłączenie tego skrawka polskiej ziemi do macierzy pojawiła się dopiero w 1938 r.

Autor jest dziennikarzem portalu PolskieRadio.pl

62/1018/F

eprasa.pl c7862e56a9

Pozycja obowiązkowa...

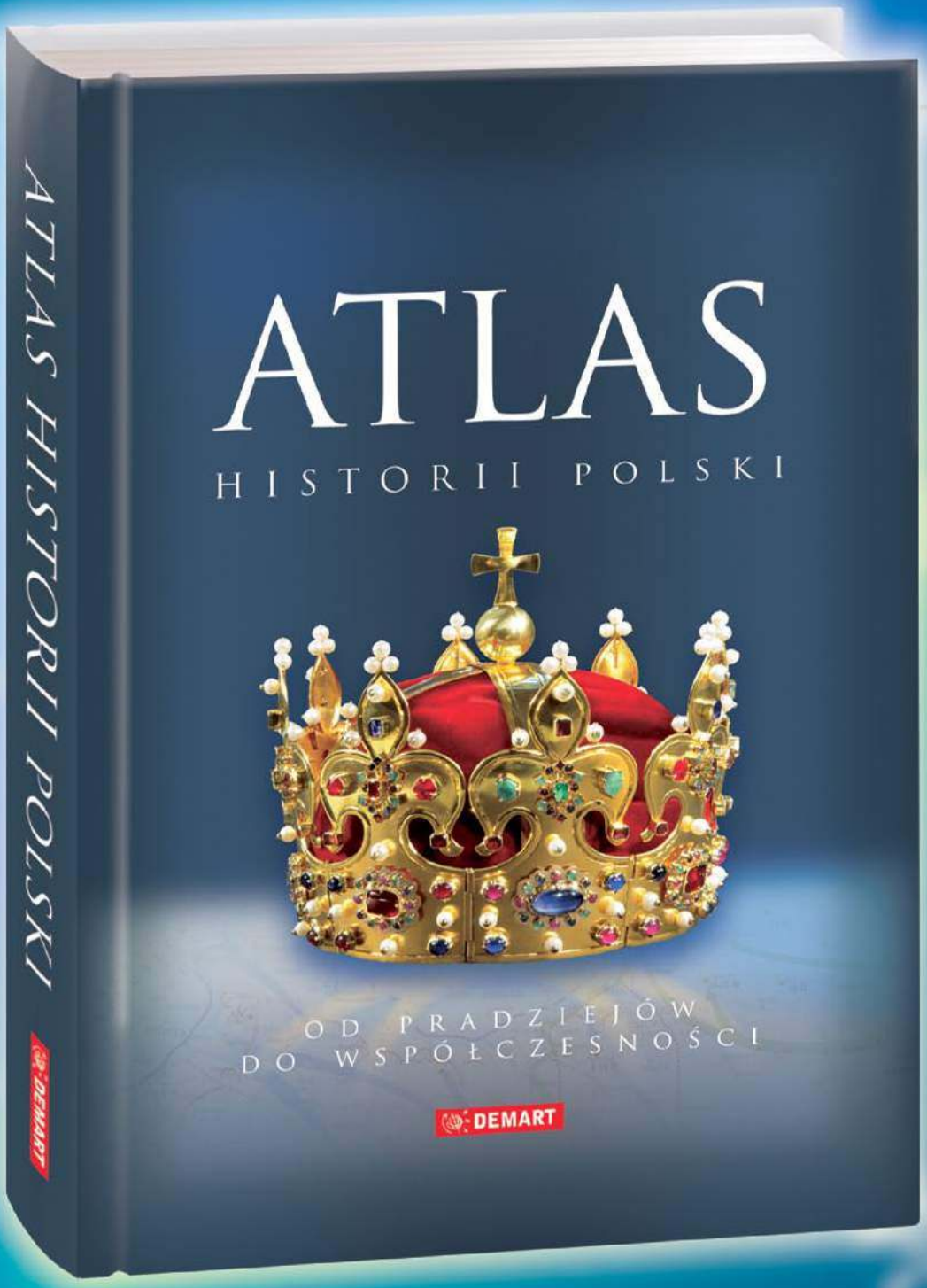

DEMART

...dla miłośników historii

www.demart.com.pl

eprasa.pl c7862e56a9

DZIAŁALNOŚĆ WYWIADU SIŁ ZBROJNYCH PRL NA TERENIE CZECHOSŁOWACJI W 1968 r.

Transportery opancerzone z żołnierzami Armii Czerwonej na ulicach Pragi, sierpień 1968 r.

BARTOSZ KAPUŚCIAK

W TYM ROKU MINĘŁO 50 LAT OD DOKONANIA PRZEZ WOJSKA UKŁADU WARSZAWSKIEGO INWAZJI NA CZECHOSŁOWACJĘ. TĘ HANIEBNĄ OPERACJĘ 2. ARMII WOJSKA POLSKIEGO SFORMOWANEJ Z WOJSK ŚLĄSKIEGO OKRĘGU WOJSKOWEGO WSPIERAŁ WYWIAD WOJSKOWY

Na czas przygotowań do inwazji oraz wejścia do Czechosłowacji szefostwo Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW), czyli kontrwywiadu, powołało grupy operacyjne. Główna grupa operacyjna znajdowała się przy kierownictwie ćwiczeń, czyli Dowództwie Frontu, w celu koordynacji i kierowania pozostałymi grupami operacyjnymi WSW. Grupa ta miała także za zadanie kontaktować się i przekazywać informacje organom kontrwywiadu Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Kolejne grupy operacyjne obsadzono przy szefostwie WSW, 2. Armii WP oraz przy dywizjach. Powołano też grupy specjalne, które przy współpracy z wywiadem wojskowym i grupami manewrowymi MSW miały za zadanie namierzać i unieruchamiać radiostacje oraz wykrywać „nielegalne" drukarnie. Pomimo oficjalnej współpracy kontrwywiad wojskowy nie kwapił się, by w jakikolwiek sposób pomóc Zarządowi II Sztabu Generalnego WP, czyli wywiadowi.

Wywiad wojskowy od 1948 r. nie prowadził działalności wywiadowczej na terenie Czechosłowacji. Działań tzw. nieoficjalnych nie prowadziły między sobą żadne państwa należące do Bloku Wschodniego. Zakaz penetracji wojsk „bratnich narodów" wprowadził sowiecki Główny Zarząd Wywiadowczy (GRU). Attachaty poszczególnych państw komunistycznych rozmieszczone w stolicach krajów Bloku Wschodniego pełniły funkcję czysto kurtuazyjną.

Do działalności wywiadowczej należało zbieranie informacji o przeciwniku zarówno poprzez prowadzenie agentury w danym kraju, jak i dokonywanie rozpoznania wojskowego, czyli ustalenia miejsca stacjonowania jednostek wojskowych i ich uzbrojenia. W państwach Bloku Wschod-

FOT. EAST NEWS/AKG-IMAGES

eprasa.pl c7862e56a9

niego prowadzono oficjalne spotkania między attachatami lub zwoływano robocze narady w celu nakreślenia współpracy oraz wymiany informacji. Ta właściwie tylko dyplomatyczna funkcja attaché na terenie krajów komunistycznych spowodowała, że oficerowie nie byli szkoleni wywiadowczo. Wysyłani byli, jak sami to określali na „zasłużony odpoczynek".

Nowa sytuacja, nowe zadania

Praska Wiosna i próby zliberalizowania systemu komunistycznego w Czechosłowacji wymusiły na krajach Bloku Wschodniego próbę zorientowania się co do sił i środków, jakimi dysponuje wojsko czechosłowackie. Także wobec Zarządu II SG WP stanęło zadanie rozpoznania sytuacji społeczno-politycznej oraz terenu, na którym w przyszłości planowano rozlokowanie związków taktycznych „ludowego" Wojska Polskiego.

Na rozkaz ministra obrony narodowej centrala wywiadu wojskowego miała przygotować sprawozdanie nie tylko o Czechosłowackiej Armii Ludowej i jej Zarządzie Wywiadowczym Sztabu Generalnego, ale także o osobach funkcyjnych w partii i wojsku, środowisku dziennikarskim oraz o narastającej fali reform i związanych z nią nadziejach.

Attaché stacjonujący przy ambasadzie w Czechosłowacji, płk Tadeusz Wołoszczuk, który był zupełnie do tego nieprzygotowany, podjął działania dopiero w lipcu 1968 r. Informację do Centrali wywiadu wojskowego przesyłał na podstawie „białego wywiadu", czyli opracowania publikacji prasy, oraz dzięki wiadomościom, które dostał od zaprzyjaźnionych placówek dyplomatycznych innych państw Bloku Sowieckiego. Wysłał także swojego pomocnika, oficera attachatu, ppłk. Zdzisława Bednarskiego na „urlop". Ppłk Bednarski przybył na to stanowisko w 1967 r., prosto z kontrwywiadu wojskowego. Prawdopodobnie organa WSW były w tym wypadku bardziej przewidujące co do wydarzeń czechosłowackich. Oficer attaché miał na tzw. urlopie dokonać rozpoznania konkretnych obiektów wojskowych, co też uczynił. Attachat wzmocniono pod koniec lipca 1968 r., dając do dyspozycji czterech oficerów wojsk lotniczych. Oficerowie ci akurat kończyli przeszkolenie w ośrodku interpretacji zdjęć lotniczych. Niemający odpowiedniego przeszkolenia nie byli w stanie wykonać należycie zadań rozpoznawczych. Centrala wywiadu wojskowego nie była zadowolona z ich działalności. Z tego względu postanowiono wysłać z centrali dziesięciu oficerów Zarządu II SG WP oraz dwóch oficerów Zarządu I Operacyjnego SG WP. Oficerowie ci na przełomie lipca i sierpnia, pod legendą wycieczek i urlopów, „zwiedzali" wraz z rodzinami Czechosłowację. Oczywiście tak naprawdę penetrowali terytorium „bratniego" państwa, ustalając głównie lokalizacje i rodzaj jednostek wojskowych. Musieli także zrobić rozeznanie dotyczące nastrojów panujących wśród obywateli Czechosłowacji. Tereny, jakie mieli spenetrować wywiadowczo, to późniejsze szlaki przemarszu 2. Armii WP, która celowo była sformowana z wojsk Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Ponieważ ich „wycieczki" były najczęściej kilkudniowe, a część z tych oficerów miała dojechać aż do Budapesztu na Węgrzech, najczęściej przez tamten attachat składano meldunki. Ale oczywiście były sytuacje, że przekładano je w attachacie w Pradze albo bezpośrednio w Centrali. Ponieważ czasu było coraz mniej, robiono to w pośpiechu i bardzo pobieżnie. Wszelkie meldunki zresztą i tak ostatecznie trafiały do Centrali, a tam odpowiednio opracowane były przekazywane do dowództwa 2. Armii WP i grup operacyjnych SG WP.

Do grupy operacyjnej Sztabu Głównego WP stacjonującej w Legnicy oddelegowano z Zarządu II SG WP w okresie 31 lipca–20 sierpnia dwóch oficerów. W kolejnym okresie, od 20 sierpnia następnych czterech żołnierzy. W samym wywiadzie wojskowym także utworzono grupę operacyjną, która była odpowiedzialna za koordynowanie działań dotyczących Czechosłowacji. W tym kluczowym okresie zarówno przed, jak i już podczas inwazji starano się uściślić umiejscowienie poszczególnych zawiązków taktycznych i oddziałów wojskowych CzLA, radiostacji cywilnych i wojskowych, wszelkich lotnisk, węzłów kolejowych, dróg komunikacyjnych oraz obiektów wojskowych. Wszystkie zebrane dane nanoszono na mapy.

Wywiad wojskowy musiał także za pomocą legalnego i nielegalnego aparatu wywiadowczego śledzić bieżące wydarzenia polityczne i wojskowe w całej Europie oraz w Stanach Zjednoczonych. Najbardziej bano się Niemiec Zachodnich, gdzie stacjonowały również amerykańskie wojska. Wysłana agentura Zarządu II SG WP śledziła wobec tego obiekty wojskowe w danym kraju, informując o stanie i ruchu jednostek wojskowych państw tzw. kapitalistycznych. Aparat legalny miał robić rozpoznanie wojskowe, ale także śledzić zmiany natury polityczno-wojskowej i informować przede wszystkim o decyzjach władz Austrii i RFN. Do penetracji krajów Europy Zachodniej i USA zostali zaangażowani bezpośrednio oficerowie wywiadu wojskowego wraz z innymi oficerami Instytucji Centralnych MON (tu szczególnie przydatni byli oficerowie Zarządu I Operacyjnego), którzy wykonali w tym czasie pięć podróży rozpoznawczych „pod przykrywką" wyjazdów turystycznych w rejonie tzw. Zachodniego Teatru Działań Wojennych. Wywiad wojskowy nawiązał także ścisłą współpracę z Departamentem I MSW (wywiad cywilny), Zarządem WSW 2. Armii WP, Ministerstwem Spraw Zagranicznych, Wojskiem Ochrony Pogranicza i, co ciekawe, z działem audycji zagranicznych Polskiego Radia.

Od 20 sierpnia 1968 r. włączono do działań operacyjnych także rozpoznanie radioelektroniczne. Radiowywiad i kontrwywiad wymierzony był w radiostacje zarówno cywilne, jak i wojskowe rozmieszczone na terytorium Czechosłowacji i państw NATO. W tym przedsięwzięciu wspólnie brały udział: 2. Ośrodek Rozpoznania Radioelektronicznego podległy Zarządowi II SG WP, 11. Batalion Rozpoznania Radioelektronicznego podległy 2. Armii WP, Kompania Manewrowa 7. Pułku Radioelektronicznego WSW podległa Zarządowi WSW 2. Armii oraz pięć grup likwidacyjnych i grupa radionamierzania bliskiego zasięgu z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Było to jedno z ważniejszych zadań postawionych wobec organów wywiadu i kontrwywiadu wojskowego oraz organów podległych MSW. Namierzenie i likwidacja nadajników powodowały odcięcie wojsk czechosłowackich od informacji. A te podczas obrony przed inwazją są kluczowe.

20 sierpnia powołano zespoły operacyjne, które weszły w skład grupy operacyjnej Zarządu II SG WP. Zespoły operacyjne były podzielone według zadań, tj. kierownictwo, rozpoznanie wojskowe, informacja, rozpoznanie radioelektroniczne, nasłuch stacji radiowych z terytorium Czechosłowacji oraz państw kapitalistycznych i innych źle ustosunkowanych do krajów socjalistycznych. Dodatkowo powołano zespół wydzielony z Wydziału Attachatów, zespół ds. łączności specjalnej oraz zespół ds. zabezpieczenia.

W momencie wejścia wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji rola oficerów Zarządu II SG WP ograniczała »

eprasa.pl c7862e56a9

Sprzęt radioelektroniczny używany ówcześnie przez WP

FOT. AIPN

» się do przekazywania informacji pomiędzy grupą operacyjną Sztabu Generalnego i dowództwem 2. Armii WP oraz Zwiadem WOP. Utrzymywano także kontakty oficjalne z Zarządem Wywiadowczym Północnej Grupy Wojsk Radzieckich stacjonującym w Legnicy.

Misterny plan

24 sierpnia utworzono grupę składającą się z oficerów wywiadu wojskowego: ppłk. Emila Kiszki, ppłk. Mariana Kozłowskiego, mjr. Jerzego Mocha, kpt. mar. Kazimierza Jahnza. Działanie to było skorelowane z organami kontrwywiadu wojskowego PRL. Grupa ta wyposażona została w odzież zachodnią oraz w trzy paszporty niemieckie i jeden francuski, który był – jak się okazało – źle podrobiony. Oficerowie mieli oficjalnie występować w roli turystów z RFN, a nieoficjalnie obserwować ruchy wojska czechosłowackiego i przy okazji wykrywać „nielegalne" radiostacje i drukarnie. Misja ta jednak zakończyła się porażką. Szybko wpadli w ręce StB (Státní bezpečnost), czyli czechosłowackiej służby bezpieczeństwa. Nie znając do końca okoliczności wyprawy ani terenu, nie mając konkretnie sprecyzowanych zadań oraz dobrze podrobionych dokumentów, nie mogli skutecznie wykonać misji. Złapani oficerowie wywiadu wojskowego główną winą za niepowodzenie wyprawy obarczyli organa WSW, które w ogóle ich nie zabezpieczały. W teorii grupa ta miała działać w ramach grup specjalnych WSW i wykonywać pracę z pozycji nielegalnej. A w praktyce okazało się, że została pozostawiona bez jakiejkolwiek osłony kontrwywiadowczej, kwaterunku i środków lokomocji. Kontrwywiad Sił Zbrojnych PRL zawiódł.

Zarząd II SG WP miał do dyspozycji podległy mu bezpośrednio 1. Batalion Szturmowy, który wraz z 49. Pułkiem Śmigłowców miał tworzyć nieetatowe grupy oficerów na czele z oficerem wywiadu wojskowego. 49. Pułk Śmigłowców podlegał dowództwu 2. Armii WP. Pododdziały specjalne miały być wykorzystane do rozpoznania wojskowego. Sztab Generalny odstąpił jednak od pomysłu Zarządu II SG WP, uważając, że rozpoznanie na tym etapie jest zadowalające. 1. Batalion Szturmowy wykorzystywany był zaraz na drugi dzień operacji do działań wybitnie szturmowych. Jednym z jego zadań było zajęcie czechosłowackich ośrodków radia i telewizji. Wkrótce się okazało, że głębokie rozpoznanie wojskowe, od którego odstąpiono, było bardzo potrzebne. Już w drugim i trzecim dniu operacji zaczęto się obawiać wyjścia wojsk CzLA z garnizonów.

Niechęć sąsiadów

22 sierpnia już po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji attachat polski w Pradze został wzmocniony dwoma oficerami wywiadu wojskowego: ppłk. Władysławem Wróblem, szefem Wydziału II Oddziału IV (tzw. krajowego), i kpt. Władysławem Witkowskim z Grupy Dyspozycyjnej. Do głównych zadań attachatu w czasie działań wojsk należała propaganda skierowana do obywateli Czechosłowacji, tłumacząca dobrą wolę i niesienie pomocy Czechosłowacji w walce z ugrupowaniami „rewizjonistyczno-syjonistycznymi" i „antysocjalistycznymi". Oficerowie attachatu m.in. rozpowszechniali czeskie tłumaczenia przemówień I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, Władysława Gomułki oraz premiera Polski Ludowej Józefa Cyrankiewicza. Słali także noty protestacyjne do władz czechosłowackich o niszczeniu pomników 2. Armii WP „wyzwalającej" w 1945 r. Czechosłowację oraz o szkalowaniu „dobrego imienia" Sił Zbrojnych PRL.

Niechęć społeczeństwa czechosłowackiego do wojsk Układu Warszawskiego, w tym do „ludowego" Wojska Polskiego szybko narastała. Obywatele Czechosłowacji wyrażali stanowczy sprzeciw wobec niesionej „pomocy bratnich narodów". Zaczęto stawiać opór, barykadując drogi, rozrzucając palące się opony na trasach przejazdu wojsk, przestawiając drogowskazy, niszcząc tablice z nazwami ulic itp. By zapewnić „ochronę" żołnierzy Sił Zbrojnych PRL przed dezercjami, a ludność cywilną przed nieuzasadnionym użyciem broni przez tych żołnierzy, utworzono 17 komend garnizonowych z obsadą oficerów WSW, funkcjonariuszy MSW i dowództwa WP. Chciano także uniknąć sytuacji, w której żołnierze będą się solidaryzowali ze społeczeństwem czechosłowackim.

Brak w pierwszej fazie wykorzystania oficerów Zarządu II SG WP do głębokiego rozpoznania wojska CSRS i jednocześnie zbadania ruchu wojsk państw zachodnich spowodowało złą ocenę CzLA, a co za tym idzie, strach przed wyjściem jej oddziałów z garnizonów. Był to na tyle duży błąd, że jakiekolwiek rozpoczęcie przemieszczania się wojska czechosłowackiego mogłoby doprowadzić do regularnych starć. Chociaż według oceny oficerów wywiadu wojskowego rozpoznanie dokonane przez jednostki 2. Armii WP było wystarczające, nie uniknięto jednak błędów. Nie dostosowano sił 11. Batalionu Rozpoznania Radioelektronicznego, a przede wszystkim 1. Batalionu Szturmowego do ich możliwości rozpoznawczych i operacyjnych. Brak było odpowiednio przygotowanej kadry w attachacie polskim w Pradze. Podkreślono, że odtąd trzeba lepiej przygotowywać pracowników. Uczulić ich przede wszystkim na zbieranie na bieżąco informacji o krajach socjalistycznych, szczególnie tych sąsiadujących z PRL. Proponowano także ich przeszkolić, by lepiej mogli ustrzec się przed zainteresowaniami pracowników kadrowych wywiadu państw zachodnich. Dostrzeżono również silne braki we współpracy między organami Zarządu II SG WP i WSW, co było to kluczowe przy działaniach, które „ludowe" Wojsko Polskie traktowało jako wojenne.

Ponieważ stwierdzono, że największe sukcesy odniesiono w zakresie penetracji państw tzw. kapitalistycznych, uznano, że należy to kontynuować pod przykryciem wyjazdów turystycznych. Zresztą podobne działania robiły w tym czasie organa wywiadu i kontrwywiadu państw zachodnich, szczególnie RFN i USA, i to zapewne podobnie skutecznie jak wywiad Sił Zbrojnych PRL.

Czechosłowacja po wydarzeniach Praskiej Wiosny straciła zaufanie w oczach państw Układu Warszawskiego. Była ona odtąd bacznie obserwowana przez Zarządy Wywiadowcze tych krajów, w tym Zarząd II SG WP. W tym celu powołano w 1969 r. na krótko zastępcę attaché wojskowego, którym został płk Stanisław Rzepeżewski. ■

Autor jest pracownikiem OBBH IPN Katowice

eprasa.pl c7862e56a9

DUCH I POLITYKA

GRZEGORZ GÓRNY

Głowa i serce na celowniku

Jesienią 1939 r. doszło do IV rozbioru Rzeczypospolitej. Od początku okupacji zarówno Niemcy, jak i Sowieci prowadzili systematyczną operację eksterminacyjną mającą na celu wymordowanie polskich elit przywódczych.

W ramach tzw. akcji „Inteligencja" (Intelligenzaktion) zamordowano kilkadziesiąt tysięcy osób. Podobną liczbę Polaków wysłano do obozów koncentracyjnych, które przeżył tylko znikomy odsetek. Kolejna operacja, czyli Nadzwyczajna Akcja Pacyfikacyjna, zwana w skrócie akcją AB (Außerordentliche Befriedungsaktion), rozpoczęła się wiosną 1940 r. Ona również nosiła wszelkie znamiona ludobójstwa i pociągnęła za sobą śmierć tysięcy polskich inteligentów, lekarzy, prawników, przedsiębiorców, urzędników państwowych, polityków, działaczy społecznych. Ich jedyną winą było to, że zostali zaliczeni przez Niemców do „polskiej warstwy przywódczej". Przypominało to operację lobotomii dokonaną na żywym organizmie. Naród bez elit – niczym ciało bez mózgu – miał się zamienić ze świadomej siebie wspólnoty w bezwolną masę.

Okupanci wiedzieli, że nie wystarczy jedynie uderzyć w głowę, ale należy ugodzić w samo serce. Dlatego mordercze ciosy wymierzali nie tylko w inteligencję, lecz także w duchowieństwo. W przypadku Sowietów wydaje się to zrozumiałe, ponieważ programowo zwalczali oni religię i już wcześniej prześladowali Kościół na podbitych przez siebie ziemiach. Jeśli jednak porównamy straty, jakie poniósł polski stan duchowny w okresie II wojny światowej z rąk obu okupantów, to okaże się, że narodowi socjaliści w swym krwawym dziele znacznie prześcignęli bolszewików. Niemcy zamordowali bowiem 5 biskupów, 1863 księży diecezjalnych, 580 zakonników, 63 kleryków i 289 zakonnic. Sowieci zgładzili natomiast 270 kapłanów, a więc nieporównywalnie mniejszą liczbę.

Ogółem niemieccy agresorzy eksterminowali 20 proc. polskiego kleru. W niektórych rejonach odsetek ten był znacznie wyższy, np. w diecezji włocławskiej zginęła ponad połowa księży, a w diecezji chełmińskiej aż dwie trzecie. Największym miejscem kaźni naszego duchowieństwa stał się obóz KL Dachau, gdzie zabito 939 kapłanów.

Niemcy nie poprzestawali na mordowaniu duchownych, lecz walczyli także z polskim katolicyzmem na inne sposoby. Prowadzili m.in. akcje usuwania ze świątyń patriotycznych tablic, popiersi czy obrazów, a także niszczenia miejsc kultu znajdujących się poza obrębem kościołów, np. przydrożnych figur, krzyży czy kapliczek. Zabronili śpiewania pieśni „Boże, coś Polskę" i „Serdeczna Matko". Zakazali modlitw do Matki Bożej Królowej Polski oraz do polskich świętych. Nakazali rekwizycję wszystkich książeczek do nabożeństw, w których znajdowały się takie modlitwy. Zabronili obchodzenia święta Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski (3 maja) oraz innych wspomnień liturgicznych, np. z okazji zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej (15 sierpnia), wiktorii chocimskiej (10 października) czy wskrzeszenia Rzeczypospolitej (11 listopada).

Zenon Fijałkowski w swej monografii dotyczącej sytuacji Kościoła pod okupacją hitlerowską zebrał olbrzymią liczbę przykładów dokumentujących systematyczne prześladowania i represje, jakich doświadczali polscy katolicy z rąk Niemców. W Poznaniu np. władze zezwoliły Polakom na korzystanie zaledwie z dwóch niewielkich kościółków, ale nie poprzestały na tym. Jak pisze wspomniany badacz: „Uczestnictwo w nabożeństwach groziło wieloma niebezpieczeństwami. Tak np. w 1942 r. policja hitlerowska w Poznaniu urządziła podczas nabożeństwa obławę wokół jednego z dwóch małych kościołów przeznaczonych dla ludności polskiej. Schwytano około 500 osób, popędzono je na pole i tam poddano trzygodzinnym »ćwiczeniom fizycznym«, a następnie bestialskiemu biciu zarówno mężczyzn, jak kobiet i dzieci. Kilkadziesiąt osób ciężko poranionych i skatowanych przewieziono następnie do szpitali...".

Podobne przykłady można mnożyć. Okupant zidentyfikował kluczowe miejsca w polskim organizmie zbiorowym i precyzyjnie uderzał w nie, by sparaliżować wolę narodu. Miał dobre rozeznanie.

Bł. Michał Czartoryski OP został zamordowany przez Niemców w Warszawie we wrześniu 1944 r. w powstańczym szpitalu wraz z rannymi, którym towarzyszył

FOT. ARCHIWUM KLASZTORU DOMINIKANÓW WARSZAWA-SŁUŻEW

eprasa.pl c7862e56a9

Styczeń

MICHAŁ KOMUDA

1 I 1949 W ramach prowadzonej przez komunistyczne władze kolektywizacji utworzono w Polsce Państwowe Gospodarstwa Rolne, powszechnie nazywane PGR-ami.

5 I 1173 Podczas rozbicia dzielnicowego zmarł drugi z polskich książąt seniorów, następca Władysława II Wygnańca, Bolesław IV Kędzierzawy.

6 I 1946 Komunistyczne siły bezpieczeństwa aresztowały członka sztabu VII Okręgu NSZ, szefa Pogotowia Akcji Specjalnej i przełożonego oddziałów podziemia niepodległościowego na Śląsku Cieszyńskim, por. Jerzego Wojciechowskiego „Oma". Wydarzenie to umożliwiło przygotowanie i przeprowadzenie pół roku później zbrodniczej prowokacji, znanej jako akcja „Lawina".

8 I 1919 Sto lat temu w drobnoszlacheckiej rodzinie urodził się kpt. Kazimierz Kamieński „Huzar". Dzięki powszechnemu poparciu ze strony miejscowej ludności Podlasia oraz talentom dowódczym jego oddział kontynuował działalność niepodległościową aż do 1952 r.

9 I 1909 W Ulanowie na Podkarpaciu przyszedł na świat działacz ruchu narodowego, uczestnik wojny obronnej 1939 r., komendant okręgów lubelskiego, a następnie lwowskiego Narodowej Organizacji Wojskowej, oficer Armii Krajowej, ppor. Adam Mirecki „Adaś".

10 I 2009 Dziesięć lat temu w Toruniu odeszła jedyna kobieta cichociemny, kurierka Komendy Głównej AK, prof. gen. Elżbieta Zawacka „Zo".

11 I 1958 Urodził się jedyny syn Józefa Franczaka „Lalusia" i Danuty Mazur, Marek. Od kilkunastu lat ukrywający się przed komunistyczną władzą ojciec zobaczył swoje dziecko po raz pierwszy dopiero osiem miesięcy później.

12 I 1832 Po zdławieniu powstania listopadowego car Mikołaj I zdegradował Order Virtuti Militari do roli odznaki wręczanej wojskowym rosyjskim na pamiątkę pokonania sił powstańczych.

eprasa.pl c7862e56a9

2 I 1939

W Drozdowie pod Łomżą odszedł jeden z twórców Niepodległej i główny autor wprowadzenia Polski do grona państw zwycięskich po I wojnie światowej, Roman Dmowski. Wybitny mąż stanu i ideolog w chwili śmierci liczył 74 lata.

Koniec życia Romana Dmowskiego przypadł na okres rządów sanacji, a on sam oraz utworzone przez niego Stronnictwo Narodowe pozostawali w opozycji. Dodatkowo w 1933 r. został zdelegalizowany, założony również z jego inicjatywy, zrzeszający w szczytowym momencie dziesiątki tysięcy osób, Obóz Wielkiej Polski. Na lata 30. XX w. przypada też, oprócz wzmożonej działalności politycznej, aktywność literacka Dmowskiego, który wydał wówczas prace: „Kwestia ukraińska", „Świat powojenny i Polska", „Przewrót" oraz powieści „Dziedzictwo" i „W połowie drogi". W 1934 r. przeniósł się ze swojej posiadłości pod Poznaniem do Warszawy, a następnie trzy lata później, po przejściu udaru, do majątku swoich przyjaciół w Drozdowie. Tam też w wyniku zapalenia płuc niespodziewanie zmarł w nocy z 1 na 2 stycznia 1939 r. Uroczystości żałobne odbyły się kolejno w Drozdowie, Łomży i wreszcie w archikatedrze warszawskiej. Ostatni hołd mężowi stanu oddało ponad 100 tys. ludzi. Również sam pogrzeb, który odbył się 7 stycznia, zgromadził podobną liczbę żałobników przybyłych z całej Polski. Ciało najwybitniejszego działacza i niekwestionowanego lidera ruchu narodowego zostało złożone na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

16 I 1919

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski podpisał nominację dla Ignacego Jana Paderewskiego na stanowisko premiera Polski. Nowy prezydent ministrów nie tylko był najbardziej znanym ówcześnie Polakiem na świecie, ale również praktycznie jedynym kandydatem, który miał szansę pogodzić zwaśnione stronnictwa polityczne.

Ten powszechnie podziwiany pianista i kompozytor przybył do odrodzonej Polski w grudniu 1918 r. Niebawem jego triumfalny przyjazd do Poznania stał się impulsem do rozpoczęcia powstania wielkopolskiego. Następnie, zaledwie kilka dni później, przyjechał entuzjastycznie witany do stolicy. W tym czasie polska polityka była nieustannie targana wstrząsami wewnętrznymi i zewnętrznymi, które zagrażały odradzającej się państwowości. Sytuacja ta wymusiła podjęcie negocjacji, początkowo zresztą zakończonych niepowodzeniem, mających doprowadzić do powołania drugiego już po odzyskaniu niepodległości, cieszącego się szerszym poparciem społecznym i międzynarodowym rządu polskiego. Dotychczasowy, na czele którego stał Jędrzej Moraczewski, reprezentował praktycznie tylko socjalistów. Dodatkowo nie zaskarbił sobie przychylności państw Ententy, dla których partnerem był Komitet Narodowy Polski w Paryżu. Kwestie te były szczególnie palące, ponieważ na 18 stycznia wyznaczono termin międzynarodowej konferencji w stolicy Francji, na której miano ustalić przyszły kształt Europy, a polskie granice cały czas znajdowały się w ogniu zmagań z państwami ościennymi. Ze względu na powagę sytuacji potrzebę powołania rządu reprezentującego wszystkie polskie siły widział zarówno trzymający ster w kraju Józef Piłsudski, jak i niekwestionowany lider polityczny poza granicami kraju Roman Dmowski. Pierwszy z nich właśnie w kandydaturze przybyłego do ojczyzny Paderewskiego dostrzegł osobę mogącą doprowadzić do niezbędnego kompromisu. Jednocześnie postrzegał go jako człowieka, który poprzez swoje rozległe znajomości na Zachodzie będzie mógł skutecznie zabiegać o interesy kraju wśród decydujących o powojennych losach Europy mocarstw. Również Dmowski stojący na czele KNP, którego członkiem był Paderewski, pisał o nim: „Trzeba go wysunąć jako sztandar – jedności narodowej". Właśnie ta jedność wypracowana w porę przez dwóch mężów stanu oraz umiejętność wzniesienia się ponad interesy obozów politycznych, zaowocowały 16 stycznia ustąpieniem rządu Moraczewskiego. Tego samego dnia nowy gabinet sformował Paderewski, który oprócz stanowiska premiera objął, zgodnie z pokładanymi w jego osobie nadziejami, stanowisko ministra spraw zagranicznych. Utworzony przez niego rząd miał charakter ponadpartyjny i był wyrazem tak potrzebnej zgody narodowej. Osiągnięty sukces najlepiej unaocznił to, że nowej radzie ministrów podporządkował się KNP, umożliwiając przyjęcie jednomyślnej obrony polskiej racji stanu na konferencji pokojowej w Paryżu.

FOT. NAC (x3); IPN; VILLOREJO/SHUTTERSTOCK.COM; FRATRIA

eprasa.pl c7862e56a9

Styczeń

15 I 1918 We Frysztacie przyszedł na świat przyszły „Król Podbeskidzia" i dowódca największego zgrupowania podziemia antykomunistycznego na Śląsku Cieszyńskim, kpt. Henryk Flame „Bartek".

17 I 1773 W Rydzynie w Wielkopolsce urodził się przyszły Kawaler Orderu Virtuti Militari, adiutant Napoleona Bonapartego, płk. Józef Sułkowski. Jego nazwisko do dziś widnieje na paryskim Łuku Triumfalnym.

21 I 1919 W Belwederze, w przededniu 56. rocznicy wybuchu powstania styczniowego, Naczelny Wódz Józef Piłsudski wydał rozkaz, w którym pisał: „Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 1863 roku są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski, walczącymi o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy. Dla uczczenia ich i upamiętnienia roku 63 w szeregach Armji Polskiej, wydałem rozkaz zaliczenia do szeregów Wojska wszystkich weteranów 63 roku z prawem noszenia mundurów Wojsk Polskich w dni uroczyste".

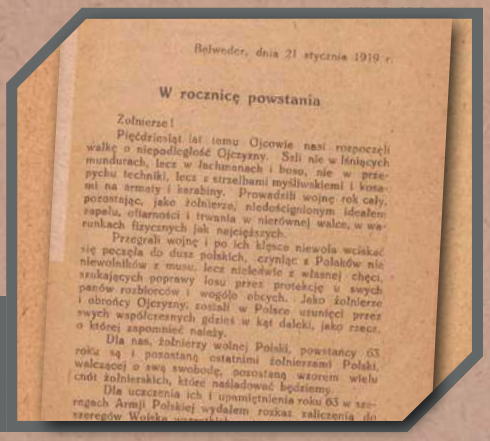

Belweder, dnia 21 stycznia 1919 r.

W rocznicę powstania

Żołnierze!

Pięćdziesiąt lat temu Ojcowie nasi rozpoczęli walkę o niepodległość Ojczyzny. Szli nie w lśniących mundurach, lecz w łachmanach i boso, nie w przepychu techniki, lecz z strzelbami myśliwskiemi i kosami na armaty i karabiny. Prowadzili wojnę rok cały, pozostając, jako żołnierze, niedoścignionym ideałem zapału, ofiarności i trwania w nierównej walce, w warunkach fizycznych jak najcięższych.

Przegrali wojnę i po ich klęsce niewola wciskać się poczęła do dusz polskich, czyniąc z Polaków niewolników z musu, lecz niekiedy z własnej chęci, szukających poprawy losu przez protekcję u swych panów rozbiorców i wogóle obcych. Jako żołnierze i obrońcy Ojczyzny, zostali w Polsce usunięci przez swych współczesnych gdzieś w kąt daleki, jako rzecz, o której zapomnieć należy.

Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 63 roku są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski, walczącej o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy.

Dla uczczenia ich i upamiętnienia roku 63 w szeregach Armji Polskiej wydałem rozkaz zaliczenia do szeregów Wojska wszystkich

23 I 1919 Czechosłowackie wojska uderzyły na Republikę Polską w celu przejęcia kontroli nad spornym terytorium Śląska Cieszyńskiego. Agresja była złamaniem wcześniejszej umowy i spadła na odradzający się kraj w trakcie wojny polsko-ukraińskiej oraz powstania wielkopolskiego.

26 I 2006 Iracka policja i wojsko osiągnęły pełną gotowość i przejęły odpowiedzialność za kontrolowaną dotąd przez Polski Kontyngent Wojskowy strefę w Iraku.

27 I 1989 W ośrodku konferencyjnym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Magdalence spotkały się strona opozycyjna z Lechem Wałęsą na czele oraz strona reprezentująca komunistyczny reżim, której przewodniczył szef MSW Czesław Kiszczak.

30 I 1850 W Warszawie przyszedł na świat malarz, przedstawiciel realizmu i prekursor polskiego impresjonizmu Aleksander Gierymski. Wśród dzieł, które wyszły spod jego pędzla, można wymienić m.in. „W altanie", „Święto trąbek", „Żydówkę z pomarańczami".

eprasa.pl c7862e56a9

18 I 1654

Bohdan Chmielnicki wraz ze starszyzną kozacką, nie mogąc osiągnąć zwycięstwa w wojnie domowej z Rzeczpospolitą, postanowił oddać się pod zwierzchnictwo cara Rosji. Unia zawarta w Perejasławiu odmieniła losy Ukrainy i przywykłej do swobód kozaczyzny.

Powstanie Chmielnickiego trwało już szósty rok. W tym czasie południowo-wschodnie tereny Rzeczypospolitej spłynęły morzem krwi, miasta i wsie opustoszały, a bratobójcze walki nie przyniosły żadnej ze stron wyraźnego sukcesu. Kozacy zrozumieli, że sami nie zdołają pokonać polskich wojsk, a Tatarzy dowiedli, że nie będą lojalnymi sojusznikami. Nie widząc szansy na porozumienie się z obcą kulturowo Turcją, Chmielnicki postanowił się zwrócić do ostatniej siły w rejonie, jaką była Moskwa. Za tym właśnie kierunkiem przemawiały wspólna religia, pismo i obyczaje. Jednak wśród wielu przedstawicieli starszyzny kozackiej sojusz z Rosją wywoływał uzasadnione obawy. Mimo to Chmielnicki zwrócił się do cara Aleksego I o pomoc. Ostatecznie zabiegi te padły na podatny grunt i w październiku 1653 r. moskiewski sobór ziemski uchwalił decyzję, aby władca Rosji przyjął pod swoją władzę hetmana kozackiego, jego wojska oraz Ukrainę Naddnieprzańską. W konsekwencji 18 stycznia w Perejasławiu poseł Wasyl Buturlin przyjął w imieniu cara przysięgę złożoną przez Kozaków. Ugoda nie tylko nie zakończyła walk na Ukrainie, ale również rozpoczęła nową wojnę polsko-rosyjską. Ponadto car nie zamierzał tolerować niepodległościowych dążeń kozaczyzny, przewidując dla niej jedynie autonomię. Jednocześnie Moskwa rozpoczęła likwidację odrębności metropolii kościelnej w Kijowie.

25 I 1939

Do Warszawy przybył jedyny raz z wizytą minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop. Podejmowany z najwyższymi honorami państwowymi, jeszcze raz przedstawił niemieckie propozycje polityczne dla Polski.

Trzy miesiące wcześniej, 24 września, w niemieckiej miejscowości Berchtesgaden doszło do rozmowy Ribbentropa z ambasadorem II Rzeczypospolitej Józefem Lipskim. W jej trakcie polski dyplomata poruszył zagadnienia przedłużenia polsko-niemieckiego układu o nieagresji oraz przyłączenia, kosztem Czechosłowacji, terenów Rusi Zakarpackiej do Węgier. W odpowiedzi minister III Rzeszy niespodziewanie przedstawił plan całościowego rozwiązania wzajemnych relacji Polski i Niemiec. Przewidywał on m.in. wcielenie Gdańska do III Rzeszy, budowę niemieckiej, eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej prowadzących przez polskie Pomorze, podpisanie klauzuli konsultatywnej, a nade wszystko przystąpienie II RP do paktu antykominternowskiego. W zamian Niemcy były skłonne przedłużyć wspomniany pakt o nieagresji, uznać wzajemną nienaruszalność granic, a także zagwarantować Polsce wolny dostęp do portu w Gdańsku. Szef polskiej dyplomacji minister Józef Beck dostrzegł w niemieckiej propozycji próbę podporządkowania Warszawy Berlinowi oraz wciągnięcia do obozu państw jawnie wrogo nastawionych do Związku Sowieckiego, co pociągałoby za sobą wiele poważnych następstw. Tym samym odpowiedź przekazana 11 listopada przez ambasadora była negatywna. Niemcy ponownie przedstawili swoje postulaty podczas wizyty ministra Becka w Berchtesgaden oraz Monachium 5 i 6 stycznia 1939 r. Jednak rozmowy bezpośrednio prowadzone przez Adolfa Hitlera, a następnie Ribbentropa, mimo towarzyszącej im kurtuazji, nie przyniosły zmiany stanowiska Polski. Jednocześnie upewniły polskie władze, że drugorzędne postulaty, przy których obstaje III Rzesza, są jedynie pretekstem do realizacji znacznie groźniejszego planu. Ostatecznie zaledwie 19 dni później niemiecki minister spraw zagranicznych udał się osobiście do Warszawy, by jeszcze raz podjąć próbę wciągnięcia Polski do antysowieckiego obozu.

Wizyta przypadała w piątą rocznicę podpisania polsko-niemieckiego aktu o nieagresji. Na miejscu Ribbentrop m.in. zapewniał, że nie ma pomiędzy oboma państwami takich problemów, których nie dałoby się rozwiązać, oraz złożył wieniec pod Grobem Nieznanego Żołnierza. Jednak pomimo licznych dyplomatycznych gestów, trzeciego dnia pobytu niemieckiego polityka, minister Beck unikał dłuższych rozmów, a uroczystemu pożegnaniu towarzyszyła nieukontentowana mina Ribbentropa. Szef polskiej dyplomacji, oceniając odbyte rozmowy, pisał: „Uderzał przede wszystkim osobisty nacisk Hitlera na pośpiech. Natomiast rozmowy dały wynik całkowicie negatywny". Z kolei żona niemieckiego ministra, relacjonując jego powrót z Warszawy, zanotowała: „Podróż mego męża skończyła się niepowodzeniem. W drodze powrotnej wywnętrzył się on po raz pierwszy wobec swych współpracowników: »Obecnie zostaje nam już tylko jako wyjście – porozumienie się z Rosją, o ile nie chcemy być całkowicie osaczeni«".

Opracował Michał Komuda

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3X); SERKAN SENTURK / SHUTTERSTOCK.COM; MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; NAC

eprasa.pl c7862e56a9

ODNOWIENIE KRÓLESTWA

JACEK KROCHMAL

Arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka lokuje miasto Kurzelów na prawie średzkim (1285 r.)

Zjawiskiem charakterystycznym dla średniowiecznej Europy było rozdrobnienie feudalne. Bolesław III Krzywousty przed śmiercią w 1138 r. ustanowił zasady następstwa tronu, dzieląc państwo między synów. Tytuł seniora, czyli księcia zwierzchniego, związany był z panowaniem nad Małopolską ze stolicą w Krakowie. W następnych latach proces rozdrobnienia feudalnego się nasilił, czego wyrazem było powstawanie coraz mniejszych księstewek. Część z nich przejawiała tendencje emancypacyjne, chcąc zerwać związki z Polską. W 1181 r. książę Bogusław złożył hołd lenny z Pomorza Zachodniego cesarzowi Fryderykowi Barbarossie, a w 1185 r. królowi Danii, natomiast w 1227 r. spod zwierzchnictwa seniora ziem polskich wyłamał się Świętopełk, władca Pomorza Gdańskiego.

W okresie rozdrobnienia dzielnicowego istotnym czynnikiem integrującym ziemie polskie była kościelna metropolia gnieźnieńska. Jedność terytorium polskiego podkreślał ciążący na jego mieszkańcach obowiązek składania Stolicy Apostolskiej daniny zwanej świętopietrzem, co było echem oddania ziem polskich przez Mieszka I pod opiekę papieży w akcie Dagome iudex. Poczucie wspólnoty podtrzymywały synody prowincjonalne skupiające duchowieństwo ze wszystkich diecezji polskich. Ważnym czynnikiem integrującym był także kult świętych patronów kraju: Wojciecha i Stanisława. W ideologii zjednoczeniowej szczególne miejsce odegrała legenda św. Stanisława, mówiąca o cudownym zrośnięciu poćwiartowanych członków biskupa, co symbolizowało zjednoczenie ziem polskich. Kult biskupa wpleciono w koncepcję ideową odbudowy królestwa.

Książęta polscy podejmowali liczne próby przezwyciężenia rozdrobnienia dzielnicowego poprzez łączenie poszczególnych dzielnic pod swą władzą. Ważnym etapem jednoczenia ziem polskich było państwo Henryków śląskich. Henryk Brodaty panował nad Śląskiem, ziemią krakowską i częścią Wielkopolski. Politykę zjednoczeniową kontynuował jego syn Henryk II Pobożny, zrodzony z małżeństwa z księżną Jadwigą (kanonizowaną w 1267 r.). W 1241 r. miał miejsce najazd Mongołów na Polskę. W bitwie pod Legnicą poległ Henryk Pobożny. Po jego śmierci rozpadły się ziemie zebrane pod berłem Henryków śląskich, a w konsekwencji przerwany został proces jednoczenia ziem polskich.

U schyłku XIII w. dzieło zjednoczenia podjęto w kilku ośrodkach. Wśród jednoczycieli wyróżniał się Henryk IV Probus, czyli Prawy (†1290), książę wrocławski i krakowski. Swym następcą na senioralnym tronie na Wawelu ustanowił księcia wielkopolskiego Przemysła II. Ten po śmierci Probusa zajął Kraków, ale wobec oporu mieszczan w 1291 r. opuścił Wawel, wywożąc do Gniezna insygnia koronacyjne, co wskazywało kierunek jego planów politycznych. Po księciu pomorskim Mściwoju II w 1294 r. Przemysł II odziedziczył Pomorze Gdańskie. Wraz z Wielkopolską dzielnice te stały się podstawą odrodzonego Królestwa Polskiego. Pierwszoplanową rolę w jego zjednoczeniu odegrał arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka. Przezwyciężył kryzys w Kościele polskim, kończąc trwający od 1271 do 1282 r. wakat na tronie metropolity gnieźnieńskiego. Na synodach prowincjonalnych w Łęczycy w 1285 i 1287 r. arcybiskup wprowadził statuty chroniące język polski w szkolnictwie parafialnym i zobowiązujące księży do jego znajomości. Od papieża Bonifacego VIII uzyskał zgodę na koronację księcia Przemysła II na króla Polski. Uroczysta ceremonia odbyła się 26 czerwca 1295 r. w katedrze gnieźnieńskiej. Nowy władca przyjął tytuł „króla Polaków i księcia Pomorza" oraz herb ukoronowanego Orła jako godło odnowionego Królestwa Polskiego. Po 216 latach przerwy na tronie polskim ponownie zasiadł król.

Jednak koronacja Przemysła II nie przezwyciężyła rozdrobnienia dzielnicowego, monarcha nie uzyskał bowiem poparcia we wszystkich dzielnicach. Wymownym tego przejawem był skład celebransów uczestniczących w koronacji. Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu towarzyszyli biskupi: poznański, płocki, włocławski i lubuski, nieobecni byli zaś biskupi wrocławski i krakowski, należący do stronnictwa popierającego starania o tron polski króla czeskiego Wacława II. Niezadowoleni z polityki Przemysła II byli też margrabiowie brandenburscy, którzy zlecając jego

eprasa.pl c7862e56a9

POLSKIEGO

uprowadzenie, doprowadzili do królobójstwa. Przemysł II został zamordowany w Rogoźnie 8 lutego 1296 r.

Arcybiskup Jakub Świnka ponownie przewodniczył ceremonii koronacyjnej, gdy tron polski przeszedł w ręce czeskiej dynastii Przemyślidów, najpierw Wacława II (1300–1305), a następnie Wacława III (1305–1306). Stało się tak wbrew postanowieniu możnowładztwa zgromadzonego na pogrzebie Przemysła II, które władzę nad Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim oddało księciu kujawskiemu Władysławowi Łokietkowi. Piast ten wykazał się największą konsekwencją w jednoczeniu rozdrobnionych księstw polskich, przez ponad 30 lat walcząc o koronę królewską. Łokietek rozpoczął rządy od panowania nad księstwami kujawsko-brzeskim i łęczyckim. W 1288 r. odziedziczył ziemię sieradzką. Panował też w ziemi sandomierskiej, wkrótce jednak utracił wszystkie dzielnice. Jako książę bez ziemi schronił się na Rusi Halicko-Włodzimierskiej u swego szwagra, kniazia Jerzego Lwowica. Łokietek powrócił do Polski w 1304 r. Korzystając ze wsparcia Węgier i rycerstwa małopolskiego, ponowił akcję zjednoczeniową. Jego polityka napotkała w Krakowie opór bp. Jana Muskaty, będącego jednocześnie starostą krakowskim. W opozycji do Łokietka stanęli mieszczanie niemieccy, czego przejawem był bunt wójta Alberta w 1312 r. Ciąg niepowodzeń został powstrzymany dopiero w 1314 r., kiedy książę Władysław zajął Wielkopolskę. 31 sierpnia 1314 r. wydał przywilej dla miasta Kalisza, tytułując się w nim „dziedzicem Królestwa Polskiego". Był to wyraz jego programu politycznego zmierzającego do zjednoczenia Polski i odnowienia królestwa. Już wcześniej, po śmierci Przemysła II, od 1296 r. Łokietek zaczął tytułować się księciem Królestwa Polskiego. Sukcesy te skupiły wokół niego wielu dostojników świeckich i duchownych. Starania o odnowienie Królestwa Polskiego zwieńczono uroczystą koronacją, której 20 stycznia 1320 r. dokonał arcybiskup gnieźnieński Janisław. Po raz pierwszy w dziejach Polski koronacja królewska miała miejsce na Wawelu. Akt ten ugruntował pozycję Krakowa jako nowej stolicy Polski.

Koronacja Władysława Łokietka była zwieńczeniem jego kilkudziesięcioletnich zmagań o zjednoczenie Polski. Polegały one na obejmowaniu we władanie kolejnych księstw dzielnicowych. Król panował nad Małopolską, Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim, ciągle jednak wiele dzielnic pozostawało poza jego państwem, w tym Mazowsze, Śląsk i Pomorze. Akcję zjednoczeniową prowadzono także po odnowieniu Królestwa Polskiego, do którego w latach 1321–1529 przyłączano Kujawy, Pomorze Gdańskie i Mazowsze. Ten długi proces zjednoczeniowy w swym końcowym etapie przebiegał równolegle do działań unijnych o większej skali – unifikacji Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, których zwieńczeniem była unia lubelska zawarta w 1569 r.

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

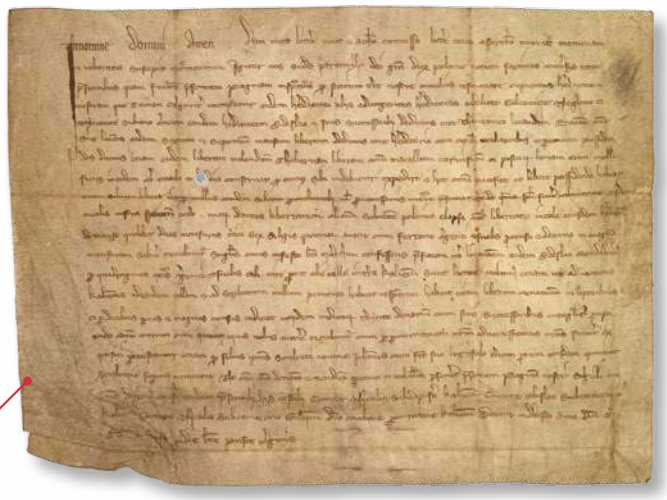

Książę polski Przemysław II lokuje wieś Kamień na prawie niemieckim (1290 r.)

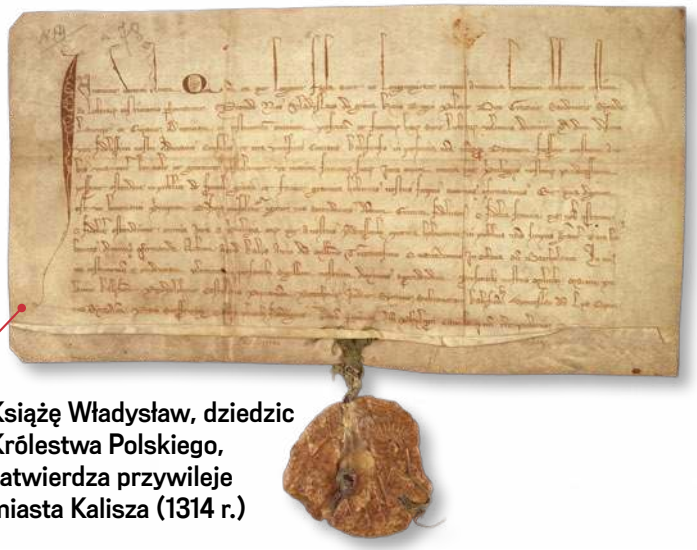

Książę Władysław, dziedzic Królestwa Polskiego, zatwierdza przywileje miasta Kalisza (1314 r.)

Przywilej Władysława Łokietka dla klasztoru cystersów w Byszewie (Koronowie) z 1325 r. – najstarszy dokument królewski w AGAD

eprasa.pl c7862e56a9

NA TEMAT TAKICH POSTACI JAK ANNA Z KOSTKÓW KSIĘŻNA OSTROGSKA CHĘTNIE WYPOWIADALI SIĘ „DZIEJOPISOWIE, KTÓRZY NADZIEWALI POCHLEBSTWAMI KRONIKI RODZINNE ZNAMIENITYCH OSÓB I OTACZALI JE DYMAMI POCHWALNYCH KADZIDEŁ" – PISAŁ AUTOR PIERWSZEJ NAUKOWEJ BIOGRAFII KSIĘŻNEJ KAZIMIERZ GOTTFRIED

KSIĘŻNA WDOWA W BENEDYKTYŃSKIM HABICIE

HENRYK LITWIN

Jakże łatwo wspomniani bohaterowie zbierali po wiekach skrajnie krytyczne oceny profesjonalnych historyków, którzy w barokowych panegirykach dostrzegali jedynie ekstremalną przesadę. Dopiero w ostatnich latach ten rodzaj pisarstwa zaczął być doceniany przez analityków i choć jego wykorzystanie wymaga bez wątpienia niezwykłej ostrożności, to jednak stanowi on ważny zapis staropolskich wyobrażeń o formach żywota doskonałego. Księżna Anna musiała zostać bohaterką panegiryków, połączyła bowiem życie modlitewno-kontemplacyjne z aktywnym.

Między klasztorem a małżeństwem

Nie mieściło się to chyba w jej młodzieńczych planach. Matka życzyła sobie zobaczyć Annę w habicie zakonnym i – jak się zdaje – ona sama przygotowywała się do tego od dzieciństwa. Jednak zamiast przekroczyć klasztorną furtę, Anna ze Sztembarku Kostczanka pojawiła się w „wielkim świecie" na początku lat 90. XVI w. jako niezwykle posażna panna ze znakomitymi koligacjami. Była córką Jana Kostki, wojewody sandomierskiego i dwukrotnego kandydata do polskiego tronu, którego szlachecka pamięć zbiorowa uznawała za człowieka wybitnego, oraz Zofii z Odrowążów Sprowskich, której matką była Anna Piastówna, ostatnia przedstawicielka rodu książąt mazowieckich. Kostczanka szczyciła się też związkami rodzinnymi ze św. Jackiem Odrowążem i zmarłym „in odore sanctitatis" Stanisławem Kostką, którego beatyfikowano już w 1605 r. (kanonizowany w 1726 r.). Dla kandydatów na jej męża ważniejsze było zapewne to, że wraz z siostrą Katarzyną dziedziczyła wielkie majątki wygasłych w linii męskiej Odrowążów, mogła więc do związku małżeńskiego wnieść prawdziwą fortunę. Matka, jak wspomniałem, przeznaczyła Annę do życia zakonnego, ale rychła śmierć obojga rodziców sprawiła, że znalazła się pod opieką stryja Krzysztofa, wojewody pomorskiego, który nie podporządkował się woli zmarłej bratowej i przeznaczył bratanicę do życia małżeńskiego. W 1592 r. Anna posłusznie wyszła za mąż za Aleksandra kniazia Ostrogskiego, syna największego chyba latyfundysty Rzeczypospolitej Konstantego, wojewody kijowskiego. Pobożna katoliczka stała się żoną i synową gorących wyznawców prawosławia, a już niebawem przywódców wielkiego stronnictwa zwalczającego unię Kościołów zawartą w Brześciu w 1596 r.

Żona, matka, pani na włościach

Małżeństwo istotnie zmieniało społeczną pozycję kobiety – szlachcianki. W prawie staropolskim (i we wszystkich ówczesnych systemach prawnych państw europejskich) kobieta niezamężna mogła być nosicielem dziedziczenia dóbr ziemskich, ale nie mogła ich faktycznie posiadać. O losie jej i jej majątku decydowali rodzice, a w razie ich śmierci wyznaczeni przez nich opiekunowie. Dopiero z chwilą zawarcia małżeństwa kobieta stawała się pełnoprawnym podmiotem prawa własności. Od tego momentu była właścicielką swojego majątku, choć najczęściej powierzała mężowi zarząd swoimi dobrami. Anna z Kostków Ostrogska od początku małżeństwa brała czynny udział w zarządzaniu swoją częścią majątków. Młoda para zamieszkała zresztą w Jarosławiu, który był „stolicą" dziedzictwa Odrowążów, w okazałym renesansowym zamku zbudowanym przez ojca Kostczanki. To miasto pozostało siedzibą Anny do końca jej życia.

Przez kolejne 11 lat Anna ze Sztembarku łączyła obowiązki małżeńskie z gospodarskimi. W tym czasie urodziła ośmioro dzieci. Trzech synów nie przeżyło licznych wówczas zagrożeń chorobowych zdarzających się we wczesnym dzieciństwie. Na ukształtowanie formacji duchowej trzech córek – Zofii, Katarzyny i Anny Alojzy – Anna miała decydujący wpływ i zgodnie z umową małżeńską mogła je wychować na katoliczki. Ta sama intercyza pozosta-

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl c7862e56a9

wiała synów pod opieką ojca, a Aleksander był zdecydowany utrzymać Konstantego i Janusza w wierności prawosławiu. Nie wiemy, jak układało się pożycie tej pary, ale liczne potomstwo świadczy, że sumiennie wypełniała małżeńskie obowiązki. Biografowie podejrzewają Annę i Aleksandra o wzajemny chłód w związku z różnicą wyznań, ale wydaje się raczej, że to małżeństwo powinno nam uświadamiać, iż takie odmienności nie tworzyły wówczas przepaści między ludźmi „wysokiego stanu", nawet przy wysokiej z obu stron temperaturze uczuć religijnych – a tak właśnie było w przypadku Anny i Aleksandra. Jakiekolwiek było, to małżeństwo trwało tylko 11 lat, Aleksander bowiem zmarł przedwcześnie w 1603 r. Anna przywdziała wówczas strój wdowi, mocno podobny do benedyktyńskiego habitu i choć miała wówczas lat zaledwie 30, zdecydowała pozostać we wdowieństwie do końca życia. Trudno dziś powiedzieć, czy miała to być manifestacja wierności zmarłemu mężowi, czy raczej realizacja dziecięcego powołania do życia „w czystości". Panegiryści duchowni nie mieli wątpliwości, że to drugie, ale naszą uwagę zwrócić musi to, że życie Anny z Kostków po 1603 r. stało się bardzo aktywne i intensywne.

Książęca menedżerka, fundatorka i dobrodziejka

Praktyki religijne zajmowały jej dużo czasu w pierwszej połowie dnia, ale druga poświęcona była obowiązkom „Księżnej Jarosławskiej", bo tak ją wtedy nazywano. Anna Ostrogska stała się w 1603 r. zarządcą jednego z największych majątków w Rzeczypospolitej. Jako wdowa po Aleksandrze kontrolowała znaczną część dóbr kniaziów Ostrogskich. Wykupiwszy od siostry połowę dóbr jarosławskich, stała się właścicielką całego dziedzictwa Odrowążów. Razem stanowiło to olbrzymie latyfundium, a jego posiadaczka szybko zdobyła pozycję osoby cieszącej się magnackim prestiżem, opinią świetnego gospodarza, a także hojnego donatora. Przy całej swej pobożności utrzymywała liczny dwór, jej kancelaria obsługiwała korespondencję z królem, nuncjuszami, a nawet kolejnymi papieżami. Jej oczkiem w głowie byli jednak Jarosław i włość jarosławska. W tamtejszych dobrach Anna ze Sztembarku rozwinęła gospodarkę folwarczną, a znaczną część produkcji zbożowej przeznaczała na eksport – nie darmo wywodziła się z rodu zadomowionego w Prusach Królewskich. Dane z komór celnych świadczą, że z dóbr jarosławskich spławiano rocznie średnio 177 łasztów ziarna, czyli ok. 700 ton. Z kolei z Gdańska sprowadzano zarówno towary luksusowe, np. wysokiej jakości wina, jak i szerokiego użytku, np. śledzie solone. Jarosław rozwijał się dynamicznie w czasach Anny Ostrogskiej, choć tempo wzrostu było zakłócane przez wielkie katastrofy. Dwa razy – w 1600 i 1625 r. – miasto prawie całkowicie spłonęło i dwukrotnie jego właścicielka łożyła znaczne sumy na wspomaganie odbudowy oraz stymulowała jej tempo wydawanymi miastu przywilejami i zdobywanymi u króla zwolnieniami podatkowymi. Druga odbudowa została zaplanowana pod jej kierunkiem w taki sposób, by zabudowa była nieco rozproszona dla zapobieżenia rozprzestrzenianiu się pożarów. Jarosław zyskał wtedy późnorenesansowy wystrój, którego ślady możemy podziwiać do dziś. Zamożność miasta wiązała się w znacznej mierze z funkcjonowaniem corocznych jarmarków, które były wielką imprezą handlową ściągającą kupców z wielu krajów. Jak pisał biskup i kronikarz Paweł Piasecki, zresztą ordynariusz w konkurującym z Jarosławiem Przemyślu, były to „najsławniejsze jarmarki i najcelniejsze po tych, jakie w Frankforcie nad Menem bywać zwykły. [...] Zwożą tam mnóstwo i rozmaite kupie z Włoch, Niemiec, Gdańska, Torunia, Królewca, Wilna, ze wszystkich miast Królestwa Polskiego, z sąsiednich Turek, Węgrów i Wołoszczyzny".

Wygląd Jarosławia zmieniał się na korzyść także na skutek „pobożnych fundacji" Anny z Kostków. Księżna Jarosławska zadbała o dofinansowanie budowy kościoła i kolegium jezuickiego ufundowanych przez jej matkę. Sama ustanowiła fundusz, dzięki któremu powstał kościół i klasztor benedyktynek przestrzegających zreformowanej reguły opracowanej przez bliską krewną Anny, Magdalenę Mortęską, która kontemplacyjny charakter życia zakonnego uzupełniła o zadanie edukacji dziewcząt. Przy okazji Ostrogska zadbała w ten sposób o odpowiednie wykształcenie dla swoich młodszych córek. Dbała także o rozbudowę i upiększenie kolegiaty jarosławskiej oraz o inne kościoły i klasztory poza Jarosławiem. Utrzymywała także szpitale, czyli przytułki dla ubogich starców. Jeśli wierzyć twórcom późniejszych mów pogrzebowych, wspomożenie biednych było przez Annę praktykowane w sposób szczególnie intensywny.

Silna kobieta

Umiała też być stanowczym przywódcą w sąsiedzkich zwadach. Odegrała bodaj decydującą rolę w słynnej wojnie prywatnej Stanisława „Diabła" Stadnickiego z Łukaszem Opalińskim. Kiedy uciążliwy dla wszystkich sąsiadów Stadnicki zaczął „zajazdy" na dobra Ostrogskiej, weszła ona w sojusz z Opalińskim, ofiarowała temu ostatniemu posiłki jej własnych wojsk prywatnych i razem pokonali „Diabła". Zginął on już po walnej bitwie z rąk jednego z żołnierzy Anny (1610), którym był „jakiś Pers Tatarzyn", jak opisują źródła.

W życiu rodzinnym spotkały ją liczne nieszczęścia. Straciła trzech synów w ich okresie dziecięcym, a potem kolejnych dwóch, którzy weszli już w wiek męski, lecz okazało się, że były to „wielkie, ale krótko trwałe oyczyzny nadzieje". Pociechą były córki, zwłaszcza młodsze Katarzyna i Anna Alojza, najwyraźniej ukształtowane przez matkę i podobne do niej siłą charakteru, pobożnością i hojnością okazywaną kościołowi i ubogim. Anna Alojza naśladowała matkę nawet wiernością stanowi wdowiemu, w którym przebywała lat 33 (rok dłużej niż matka). Córki zostały wydane za przedstawicieli najświetniejszych wówczas rodów – Lubomirskich, Zamoyskich, Chodkiewiczów. Anna rozdzieliła pomiędzy nie majątki po Ostrogskich (1621), sobie pozostawiając Jarosław z włością. Mieszkała tam do śmierci w 1635 r., do końca energicznie zarządzając miastem i oddając się pobożnym praktykom. Jak to ujął w pogrzebowym kazaniu jezuita Marcin Hincza: „Potrafiła mieć książęcą czapkę zawsze na głowie, a przecież myśleć ustawicznie, jakoby się jako najgłębiej Bogu poniżyć".

Obserwując losy Anny z Kostków Ostrogskiej, trudno się oprzeć wrażeniu, że jej wybór długotrwałego wdowieństwa nie był ani namiastką upragnionego życia zakonnego, ani pielęgnowaniem wspomnienia po mężu, ani ascetyczną praktyką, ale wiązał się z dążeniem do podjęcia samodzielnego działania, kierowania ludźmi, tworzenia rzeczy nowych, a może nawet pokazania, że kobieta może zdobyć większy autorytet niż wielu mężczyzn. Jej w każdym razie się to udało. W jednym z listów do nuncjusza Antonio Santa Croce biskup przemyski Jan Nowodworski, rekomendując kandydata na wysoki urząd kościelny, nie znalazł mocniejszego argumentu niż ten, że ów protegowany zyskał sobie przychylność księżnej Ostrogskiej. I było to przekonujące uzasadnienie.

eprasa.pl c7862e56a9

1937 ROK TURECKICH „SZEŚCIU STRZAŁ"

PAWEŁ SKIBIŃSKI

Rok 1937 najczęściej kojarzy się nam z dramatycznymi wydarzeniami wojny domowej w Hiszpanii albo z wybuchem wojny japońsko-chińskiej na Dalekim Wschodzie, a także z zaprzysiężeniem na drugą kadencję prezydenta USA – Franklina Delano Roosevelta. Jednak rok ten obfitował w istotne zdarzenia także w innych krajach.

W Turcji już 5 stycznia 1937 r. do tamtejszej konstytucji wprowadzone zostały podstawowe założenia ideologiczne państwa – tzw. sześć strzał. Przeforsowała je rządząca niepodzielnie w kraju jedyna legalna siła polityczna – Republikańska Partia Ludowa, CHP, na której czele stał jej twórca i honorowy przewodniczący Mustafa Kemal Atatürk. Był on wówczas od 14 lat nieprzerwanie prezydentem Turcji, a także twórcą, jak wskazuje na to sama jej nazwa, oficjalnej państwowej ideologii tureckiej republiki, tzw. kemalizmu.

Kemal Atatürk (dosłownie „Ojciec Turków") był dawnym liderem nacjonalistycznego ruchu „młodotureckiego", a zarazem wybitnym dowódcą wojskowym, zasłużonym w czasie wojny z Włochami o Libię, wojen bałkańskich oraz I wojny światowej. Był on również twórcą nowoczesnego państwa tureckiego, człowiekiem, który doprowadził do obalenia ostatniego tureckiego sułtana. Stanowił dla wielu wzór nowoczesnego i postępowego nacjonalisty. Symbolizował skuteczny opór Turcji przeciwko siłom Ententy, co zakończyło się podpisaniem traktatu pokojowego w Lozannie 1923 r. Kemal był też prekursorem czystek etnicznych na Ormianach i Grekach, a także realizatorem polityki wielkich przesiedleń; Turcja dokonała wysiedlenia niemal wszystkich greckich mieszkańców Jonii, których przodkowie mieszkali tam (w miastach takich jak Efez czy Milet) od ponad 2,5 tys. lat.

Można tylko dodać, że według ostatnich badań właśnie przykład brutalnej polityki mniejszościowej Kemala inspirował samego Adolfa Hitlera do realizacji swoich działań w Niemczech, a później w trakcie wojny, także w niemieckiej strefie okupacyjnej.

Wspomnianych już „sześć strzał" obejmowało: republikanizm, sekularyzm, populizm, nacjonalizm, etatyzm i reformizm. Terminy te jednak bardzo ogólne, wymagają krótkiego dodatkowego komentarza.

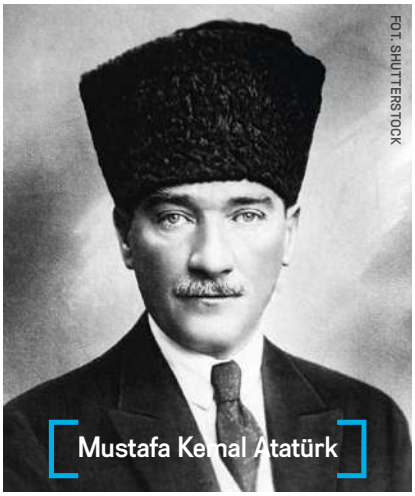

FOT. SHUTTERSTOCK

Mustafa Kemal Atatürk

Republikanizm ruchu kemalistowskiego oznaczał odrzucenie wielowiekowego bagażu Turcji osmańskiej i sułtanatu.

Sekularyzm prowadził do promowania świeckiego modelu budowy społeczeństwa tureckiego oraz odrzucenie zasad islamu w kwestiach zarówno obyczajowych, jak i narodowych. Odrzucenie islamu wiązało się z odrzuceniem kalifatu sułtanów, a zatem również właściwego dla świata islamskiego religijnego uzasadniania władzy. Islam był traktowany jako symbol zacofania, a także oskarżany o deprecjonowanie nacjonalizmu. Na niechętny stosunek Kemala do kwestii religijnych z pewnością wpływała jego przynależność do wolnomularstwa.

Kolejna „strzała" to populizm – oznaczał oparcie się przez partię kemalistowską na masach „zwykłych" ludzi, szerokich warstwach tureckiego społeczeństwa, choć miał to być model odmienny od demokracji parlamentarnej.

Nacjonalizm – o charakterze ściśle etnicznym – odzwierciadlało charakterystyczne hasło kemalistowskiej Turcji: „Jakże szczęśliwy jest ten, kto może siebie nazwać Turkiem". Państwo było oparte, jak wspominaliśmy, na przemocy wobec mniejszości narodowych, a samo podkreślało związki pantureckie, czyli więzi z przedstawicielami innych ludów pochodzenia tureckiego.

Etatyzm zakładał nacjonalizację kluczowych gałęzi tureckiej gospodarki, m.in. banków i kopalni. Zakładał też głęboką ingerencję państwa w życie gospodarcze kraju.

Wreszcie ostatnia zasada – reformizm – zakładała wbrew swej nazwie stałą, rewolucyjną zmianę społeczną, która miała zniszczyć tradycyjne struktury społeczne, a w ich miejsce wprowadzić model życia społecznego Turków aspirujący do nowoczesności. Jednym z symboli takiej nowoczesności było zakazanie tradycyjnych strojów i nakryć głowy, a także wprowadzenie kobiet do życia społecznego i do parlamentu – nie do pomyślenia w tradycyjnych społeczeństwach islamskich.

Ten zestaw zasad, choć nie przypominał wprost postawy ówczesnych partii socjaldemokratycznych, to jednak partia, na której czele stał krwawy autokrata Kemal, pozostawała niezmiennie członkiem II Międzynarodówki Socjalistycznej.

Wprowadzenie tej poprawki do konstytucji miało zapewnić Turcji ciągłość zasad ustrojowych bez względu na osobę twórcy i lidera państwa. Okazało się to już wkrótce niezwykle potrzebne, Kemal Atatürk bowiem w 1938 r. zmarł. Jego zasady ustrojowe przeżyły znacznie dłużej. Turcja jeszcze w latach 90. XX w. stosowała zasady wywiedzione w pełni z owych „sześciu strzał" reżimu Kemala.

eprasa.pl c7862e56a9

JEAN DE MONLUC

OD SUKCESU DYPLOMATYCZNEGO DO POLITYCZNEJ KLĘSKI

W 1571 r. ZYGMUNT AUGUST, KRÓL POLSKI I WIELKI KSIĄŻĘ LITEWSKI, WŁADCA NIEDAWNO STWORZONEGO PAŃSTWA, KTÓRE NAZWAŁO SIĘ RZECZĄPOSPOLITĄ OBOJGA NARODÓW, BYŁ U SCHYŁKU ŻYCIA. EUROPEJSKIE POTĘGI PRZYGOTOWYWAŁY SIĘ DO RYWALIZACJI O SCHEDĘ PO JAGIELLONACH

HENRYK LITWIN

Po śmierci Zygmunta Augusta dwór Francji wysłał do Warszawy poselstwo pod wodzą biskupa Jeana de Monluca, które miało zadbać o wybór Henryka księcia d'Anjou na tron Polski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W kraju i za granicą spodziewano się rychłej śmierci schorowanego i bezdzietnego monarchy. Austriaccy Habsburgowie przejęli wcześniej jagiellońskie monarchie Czech i Węgier. Byli zresztą bliskimi krewnymi i powinowatymi Jagiellonów, więc swoje pretensje do tronu polskiego uważali za naturalne. Równie ambitne cele stawiał sobie w stosunku do Rzeczypospolitej Iwan IV Groźny, choć mając opinię tyrana, nie powinien był liczyć na zdobycie elekcyjnego przecież tronu w Polsce. Uzyskanie polskiej korony było także przedmiotem rozważań władcy Szwecji, Jana III Wazy, żonatego z siostrą Zygmunta Augusta Katarzyną. Europejscy dyplomaci oceniali szanse Habsburgów jako największe. »

eprasa.pl c7862e56a9

Plan Monluca

W ówczesnej Europie stosunki międzynarodowe splatały się wokół dwóch osi: rywalizacji Habsburgów z Walezjuszami – a więc Austrii i Hiszpanii z Francją – oraz konfliktu między protestantyzmem i katolicyzmem. Dwie antagonistyczne dynastie długo rywalizowały o dominację Italii. Traktat w Cateau Cambrésis (1559) zakończył ten konflikt na korzyść Habsburgów. Francja pokonana we Włoszech i pogrążona w zamęcie wojen religijnych szukała możliwości osłabienia zwycięskiego na ten moment przeciwnika, a w każdym razie nie chciała dopuścić do jego kolejnego wzmocnienia. W otoczeniu ówczesnego króla Francji Karola IX powstał plan zawarcia trwałego sojuszu Francji z Rzecząpospolitą i ustanowienia w ten sposób silnej antyhabsburskiej forpoczty w Europie Wschodniej. Jego autorem był Jean de Monluc, biskup Valence, 70-letni wówczas duchowny i dyplomata. Problematyka polska nie była dlań obca, gdyż w 1547 r. posłował do Zygmunta I Starego z propozycją małżeństwa Zygmunta Augusta z Anną d'Este, wnuczką króla Francji Ludwika XII (jak również Lukrecji Borgii). Zaangażowanie młodego Jagiellona w związek z Barbarą Radziwiłłówną uczyniło tamte starania bezowocnymi, ale wzorzec małżeńskiego i dynastycznego francusko-polskiego sojuszu pozostał w instrumentarium starego profesjonalisty. W 1571 r. kombinacja miała polegać na doprowadzeniu do ślubu młodszego brata Karola IX – Henryka księcia d'Anjou z niezamężną siostrą Zygmunta Augusta Anną po uzyskaniu gwarancji odziedziczenia tronu przez tę parę. Plan szybko został zaakceptowany na dworze paryskim, tyle że najmniej zainteresowany był sam kandydat na polskiego króla, któremu nie uśmiechało się opuszczenie Paryża i królowanie w odległym państwie społeczeństwu o republikańskich przekonaniach.

Rozpoczęły się staranne przygotowania przy udziale całej francuskiej dyplomacji. Szybko wysłano do Rzeczypospolitej poselstwo Jeana de Balagny'ego, który miał przekonać do realizacji projektu Zygmunta Augusta. Śmierć króla 7 lipca 1572 r. nie pozwoliła wypełnić Balagny'emu zadania. Nie zmarnował on jednak swego pobytu w Rzeczypospolitej i przygotował grunt pod dalsze działania, propagując kandydaturę Henryka d'Anjou na opróżniony tron. Andegaweńczyk stał się poważnie rozpatrywanym kandydatem do schedy po Jagiellonach.

Kiedy wieść o śmierci Zygmunta Augusta dotarła do Paryża, zainteresowanie polskim pomysłem znacznie wzrosło. Królowa matka postanowiła nie dopuścić do przejęcia polskiego tronu przez Habsburgów. Skorygowano nieco plan Monluca i zdecydowano się wysłać do Polski poselstwo, które miało zadbać o wybór Henryka na króla Polski. Na dworze uznano, że najlepszym możliwym kandydatem na przywódcę takiej misji będzie sam autor śmiałego projektu Jean de Monluc. Doświadczony dyplomata, biskup – powiedzmy – renesansowy, oskarżany o kryptokalwinizm ojciec kilkorga dzieci nieuznanych oficjalnie, ale pozostających pod jego stałą i czułą opieką, był dobrym kandydatem na posła w Rzeczypospolitej, gdzie każdy – katolik i protestant – mógł znaleźć w przybyszu czytelne zalety. Zgodnie z otrzymaną instrukcją miał zachwalać wielkość „domu" Henryka, jego mądrość, doświadczenie, zdolności wojskowe i „szacunek u postronnych". Zobowiązany był też przekonywać Polaków, że wybór Francuza zapewni trwały pokój z Turcją, pomoc w wojnie z Moskwą i przyjaźń niemieckich książąt protestanckich. Miał też upoważnienie do zaproponowania możliwości poślubienia przez Henryka „infantki Anny" oraz do zagwarantowania pokoju religijnego różnowiercom.

MONLUC DAŁ W POLSCE POPIS PROFESJONALNEJ SPRAWNOŚCI. PERFEKCYJNIE WYKORZYSTAŁ DYPLOMATYCZNE INSTRUMENTY ODDZIAŁYWANIA W KRAJU URZĘDOWANIA

Misji Monluca upadki i wzloty

W sierpniu 1572 r. Monluc wyruszył do Polski z niewielkim orszakiem współpracowników, który miał potem kilkakrotnie poszerzać. W październiku dotarł do Polski, przekraczając jej granicę w Miedzyrzeczu. Tu wykonał pierwszy umiejętny ruch – ostentacyjnie podporządkował się narzuconym mu ograniczeniom w poruszaniu się po kraju w czasie bezkrólewia, okazując w ten sposób szacunek dla polskich obyczajów i dystansując się od zachowania posłów cesarskich, którzy notorycznie łamali podobne zakazy. Monluc wiedział już wtedy, że losy bezkrólewia decydują się na kolejnych zjazdach senatorskich i senatorsko-szlacheckich. Ustalił, że trwał właśnie zjazd wielkopolskiego możnowładztwa w Kaskach i skierował tam swój list z prośbą o wyznaczenie ram działania dla jego poselstwa. Ten gest spotkał się z dobrym przyjęciem i zapewnił poselstwu znaczną swobodę ruchu. Jednocześnie jednak do Polski dotarły wieści o wydarzeniach nocy św. Bartłomieja w Paryżu i masakrze hugenotów. W ich efekcie – jak pisał uczestnik misji Monluca Jean de Choisnin – „w kilku godzinach imię francuskie było u wszystkich w obrzydzeniu".

Powodzenie dobrze przygotowanej i znakomicie rozpoczętej misji Monluca zawisło na włosku. Wieść o paryskiej masakrze mogła pogrzebać szanse Andegaweńczyka nie tylko wśród protestantów, ale też wśród katolickich zwolenników utrzymania pokoju religijnego zwanych „politykami", co łącznie stanowiło już znaczącą większość szlacheckiej opinii publicznej. Na domiar złego – dla Monluca – rozeszły się pogłoski – nie bez udziału dyplomacji habsburskiej – że Henryk miał w rzezi hugenotów „sprawstwo kierownicze", a nawet bezpośredni, aktywny udział. Zadaniem Monluca od tej chwili było przeprowadzenie skutecznej kampanii informacyjnej zaciemniającej rzeczywisty obraz wydarzeń w Paryżu i oddalającej wszelkie zarzuty pod adresem księcia d'Anjou. Wywiązał się z tego znakomicie. Wpuścił w obieg setki egzemplarzy druków i pism ulotnych opisujących noc św. Bartłomieja jako obronę przed antykrólewskim spiskiem protestantów, w trakcie której utracono kontrolę nad oburzonym niegodziwością hugenotów tłumem paryżan. Monluc i jego współpracownicy, działając równolegle, niestrudzenie odwiedzali dwory

eprasa.pl c7862e56a9

magnackie oraz dworki szlacheckie i sami przyjmowali wielu gości, cierpliwie przekonując rozmówców, że udział Henryka w zajściach paryskich polegał jedynie na hamowaniu agresji tłumu i ratowaniu protestantów przed gniewem ludu. Jednocześnie nagłośniono zwiększenie puli obietnic pretendenta: regularne dofinansowanie skarbu donacjami z Francji, gwarancje zachowania praw i wolności, stypendia na uczelnie paryskie dla szlacheckiej młodzieży z Rzeczypospolitej, wsparcie działań wojennych przeciwko Moskwie wystawieniem oddziału piechoty gaskońskiej. Francuski poseł zadbał też o wzmocnienie swojej ekipy, do której dołączyli wracający do Polski Balagny, brat posła francuskiego w Stambule Gilles de Noailles opat d'Isle, współpracujący z dworem paryskim hugenota de Seychelle oraz Guy de Lansac, który przybył do Polski ze skrzyniami pełnymi pieniędzy (120 tys. liwrów) na „propagandę z mieszka". Zespół działał w sposób skoordynowany, rozdzielony na małe grupy, które docierały do różnych zakątków Rzeczypospolitej.

Majstersztyk dyplomacji

Tymczasem przygotowania do elekcji trwały. W styczniu 1573 r. odbył się zjazd konwokacyjny, na którym ustalono miejsce (pod Warszawą) i sposób (viritim) przeprowadzenia elekcji. Ważne ostrzeżenie dla Monluca stanowiło to, że jednym z efektów zjazdu konwokacyjnego było przyjęcie konfederacji warszawskiej, czyli obwarowania prawnego pokoju religijnego, którego zaprzysiężenia wymagano od przyszłego króla. Trzeba było kontynuować urabianie protestantów i katolickich „polityków", korzystając z „argumentów" przywiezionych przez Lansaca i aktywności swoich współpracowników. Zbliżał się sejm elekcyjny, na którym Monluc miał wygłosić mowę rekomendującą Henryka. Francuz był coraz lepszej myśli. Nastroje panów braci były wrogie Habsburgom, aktywność poselstwa szwedzkiego niska, Iwan Groźny zaś stawiał wygórowane żądania, zamiast myśleć o promocji swej kandydatury wśród szlachty. Francuski poseł pracował pilnie nad tekstem swojej mowy. Doprowadził do jej przetłumaczenia na język polski i wydrukowania w tysiącu egzemplarzy, tak by rozkolportować treść przemówienia na polu elekcyjnym zaraz po jego wygłoszeniu.

Monluc przybył 3 kwietnia 1573 r. do Warszawy i obserwował rozpoczęcie sejmu 6 kwietnia. Punktem kulminacyjnym miały być mowy posłów zagranicznych rekomendujące kandydatów na króla. Jako pierwszy wystąpił nuncjusz papieski Commendone i zalecił wybór katolika, co okazało się korzystne dla Henryka i niekorzystne dla kandydatury habsburskiej – arcyksięcia Ernesta. Z kolei wystąpił reprezentujący cesarza Maksymiliana II Wilhelm Resemberg i przemawiając w języku czeskim, jako bliskim i zrozumiałym dla Polaków, zarekomendował arcyksięcia Ernesta. Monluc, powołując się na późną porę, w jakiej przyszłoby mu rozpocząć swoje przemówienie, zaproponował, by je przełożyć na dzień następny, co zostało zaaprobowane przez sejmujących. Był to jednak wybieg. Przez noc francuski poseł wprowadził istotne zmiany do swego przemówienia, uwzględniające reakcję na mowę Resemberga, zadbał o przetłumaczenie nowej wersji na język polski, a następnie 30 kopistów przepisywało bez przerwy tekst, tak by w trzy dni rozkolportować na polu elekcyjnym tysiąc jego egzemplarzy. To było najmocniejsze uderzenie promocyjne w czasie elekcji. Szwedzi wypadli blado. Poseł moskiewski nie pojawił się na elekcji. Ekipa Monluca w pocie czoła przyjmowała gości, odwiedzała stancje i namioty zgromadzonej szlachty, obiecując wszystkim, czego tylko sobie życzyli. Polski kronikarz Reinhold Heidenstein napisał kilka lat później, że gdyby Monlucowi postawiono wówczas warunek, że Henryk zbuduje złoty most przez Wisłę, to też by taką kondycję zaprzysiągł.

Niesławny sukces

Taki sposób działania przyniósł Monlucowi ostateczny sukces. 9 maja 1573 r. Henryk został obrany na polskiego króla, ale przed publicznym ogłoszeniem księcia d'Anjou elektem jego poseł musiał zaprzysiąc spełnienie przez nowego monarchę stawianych przez szlachtę warunków: gwarancji dla stabilności ustrojowej, pokoju religijnego oraz spełnienia wielu konkretnych obietnic ze zobowiązaniem do poślubienia Anny Jagiellonki na czele. Monluc usiłował jeszcze trochę się targować, ale w końcu zaprzysiągł spełnienie wszystkich warunków. 16 maja ogłoszono wybór Henryka na króla Polski i wielkiego księcia Litwy etc.

Dyplomatyczna misja została uwieńczona spektakularnym sukcesem. Monluc mógł napisać do elekta z dumą: „Jesteś królem polskim, jeśli chcesz nim być, ale nie z ręki mojej – jakeś do mnie niedawno pisał – lecz z ręki boskiej". Katarzynie Medycejskiej zaś zameldował: „Obietnicę moją wiernie dopełniłem. Widzisz Wasza Królewska Mość ulubionego syna swego królem polskim".

Monluc dał w Polsce popis profesjonalnej sprawności. Perfekcyjnie wykorzystał dyplomatyczne instrumenty oddziaływania w kraju urzędowania. Przeprowadził sprawną analizę sposobu funkcjonowania polskiego systemu politycznego, znaczenia politycznego grup i jednostek, obyczaju oraz mentalności społeczności szlacheckiej, a także uwzględnił zróżnicowanie wyznaniowe i terytorialne Rzeczypospolitej. A wszystko to przeprowadził w warunkach bezprecedensowych – pierwszej wolnej elekcji w Polsce, przy braku podobnych przykładów w Europie. Skutki tej dyplomatycznej wiktorii były jednak – jak wiemy – fatalne. Krótkie panowanie Henryka w Rzeczypospolitej nie spełniło żadnych oczekiwań. Ucieczka króla do Francji spowodowała zerwanie polsko-francuskich stosunków dyplomatycznych, a o fiasko całego projektu obwiniono zarówno w Paryżu, jak i w Warszawie Monluca. Został pozbawiony „łaski królewskiej" we Francji. W Polsce stał się symbolem krętactwa i kłamstwa.

W ostatecznym rozrachunku poniósł klęskę, gdyż perfekcyjności jego dyplomatycznego warsztatu nie towarzyszyło uwzględnienie prognozy długoterminowej. Zręczne manipulacje były dokonywane bez zastanowienia się nad możliwą reakcją w razie niespełnienia obietnic. Zastosowanie skutecznej propagandy nie szło w parze z uświadomieniem sobie tego, że szlachecka społeczność w Rzeczypospolitej ma dostęp do różnych źródeł informacji i będzie w stanie zweryfikować rzetelność składanych przez posła deklaracji. W efekcie Monluc zrealizował cel doraźny, a zaprzepaścił osiąg nięcie celu strategicznego – trwałego usadowienia się Walezjuszy na tronie polskim i stworzenia francuskiego przyczółku w Europie Wschodniej biorącego Habsburgów w geopolityczne kleszcze. W historii dyplomacji casus Monluca jest jaskrawym przykładem tego, jak niewiele warta jest profesjonalna sprawność wobec braku politycznej wiarygodności.

eprasa.pl c7862e56a9

NIEMIECKA ZBRODNIA W WAWRZE

W POGONI ZA SUKCESEM, W WIRZE CODZIENNYCH SPRAW NIE ZDAJEMY SOBIE SPRAWY Z TEGO, W JAK SPOKOJNYCH CZASACH PRZYSZŁO NAM ŻYĆ... PRZYPOMNIENIE TRAGICZNYCH WYDARZEŃ SPRZED KILKUDZIESIĘCIU LAT BYĆ MOŻE POZWOLI NAM DOCENIĆ TO, JAK BEZTROSKIE JEST NASZE WSPÓŁCZESNE ŻYCIE...

Skazani na śmierć mieszkańcy Wawra, których Niemcy prowadzili 27 grudnia 1939 r. rano na miejsce rozstrzelania, mijali feralną restaurację Antoniego Bartoszka. Na jej drzwiach Niemcy wcześniej już powiesili właściciela

PIOTR ŚWIĄTECKI

Dziś obszar opisywanych tu wydarzeń jest częścią dzielnicy Warszawa Wawer. Nazwa Wawer – początkowo odnosząca się tylko do karczmy – pojawia się w źródłach z XVI w. Legenda głosi, że spał w tej karczmie Napoleon, idąc z Wielką Armią na Moskwę. Prawdą jest natomiast, że w sąsiedztwie wawerskiej karczmy Polacy stoczyli zwycięską bitwę z Rosjanami w czasie powstania listopadowego.

Kolej Nadwiślańska, wybudowana przez Rosjan ze względów strategicznych w latach 70. XIX w., dała impuls rozwojowy okolicy. Wzrastało zaludnienie Wawra, wskutek zaś dokonanej na przełomie XIX i XX w. parcelacji cząstki klucza wilanowskiego Branickich powstał dzisiejszy Anin. Planowany jako miasto ogród Anin miał się składać z domów rozmieszczonych na zalesionych sosnowym borem działkach o powierzchni ok. 1,6 tys. m² każda. Wiele anińskich domów wybudowali maszyniści kolei państwowych, na początku XX w. stanowiący arystokrację finansową wśród ludzi żyjących z pracy rąk. To dla nich zarząd Kolei Nadwiślańskich wykupił kilkadziesiąt anińskich działek od latyfundysty i przekazał swoim pracownikom na dogodnych warunkach.

W latach 30. sąsiadujące z warszawską Pragą podmiejskie osiedla rozłożone wzdłuż linii kolejowej – jak Wawer, Anin, Międzylesie (wcześniej noszące godnie nazwę Kaczego Dołu) – były letniskami i siedliskami ówczesnej klasy średniej.

Wybuch II wojny światowej nieznacznie zakłócił życie mieszkańców tych okolic, choć przecież niedaleko, w sąsiednim Marysinie Wawerskim, Hitler 22 września 1939 r. z wieży kościoła patrzył na obleganą przez Wehrmacht Warszawę, a w okolicy wojsko polskie potykało się z Niemcami. Mimo to w Aninie i Wawrze żyło się w pierwszych miesiącach okupacji dość spokojnie. Aż do zimowego

eprasa.pl c7862e56a9

FOT. NAC

śnieżnego, mroźnego drugiego dnia Bożego Narodzenia 1939 r.

* * *

26 grudnia 2017 r.; przed godziną 23:00, obok wejścia do tunelu pod linią kolejową przy stacji Wawer w ciemności gromadzą się ludzie. Czekają cierpliwie i w milczeniu (daty rocznej – 2017 r. – używam w tym tekście umownie; co roku bowiem nocą z 26 na 27 grudnia, od wielu lat, mieszkańcy Anina i Wawra spotykają się wieczorem w tym samym miejscu, obok wejścia do tunelu pod linią kolejową). Linia kolejowa nr 7 – niegdysiejsza kolej nadwiślańska, prowadząca do Lublina, rozdziela dwa osiedla – Anin (po jej wschodniej stronie) i Wawer (po stronie zachodniej). Od połowy lat 30. XX w. dwa kolejne przystanki kolejowe na tej linii – Wawer i Anin – służą więc w równej mierze mieszkańcom obu osiedli. Tunel przy stacji w Wawrze umożliwia przejście z Anina do Wawra i bezpieczne wejście na peron stacji Wawer.

* * *

26 grudnia 1939 r. po południu dwóch kryminalistów zbiegłych z więzienia na Świętym Krzyżu wtargnęło do restauracji Antoniego Bartoszka. Restauracja była usytuowana niedaleko stacji kolejowej Wawer, po jej zachodniej (czyli wawerskiej) stronie, przy ul. Widocznej. Bandyci – Marian Prasuła i Stanisław Dąbek – dobrze znani wawerskiej policji, zażądali wydania posiłku, mimo że restauracja była zamknięta w święta. Antoni Bartoszek zawiadomił wawerską granatową policję. Przybyły zaś policjant, rozpoznając dobrze znanych sobie, agresywnych sprawców, poprosił o wsparcie Niemców.

Interweniował pełniący służbę policyjną patrol z batalionu budowlanego kwaterującego w sąsiedztwie. Gdy dwaj feldfeble próbowali wylegitymować bandytów, ci wyjęli broń i zaatakowali ogniem żołnierzy. Obaj Niemcy zostali śmiertelnie ranni. Jeden zmarł natychmiast, drugi po kilkudziesięciu minutach. Zabójcy zbiegli.

* * *

Wieczorem 26 grudnia 1939 r. wiadomość o wydarzeniach w Wawrze dotarła do dowódcy pułku niemieckiej policji w Warszawie, Maksa Daume. Były to bardzo dokładne informacje. Także bowiem polscy mieszkańcy Anina i Wawra chcieli, by bandyci zostali schwytani, i starali się w tym pomóc. Ale Daume, zamiast podjąć rutynowe policyjne działania, polecił spacyfikować dwa podwarszawskie osiedla – Anin i Wawer.

Około godziny 23:00 26 grudnia 1939 r. obok wawerskiej stacji kolejowej z ciężarówek wysypały się dwie kompanie policji. Niemcy szli przez Wawer i Anin, od domu do domu, i zabierali mężczyzn w wieku 15–70 lat. Zgarnęli też pasażerów oczekujących na pociąg na samej stacji Wawer. Na placu nieopodal tej stacji, na ul. II Poprzecznej, zgromadzono zatrzymanych. Stali z rękami podniesionymi do góry, na mrozie, pod lufami karabinów. Aresztowanych wzywano kolejno przed tzw. sąd doraźny, który ograniczył postępowanie do spisania ich personaliów. 114 mężczyzn skazano na śmierć. Pozostali mieli zakopać zwłoki.

O świcie 27 grudnia 1939 r. zaczęła się kaźń. Skazanych prowadzono dziesiątkami na miejsce rozstrzelania. Szli z II Poprzecznej, tunelem pod torami kolei nadwiślańskiej na stacji Wawer »

eprasa.pl c7862e56a9

» aż do ulicy, która teraz nosi nazwę 27 grudnia. Mijali restaurację Antoniego Bartoszka. Na jej drzwiach Niemcy wcześniej już powiesili właściciela.

Masowego mordu dokonano na wolnym placu między Błękitną a Spiżową, przy użyciu karabinów maszynowych. Skazani klękali obok siebie, kolejne ciała padały na wcześniej zabitych. Mimo że po każdej serii Niemcy dobijali rannych, siedmiu osobom udało się przeżyć. Jedną z nich był fryzjer, Stanisław Piegat, jeszcze w latach 60. XX w. prowadzący swój zakład niedaleko stacji kolejowej w Wawrze. Wspominał: „Ustawiono nas w szeregu, kazano zdjąć kapelusze i uklęknąć. [...] Oświetlono nas reflektorami samochodowymi. Gdy w pewnym momencie posłyszałem strzały z karabinu maszynowego i zobaczyłem, że mój sąsiad, Wieszczyk, pada naprzód, upadłem i ja twarzą na ziemię. Posłyszałem z obu stron rzężenie. [...] usłyszałem pojedyncze strzały. Zorientowałem się, że ktoś idzie i dobija strzałami rannych. [...] Tak trwało chyba ze dwie godziny" („Wawer", Bijata J.).

Zamordowano 107 bezbronnych mężczyzn: 85 mieszkańców Anina i Wawra oraz 22 przyjezdnych. Wśród zabitych byli Polacy, Żydzi, Rosjanin i dwóch obywateli USA.

Zabitych pochowano na miejscu zbrodni. Dopiero w czerwcu 1940 r. staraniem wawerskiego wójta Stanisława Krupki przeniesiono ok. 70 ciał na cmentarz ofiar wojny w pobliskim Marysinie, ciała 11 Żydów wydano Towarzystwu „Wieczność", pozostałe ciała wydano rodzinom.

* * *

26 grudnia 2017 r. ok. godz. 23:00. Wśród zebranych przy wejściu do tunelu obok stacji Wawer, po anińskiej stronie, pojawia się proboszcz anińskiej parafii z mikrofonem w ręku i wikary z głośnikiem na plecach. Ksiądz wita zebranych, dziękuje za przybycie. Jeden z organizatorów, z zawodu historyk, przypomina wydarzenia wieczoru 26 grudnia 1939 r.; łapankę przeprowadzoną w wawerskich i anińskich domach oraz późniejszą parodię procesu.

Formuje się pochód. Prawie 200 osób przechodzi tunelem, idzie na miejsce straceń. Niektóre mają w rękach polskie flagi, na początku grupa młodzieży w szalikach Legii Warszawa niesie przygotowane własnoręcznie transparenty. Pewnie nie każdemu spodoba się ich treść, ale dobrze, że te dziewczyny, że ci chłopcy tu są. Dobrze, że młodzieży jest tu większość. Uczestnicy marszu zatrzymują się przy istniejącym wciąż domu, w którym kiedyś była restauracja Antoniego Bartoszka. Starszy pan, który jako dziecko był świadkiem tamtych wydarzeń, opowiada, co zapamiętał z tego dnia. Historyk varsavianista przypomina inne jeszcze szczegóły wydarzeń. Pochód rusza dalej śladem ostatniej drogi ofiar wawerskiej zbrodni, drogę oświetlają pochodnie niesione przez kibiców, nad tłumem kołyszą się biało-czerwone flagi i transparenty.

* * *

Dokonana w grudniu 1939 r. zbrodnia wawerska była pierwszą masową zbrodnią na cywilnej, niewinnej ludności dokonaną przez niemieckiego okupanta. Stała się ważnym symbolem walki. Na murach polskich miast obok kotwicy Polski Walczącej pojawiały się napisy „Wawer pomścimy". Wawer stał się kryptonimem harcerskiego małego sabotażu. Po wojnie odpowiedzialny za kaźń płk Max Daume został skazany przez polski sąd na karę śmierci i powieszony.

STALI Z RĘKAMI PODNIESIONYMI DO GÓRY, NA MROZIE, POD LUFAMI KARABINÓW

* * *

26 grudnia 2017 r., godzina 23:40. Grupa ok. 150 mieszkańców okolicznych miejscowości, prowadzona przez proboszcza anińskiej parafii, dochodzi do miejsca zbrodni. Dziś jest tu, na ul. 27 Grudnia, pomnik i miejsce pamięci. Znów mówi świadek, mówi historyk. By wszyscy obecni dokładnie wiedzieli, co się tu wydarzyło. O północy ksiądz inicjuje modlitwę: „Ojcze Nasz", „Wieczny odpoczynek"... Płoną pochodnie, zebrani śpiewają „Mazurek Dąbrowskiego", kibice stają na baczność, w wyciągniętych rękach trzymają płonące, barwne race. W ich świetle połyskują: trzymany przez kilku młodych ludzi biało-czerwony baner z napisem „Patriotyczny Wawer" i opaski na przedramionach przedstawicieli patriotycznych organizacji.

Ksiądz proboszcz i organizatorzy dziękują za udział w marszu, ksiądz zaprasza na mszę za dusze zamordowanych – rano, za kilka godzin. Na mszy będzie burmistrz Wawra, radni. Przyjadą tu, na miejsce kaźni, samochodami, Straż Miejska poniesie wieniec. To oficjalne, samorządowe uroczystości. Ale to będzie dopiero koło południa 27 grudnia. Tymczasem dogasają pochodnie. Kończy się wydarzenie zorganizowane przez grupę społeczników i parafię. I przez grupę młodych ludzi interesujących się bardzo piłką nożną... Jest już prawie godzina po północy. Zebrani powoli się rozchodzą. Trudno jest mieszkać dłużej w Aninie lub w Wawrze i nie mieć wśród swoich znajomych kogoś, kogo bliskich dotknęła ta zbrodnia. Dlatego się tu spotykają. Dlatego za rok przyjdą tu znowu. Adam Mickiewicz powiedział przecież: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie".

* * *

Dziś pamięć o wawerskiej zbrodni spaja społeczność lokalną, podobnie jak poprzednie generacje spajała pamięć bitwy wawerskiej w powstaniu listopadowym. Dziś, zajęci tysiącami codziennych spraw, nie doceniamy tego, w jak spokojnych czasach przyszło nam żyć. Czy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, co przeżyła społeczność lokalna rankiem 27 grudnia 1939 r., co przeżywali mieszkańcy okolicznych domów, stając na placu, między Spiżową a Błękitną w Wawrze, nad ciałami pomordowanych – swoich bliskich, sąsiadów, znajomych?

Święta Bożego Narodzenia 1939 r. były w większości domów skromne. Był to przecież czas wojny. Były jednak stosunkowo spokojne – nie wiedziano jeszcze o zbrodniach popełnionych w trakcie kampanii wrześniowej na Śląsku, Kaszubach, w Poznańskim. Dopiero zbrodnia wawerska uświadomiła żyjącym wówczas w centralnej Polsce istotę tej wojny – walki już nie tylko o niepodległość, lecz o istnienie narodu. I istotę oczadzenia, które ogarnęło wówczas większość zwykłych, przeciętnych Niemców, gotowych do popełniania najgorszych zbrodni.

eprasa.pl c7862e56a9

FELIETONY

Hitler jako Breżniew

PIOTR SKWIECIŃSKI

Totalitaryzm. Tym pojęciem obejmujemy i hitlerowskie Niemcy, i bolszewicką Rosję. Przy czym powstało ono najpierw w związku z tym pierwszym państwem zjawiskiem. Drugie zostało objęte nim dopiero po pewnym czasie, a obrońcy komunizmu do dziś kruszą kopie, chcąc wykazać, że to potwarz, i że albo żadnego totalitaryzmu w ogóle nie było, albo był tylko jeden – ten nazistowski.

Nie mają racji. Albo mają ją, ale niejako odwrotnie w stosunku do tego, co sądzą.

O co mi chodzi? O to, że przeczytałem ostatnio dzienniki Josepha Goebbelsa.

A z tych dzienników wyłania się zaskakujący dla wychowanych w duchu tradycyjnej teorii totalitaryzmów obraz III Rzeszy. Nawet pod koniec wojny, gdy to zbrodnicze państwo walczy wprost o przetrwanie, a nazistowska elita – o życie, zaskakująco wiele jest sytuacji mniej więcej takich: oto Goebbels uważa (i często, dodajmy, z faktów wynika, że najzupełniej słusznie), iż jakiś hitlerowski dygnitarz, zajmujący ważne dla wysiłku wojennego stanowisko, nie daje sobie rady. Albo mu się nie chce. Albo jest po prostu za głupi. Idzie z tym do Hitlera. I słyszy: „No tak, masz rację. Ale nie możemy z tym nic zrobić, nie możemy usunąć go z funkcji. To przecież stary, zasłużony towarzysz partyjny...".

Równie często na kartach dziennika doktora G. pojawia się inny schemat. Oto powstaje plan dokonania jakiejś zmiany – w opinii ministra zbawiennej – w sferze militarnej. Zmiany taktyki czy strategii. Na co Führer – ten wierzchołek totalitarnej podobno piramidy, ta wręcz personifikacja idei totalitaryzmu – odpowiada: „Masz rację. Ale ja nic z tym nie mogę zrobić. Klika generałów mnie oszukuje. Wydam im rozkaz – a i tak wszystko pozostanie po staremu. Po cichu zbojkotują moje polecenia...".

Powtórzmy: to dzieje się wtedy, kiedy przywódcy nazistowscy walczą już o swoje życie.

I teraz: czy potrafimy sobie wyobrazić cokolwiek na kształt tego w Moskwie Stalina? Przecież to wolne żarty.

III Rzesza bynajmniej, wbrew teoretykom totalitaryzmu, nie przypominała ZSRR z czasów, w których istniała. Ale zarazem istotnie przypominała Związek Radziecki, tylko że nie ten jej współczesny. Ten z epoki Breżniewa, kiedy aparat partyjny obrósł w piórka, przestał bać się czegokolwiek i zaczął się przekształcać w oligarchię. A gdy jakiś zasłużony towarzysz już zupełnie nie dawał sobie rady, Leonid Ilicz nie zdejmował go ze stanowiska, tylko zastanawiał się, kogo młodszego i energiczniejszego dodać by mu można było na zastępcę. Żeby pociągnął robotę za szefa...

Breżniewowska Rzesza musiała przegrać z Rosją Stalina.

POLSKIM OKIEM

„Soft islam" (na razie)

RYSZARD CZARNECKI

To moja pierwsza wizyta w Bangladeszu, choć w sąsiednich Indiach byłem już wiele razy. Kraj jest bardzo biedny i jednocześnie jest jednym z najliczniejszych na świecie. Ma ok. 165 mln mieszkańców – to 30 mln więcej niż Rosja, tyle że stłoczonych na terytorium wielkości... Grecji. Wyobraźmy sobie 135 mln Rosjan mieszkających w kraju, w którym normalnie mieszka blisko 11 mln Greków...

Spotykam się z panią premier Bangladeszu Szejk Hasiną. Podobnie jak u sąsiadów (Pakistan, Indie) również to państwo hołduje tradycji rodzinnych klanów politycznych. Ojciec pani premier był założycielem państwa, które powstało w wyniku oderwania się od Pakistanu. Mudzibur Rahman został prezydentem dzięki wsparciu Hindusów i ich armii. Rządził niespełna cztery lata do skrytobójczego mordu jego i niemal całej rodziny. Zwiedzam mauzoleum poświęcone skądinąd prosowieckiemu władcy, czytam później, że za zamachem mogli stać Amerykanie chcący ograniczyć wpływy Moskwy w Azji.

Dziewięciu na dziesięciu mieszkańców Bangladeszu wyznaje islam. Katolików jest tutaj 110 tys., a muzułmanów – ok. 134 mln. Ale choć to muzułmańskie państwo, politycznie gra raczej z Indiami niż z też przecież islamskim Pakistanem. Przyrost demograficzny jest tu niebywały: w ciągu nieco ponad półwiecza liczba ludności zwiększyła się o blisko 100 mln (!). Sześciu na dziesięciu obywateli nie umie czytać ani pisać. Bangladesz kojarzy się nie tylko z ubóstwem, ale także jedną z najniższych na globie średnią długości życia (niespełna 62 lata). Kupując chińskie towary, musimy mieć świadomość, że część z nich produkowana jest właśnie w Bangladeszu. Bo w tym kraju jest jeszcze taniej niż w znanych z taniej siły roboczej komunistycznych Chinach.

Rządzą przedstawiciele „łagodnego islamu". W opozycji, na razie, są fundamentaliści, po cichu wspierani przez Pakistan. Z ministrami i liderami partii rządzącej przy obiedzie rozmawiamy o islamie. W ich konstytucji islam traktowany jest jako „religia wiodąca", jednak coraz częściej, po zamachach terrorystycznych muzułmańskich ekstremistów, pojawiają się głosy, aby sformułowanie o „wiodącej roli islamu" zlikwidować. Jednak moi gospodarze przekonują, że islam jest jak... elektryczność. Otwieram szeroko oczy i słucham wyjaśnienia: skoro jest zapis o islamie, to jego wyrzucenie można by porównać do zabrania ludziom dostępu do elektryczności, do której się przyzwyczaili. Efektowne, ale przecież w tym kraju wiele rodzin nie ma dostępu do prądu...

eprasa.pl c7862e56a9

IMIĘ NADAJE SIĘ RAZ

Łucja Otręba-Janosz, w KL Auschwitz od września 1943 r. do sierpnia 1944 r.

SYLWIA WINNIK

ŚCIĘTE PUKLE LOKÓW I GRUBE WARKOCZE, A W KONSEKWENCJI NIECHLUJNIE, SCHODKOWO OGOLONE GŁOWY. TO JEDNAK DOPIERO POCZĄTEK DROGI DO OGOŁOCENIA KOBIETY ZE WSZYSTKIEGO W AUSCHWITZ-BIRKENAU

Odbieranie to już nie tylko podpalenie domu z całą jego zawartością, rozdzielenie z rodziną, morderstwa czy grabież majątku. To brutalne i bezwstydne odarcie z godności. Mężczyzna, który w obozie pełni funkcję fryzjera, w pośpiechu, często raniąc, goli również intymne miejsca kobiet, a one stojąc w rozkroku, odwracają głowy i ronią łzy. Jest to pierwsze zderzenie z obozową rzeczywistością.

Później idą Lagerstrasse piątkami, nagie, płoną ze wstydu, uciekają wzrokiem przed mężczyznami. Ale ci wcale nie patrzą. Oni wiedzą, że wstydzić się powinni esesmani: za swoją ideologię, za zbrodnie, jakich się dopuszczają, a nie bezbronne, niewinne, skazane najczęściej na śmierć, kobiety. Kobiety samotne, okaleczone na ciele i duszy. Już nie ludzie, ale numery.

Relacje zebrane w książce „Dziewczęta z Auschwitz" pokazują wiele kobiecego piękna, które stworzyło przeciwwagę do brutalnych opisów śmierci, chorób i brudu. I zachowane człowieczeństwo, które bardzo łatwo, w takim miejscu jak niemiecki obóz zagłady Auschwitz-Birkenau, można było zatracić. To nie książki ani filmy dokumentalne, tylko spotkanie spowodowało, że zdałam sobie sprawę z ogromu tragedii. Stojąca przede mną kobieta nie była wspomnieniem, fotografią z opisem, lecz żywym świadkiem prawdy, której przeinaczać nie wolno. Zdałam sobie wówczas sprawę, że oprócz zapamiętania i propagowania faktów dotyczących II wojny światowej i tematyki obozowej trzeba podjąć próbę zrozumienia, co czuły więźniarki, gdy patrzyły na stosy trupów piętrzące się przed barakami, na wywożonych do komór gazowych i pieców kremacyjnych ludzi, na wrzucane do ognia żywe jeszcze noworodki. Jednak po ponad trzech latach pisania reportażu „Dziewczęta z Auschwitz" wiem, że nawet w najmniejszym stopniu tego nie zrozumiemy.

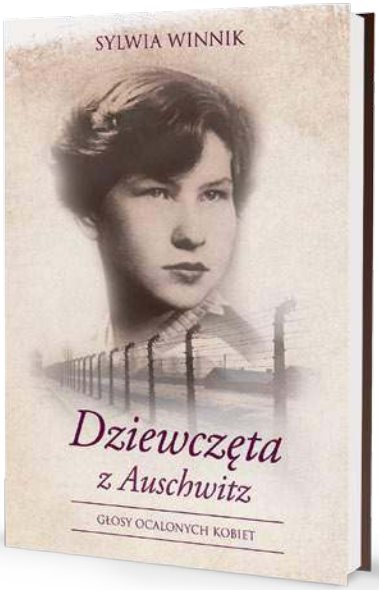

Czerwone miski

Jedną z moich rozmówczyń jest Sabina Nawara. – Czasami mam wrażenie, że choćbym zapomniała o całym Bożym świecie, obozowa rzeczywistość nie opuści mojej głowy – mówi do mnie, kiedy siadamy do stołu. Ma zaraz opowiedzieć o pracy ponad siły, głodowych porcjach jedzenia, o beznadziei, jaką czuło się każdego dnia pobytu w obozie, ale zanim to nastąpi, snuje opowieść o czerwonych miskach. Kto by pomyślał, że to właśnie one staną się pierwszym elementem układanki, która pozwoli mi zastanowić się nad zachowaniem człowieczeństwa przez więźniów w obozie.

Metalowe czerwone miski były jednym z fundamentów „dających szansę na przeżycie". Do nich wlewano porcję lury obozowej, tzn. zupy. Jeśli miska zostałaby

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORKI

eprasa.pl c7862e56a9

zgubiona lub inna więźniarka ukradłaby ją drugiej kobiecie, ta nie mogłaby nic zjeść. I nieważne, że porcja obiadowa to porcja głodowa. Stanowiła ona bowiem jedyny ciepły posiłek w ciągu dnia, więc zjedzenie lury było tożsame z przeżyciem. Miski jednak rozkradano, nie bacząc na to, że pomiędzy posiłkami ich chwilowe właścicielki załatwiały do niej swoje potrzeby fizjologiczne. Kradzież w obozie była sytuacją naturalną. Czy można się temu dziwić? Były więzień Auschwitz, ceniony lekarz psychiatra Wiktor E. Frankl (numer 119104) napisał, że „nienormalna reakcja na nienormalną sytuację jest normą". Obóz sam w sobie, z racji tego, jakim stworzyli go naziści, stanowił zdecydowanie „nienormalne", odbiegające od przyjętej przez społeczeństwo normy, miejsce. Idąc zatem dalej, czy kradzież miski była czymś gorszącym, czy normalną reakcją w ekstremalnej rzeczywistości? Nie stanowi ona jednak o całej rzeczywistości. Sabina Nawara niejednokrotnie wraca do wzajemnej pomocy, jaką obdarowywały się kobiety w obozie, a która pomagała uchronić się przed śmiercią. Wsparcie, wspólne rozmowy, dzielenie się pozyskaną (potajemnie lub skradzioną) dodatkową porcją jedzenia czy lekami to główne działania na rzecz przetrwania w nieludzkich warunkach obozowych.

Dzieci opiekują się dziećmi

Gdy wchodzę do mieszkania Barbary Donieckiej, dostrzegam piękne rodzinne zdjęcia. Nie chce się wierzyć, że za jej uśmiechem i piękną rodziną kryje się tragedia, o której zaraz mam usłyszeć.

Ciemny barak z małymi nielicznymi okienkami, w powietrzu unosi się zapach uryny i potu. Szare, surowo i groźnie wyglądające, szczególnie dla dziecka, ściany potęgują mroczne obrazy w wyobraźni. Szara ściana dziecięcego baraku nagle zmienia się w barwną ilustrację. A na niej dzieci idące do szkoły. Mają zabawki, a na ich twarzach pojawia się nawet blady uśmiech. Jakże absurdalnie wyglądają te malowidła na ścianie jednego z baraków – przedsionka śmierci. „Zastanawiałam się z koleżankami, po co nam malują takie rzeczy? Ani do szkoły nie możemy chodzić, ani zabawek nie mamy i wszyscy doskonale wiedzą, że czeka nas stracenie. Wcześniej czy później" – takie słowa Barbary Donieckiej zapiszę w swojej książce.

W obozie dla dzieci nie było żadnej taryfy ulgowej. Te same głodowe porcje jedzenia, te same zmartwienia i tęsknoty. Śmierć. Mała Basia, choć samotna i brutalnie wydarta z ramion rodziców, którzy tak jak ona znaleźli się w obozie, postanawia zaopiekować się małą Helenką, towarzyszką z jednej koi w baraku dzieci 16A. Trzy-, może czteroletnią dziewczynką rozpaczającą z tęsknoty. Dziecko troskliwie opiekujące się drugim dzieckiem. Czy to nie przerażające, ale i wzruszające jednocześnie? Nie kobieca, lecz dziecięca jeszcze – odpowiedzialność, empatia.

Co cię nie zabije, to wzmocni

Historia Wiesławy Gołąbek, która do obozu trafiła jako nastolatka, udowadnia, nie pierwszy i nie ostatni raz, że kobiety są silne, wytrzymałe i znieść mogą tyle samo, jeśli nie więcej, niż mężczyźni. Nieludzki żart gestapowca, skierowany do matki mojej rozmówczyni, o tym, że młodą Wiesię wywieziono z więzienia do domu publicznego, doprowadził kobietę do samobójstwa. Nie zniosła myśli, że taki los spotkał jej jedyną »

50/1118/F
REKLAMA
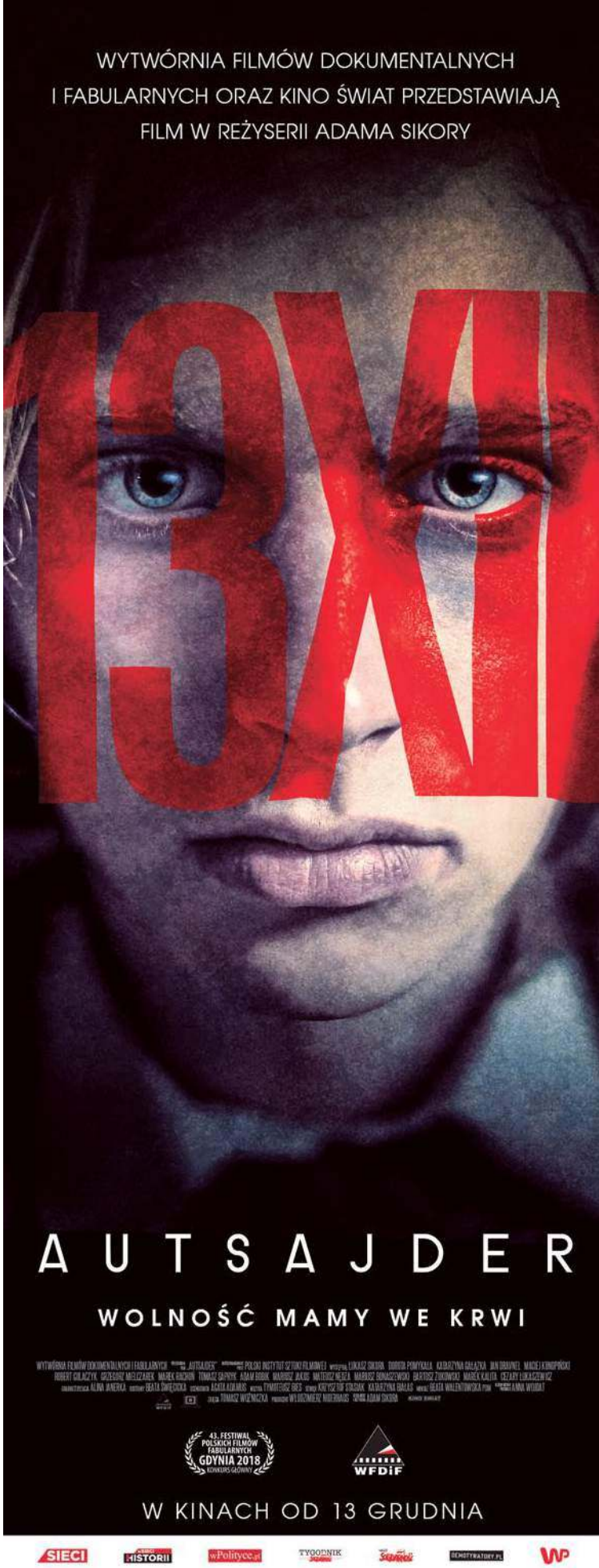

eprasa.pl c7362e56a9

>> córkę. Pani Wiesława odchorowuje tę stratę, ale ów moment jest dla niej przełomowy. Jej matka nie mogła zginąć na darmo. Odtąd dziewczyna jest silniejsza psychicznie niż większość innych więźniów. I chociaż rzeczywistość obozowa ją zaskakuje oraz obezwładnia, jak sama przyznaje po ponad 70 latach, postanawia przetrwać. I udaje jej się to. Do końca życia będzie jednak pamiętać te obrazy: – Gdy wyszłam z pociągu, od razu zobaczyłam dymiące krematoria i poczułam straszny smród palonych ciał. Dookoła pustkowie, ani żywej duszy, żadnej rośliny czy drzewa. Spojrzałam w niebo. Nawet ptaki omijały to miejsce. W oczy rzucały się tylko dymiące kominy i stosy trupów poukładanych jeden na drugim. Wychudzone ciała powyginane były we wszystkie strony, jakby ktoś po prostu nimi rzucił. Wyglądali jak stosy gałęzi... – opowiada.

Nie wolno zabijać dzieci!

Trudno wyobrazić sobie kobietę spodziewającą się dziecka w takim miejscu jak Auschwitz-Birkenau. Taki los spotkał Leokadię Rowińską. Ciąża jednak stała się największą motywacją, by przeżyć. Rozwiązanie nastąpiło podczas Marszu Śmierci, gdy więźniowie prowadzeni przez esesmanów, z obozu kierowali się w stronę Wodzisławia Śląskiego. Czy jednak niedożywiona, zastraszona i bita kobieta miała szansę, by urodzić zdrowe dziecko? Ireneusz, jej syn, stał się najmłodszą ofiarą Marszu Śmierci, jedną z najmłodszych ofiar II wojny światowej. A takich było wiele... Żył tylko dziewięć dni. Pochowała go we wsi Poręba w pudełku po makaronie. Tu warto przywołać dokonania Stanisławy Leszczyńskiej, dyplomowanej położnej, pełniącej również tę funkcję w obozie. Wypowiadając do doktora Mengele słowa: „Nie! Nigdy, nie wolno zabijać dzieci", ryzykowała życiem, ale ta odwaga pozwoliła jej przeciwstawić się Aniołowi Śmierci. Odebrała w obozie blisko trzy tysiące porodów, ratując życie setkom dzieci. Przyjęła na świat m.in. Zofię Wareluk, moją kolejną rozmówczynię.

Wszystkie piękne

Kobiet, z którymi rozmawiałam, byłych więźniarek obozu Auschwitz, jest wiele. Urszula, przetransportowana w wagonach bydlęcych do obozu z powstania warszawskiego. Janina, która znalazła się w złym miejscu o złej godzinie i przez to została schwytana przez gestapo. Seweryna, której „pamiątką" po obozie, jak sama mówi, jest niepełnosprawna córka. Ma świadomość, że głód i ziąb, a także substancja wstrzymująca menstruację przez cały pobyt w obozie przyczyniły się do choroby jej córki. Irena kochająca książki i poezję, których wspominanie pomogło przetrwać ciężką próbę uwięzienia w Auschwitz-Birkenau. Walentyna, nieustraszona kobieta, która pomogła w schwytaniu i doprowadzeniu przed sąd jednej z najokrutniejszych esesmanek – Elsy Margot Drechsel. I Alina, która do dziś podczas licznych spotkań z młodzieżą w polskich i niemieckich szkołach opowiada o obozie, by uczulić dzisiejsze społeczeństwo na demony wojny.

Obrzydliwości niemieckich nazistów, którzy stworzyli obóz zagłady w Auschwitz-Birkenau oraz pozostałe obozy pracy, nie przesłoni nic, niezależnie od tego, ile czasu upłynie od tamtych wydarzeń. Jednak nie po to, by szerzyć nienawiść, są spisywane wspomnienia byłych więźniów, lecz by pamiętać i wyciągać wnioski.

HISTORIA WIESŁAWY GOŁĄBEK, KTÓRA DO OBOZU TRAFIŁA JAKO NASTOLATKA, UDOWADNIA, NIE PIERWSZY I NIE OSTATNI RAZ, ŻE KOBIETY SĄ SILNE, WYTRZYMAŁE I ZNIEŚĆ MOGĄ TYLE SAMO, JEŚLI NIE WIĘCEJ, NIŻ MĘŻCZYŹNI

Urszula Koperska na fotografii ma 8 lat. Tuż przed wywózką do obozu, Warszawa

Łatwo też spostrzec, że nie sposób umniejszyć siły i odwagi płci pięknej, a z pewnością nie można odmówić jej wytrzymałości, której prędzej zabraknie mężczyźnie, niż, co wydawać się może niewyobrażalne, kobiecie spodziewającej się dziecka. Każdego dnia, nie tylko podczas II wojny światowej, powstania warszawskiego, zesłania na Sybir, pobytu w obozie zagłady, aż po współczesne czasy, kobiety ukazują bez trudu swoje piękno i siłę.

Właśnie to zderzenie kobiecego piękna, i, nawet nie kobiecej, lecz ludzkiej kruchości z odrażającą i realną rzeczywistością obozową, uwydatniło istotne predyspozycje kobiet do walki o życie. O ludzkie istnienie nie tylko siebie, ale solidarnie współtowarzyszy przeżywanej tragedii.

Jeden z czytelników reportażu „Dziewczęta z Auschwitz" powiedział, że imię nadaje się człowiekowi raz. A reportaż ten jest próbą przywrócenia byłym więźniarkom obozu imion, które w brutalny sposób chcieli odebrać funkcjonariusze III Rzeszy. Jak widać, nie do końca im się to udało. Zakorzeniony w ludziach patriotyzm, poczucie przynależności do zagrożonej wówczas polskiej wspólnoty były silniejsze.

Bohaterki książki są symbolem tych wszystkich kobiet, które nie w sukienkach, lecz w podartych, zawszonych pasiakach, do końca zachowały człowieczeństwo i nie wyparły się tego, kim są. Dziewczęta – choć poranione, to nieustannie odważne i piękne.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORKI

eprasa.pl c7862e56a9

NIEPOKORNY POSEŁ, JEDYNY OPOZYCJONISTA W SEJMACH PRL

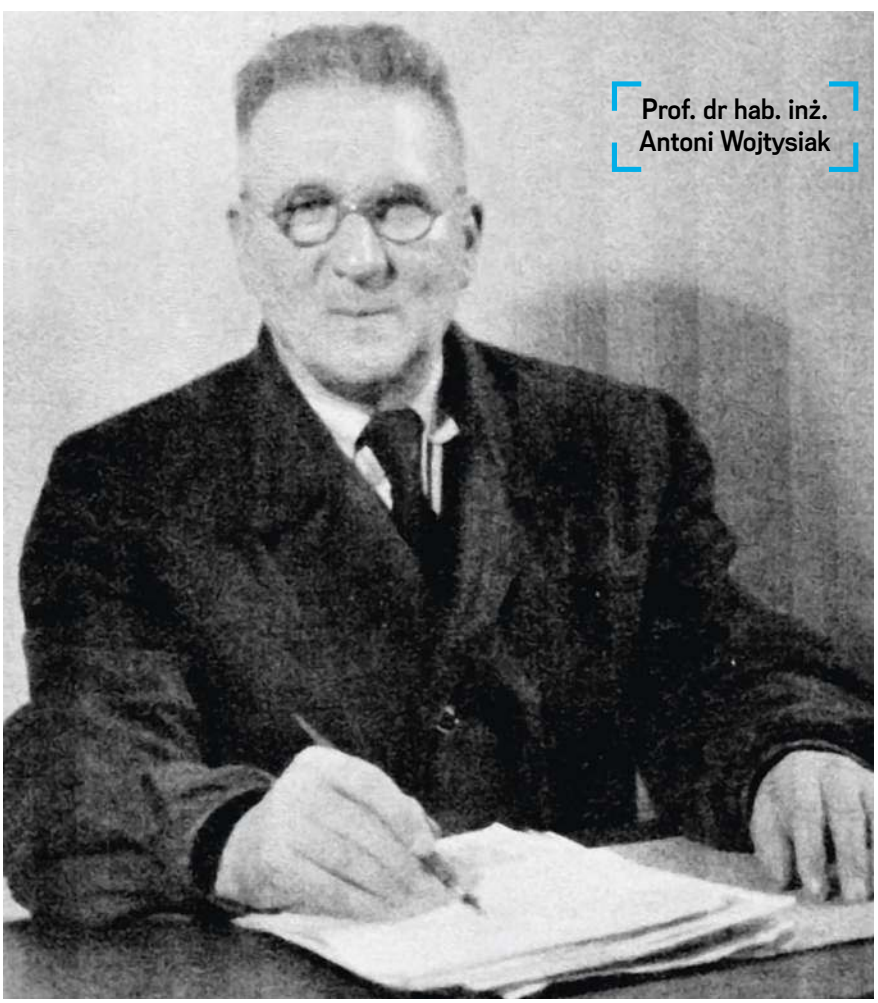

Prof. dr hab. inż. Antoni Wojtysiak

FOT. WŁ. PROF. W. LESZCZYŃSKI

PROFESOR ANTONI WOJTYSIAK BYŁ UNIKATOWYM W CZASACH BIERUTA I GOMUŁKI PRZYKŁADEM INTELEKTUALISTY, KTÓRY ZOSTAŁ POSŁEM, A ZACHOWAŁ ODWAGĘ PUBLICZNEGO KRYTYKOWANIA MIZERII WŁADZY

WACŁAW LESZCZYŃSKI

Antoni Wojtysiak urodził się 13 sierpnia 1896 r. w Radomiu. Był synem rolnika dorabiającego jako robotnik. Świadectwo dojrzałości uzyskał w Szkole Wróblewskiego w Warszawie w 1915 r. i rozpoczął studia rolnicze na kursach przemysłowo-rolniczych Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. W 1918 r. ochotniczo wstąpił do wojska i uczestniczył w wojnie z bolszewikami. W 1920 r. podjął studia na Wydziale Rolniczym SGGW, uzyskując w 1925 r. dyplom inżyniera rolnika.

W latach 1923–1926 był asystentem w Zakładzie Chemii Rolniczej SGGW, a równocześnie od 1922 r., kierownikiem wydziału w Centralnym Związku Kółek Rolniczych. W latach 1926–1927 był zastępcą dyrektora Ogniska Kultury Rolniczej i Zakładu Doświadczalnego w Poświętnem, a w latach 1927–1928 taksatorem-gleboznawcą w Państwowym Banku Rolnym w Warszawie. W 1928 r. powrócił na SGGW na stanowisko adiunkta w Zakładzie Rolnictwa, kierowanym przez prof. Witolda Staniszkisa, promotora jego pracy doktorskiej (1930 r.), pracując nadal w Centralnym Związku Kółek Rolniczych jako kierownik wydziału.

W 1933 r. odbył kilkumiesięczne studia we Francji, w Czechosłowacji i Niemczech. W 1938 r. habilitował się na SGGW, będąc od 1933 r. dyrektorem Centralnego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych. Z tej racji zapoznawał się z organizacją rolnictwa i szkolnictwem rolniczym »

eprasa.pl c7862e56a9

» w Danii, Szwecji, Finlandii, Belgii, Holandii, we Włoszech, w Jugosławii i Bułgarii. W latach 1933–1939 był redaktorem naczelnym miesięcznika „Agronomia Społeczna i Szkolnictwo Rolnicze". Upowszechniał w nim nowoczesne koncepcje organizacji rolnictwa oraz doświadczalnictwa i szkolnictwa rolniczego, oparte na znajomości wsi polskiej i rolnictwa europejskiego. Za zły stan rolnictwa w Polsce oskarżał ziemian, kler, Żydów i komunistów...

Podczas okupacji Wojtysiak pracował w szkolnictwie zawodowym i uczestniczył w tajnym nauczaniu SGGW. W czerwcu 1945 r. odtworzył Zakład Rolnictwa na Wydziale Rolniczym SGGW i objął jego kierownictwo. W styczniu 1946 r. został profesorem nadzwyczajnym. W 1950 r. z powodu krytyki wprowadzanych do rolnictwa błędnych teorii Miczurina-Łysenki usunięto go z SGGW z pisemną akceptacją premiera Józefa Cyrankiewicza oraz Bolesława Bieruta i przeniesiono służbowo do Wrocławia. Tu zorganizował na Wydziale Rolniczym Katedrę Szczegółowej Uprawy Roślin, którą kierował do przejścia na emeryturę w 1966 r. Spał w gabinecie swej katedry (woda bieżąca była w odległym laboratorium, a ustęp ogólnodostępny na korytarzu), wyjeżdżając co tydzień do żony i mieszkania w Warszawie.

„Odwilż" we Wrocławiu

Prof. Antoni Wojtysiak postulował dostosowanie roślin uprawnych i ich odmian do warunków glebowo-klimatycznych różnych rejonów kraju. W oparciu o rozwój fazowy roślin opracował dla PZU metodę oceny szkód gradowych. Był bardzo dobrym i wymagającym dydaktykiem. Od studentów żądał wiedzy nie tylko zawodowej, ale i ogólnej, np. znajomości miejscowych zabytków („Wojtysiak pyta z zamków śląskich"). Mówił dobitnie, bardzo dobrym językiem, ze świetną dykcją. Odważnie głosił na wykładach swoje opinie dotyczące organizacji rolnictwa, na ogół sprzeczne z obowiązującymi poglądami i polityką państwa. Dzięki temu miał bardzo złą opinię w PZPR i wielki autorytet wśród studentów. W 1956 r. na fali odwilży prof. Antoni Wojtysiak został wybrany na dziekana Wydziału Rolniczego Wyższej Szkoły Rolniczej (obecnie Uniwersytet Przyrodniczy) we Wrocławiu (był nim do 1960 r.), a w 1957 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego.

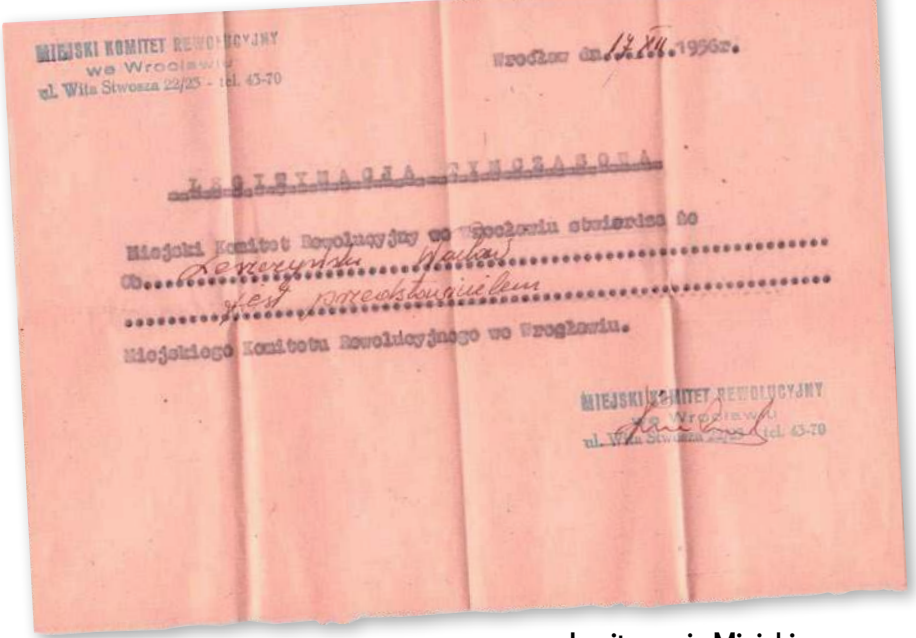
MIEJSKI KOMITET REWOLUCYJNY
we Wrocławiu
ul. Wita Stwosza 22/23 - tel. 43-70

Wrocław dn. 12.XII.1956r.

LEGITYMACJA

Miejski Komitet Rewolucyjny we Wrocławiu zwraca się do
Ob. Rewerynda Walery
jest członkiem
Miejskiego Komitetu Rewolucyjnego we Wrocławiu.

MIEJSKI KOMITET REWOLUCYJNY
we Wrocławiu
ul. Wita Stwosza 22/23 - tel. 43-70

Legitymacja Miejskiego Komitetu Rewolucyjnego autora

W październiku 1956 r., jako że VIII Plenum KC PZPR (19–22 października 1956) i jego wyniki nie były uzgodnione z ZSRR, na Okęciu wylądował samolot z Chruszczowem, a z Legnicy szły na Warszawę sowieckie dywizje pancerne, w końcu jednak cofnięte. We Wrocławiu ukazały się nowe tygodniki: „Poglądy" i „Nowe Sygnały", w których publikowano artykuły dotąd skreślane przez cenzurę. Wynikało to z dezorientacji kadr partyjnych z powodu walk frakcyjnych w PZPR.

22 października odbyła się we Wrocławiu antyrządowa manifestacja studentów, pod koniec rozpędzona przez MO. Następnego dnia powstały Komitety Rewolucyjne na uczelniach, a także w zakładach przemysłowych. Po przemówieniu Gomułki 24 października, gdy potępił on „błędy i wypaczenia", ludzie nabrali do niego zaufania i wierzyli, że przeprowadzi demokratyzację systemu. Dowodem na to miał być demontaż na Poczcie Głównej instalacji zagłuszającej zachodnie radiostacje. Mimo to panowała atmosfera strachu: przed interwencją sowiecką (jaka wkrótce potem miała miejsce na Węgrzech), przed UB i groźbą premiera Cyrankiewicza po poznańskim Czerwcu 1956, o „obcięciu ręki" podniesionej na partię. W tłumie każdy był odważny, ale występujących indywidualnie publicznie straszono zsyłką na Sybir. 11 listopada komitety wszystkich uczelni połączyły się w Rewolucyjny Komitet Koordynacyjny Środowiska Studenckiego m. Wrocławia (przewodniczący Józef Cyganek, II r. chemii P.Wr.). 15 listopada na naradzie rewolucyjnych komitetów studenckich i robotniczych uzgodniono, że studenci będą pomagać robotnikom w ich sprawach, w tym w usuwaniu niekompetentnych partyjnych dyrektorów.

Komitety Rewolucyjne

8 listopada po wykładzie prof. Wojtysiaka padł wniosek o wysunięcie jego kandydatury na posła. Pomysłodawcę (autora artykułu) zobowiązano do załatwienia sprawy. Kandydatury, ta i zgłoszonego przez studentów Wyższej Szkoły Ekonomicznej (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) prof. Wincentego Stysia, zostały 27 listopada przyjęte przez Rewolucyjny Komitet Koordynacyjny. Na podstawie udostępnionych tajnych akt personalnych pisano ulotki o kandydatach i ich zasługach.

Na codzienne wieczorne posiedzenia Komitetu Koordynacyjnego przychodzili przedstawiciele zakładów pracy z Komitetu Rewolucyjnego Robotników (powstałego z połączenia komitetów rewolucyjnych zakładów przemysłowych) i z Komitetu Miejskiego PZPR – I sekretarz Władysław Bednarek i sekretarz ds. propagandy Marian Kita. Bywał też komendant Komendy Miejskiej MO mjr Romuald Topiłko, który wyjaśnił, że uczestników pochodu 22 października pałowała nie jego miejska, ale wojewódzka milicja.

3 grudnia 1956 r. nastąpiło połączenie Rewolucyjnego Komitetu Koordynacyjnego Środowiska Studenckiego z Komitetem Rewolucyjnym Robotników we wspólny Miejski Komitet Rewolucyjny we Wrocławiu (jedyny taki w Polsce!). Jego przewodniczącym został Józef Żerebczuk, b. przewodniczący KRR i KR PAFAWAG-u, a zastępcą Józef Cyganek. Tego dnia Miejski Komitet Rewolucyjny na walnym zebraniu zatwierdził kandydatury na posłów: prof. Antoniego Woj-

FOT. WŁ. PROF. W. LESZCZYŃSKI (2X)

eprasa.pl c7862e56a9

tysiaka i prof. Wincentego Stysia oraz mjr. Romualda Topiłkę. Ten, podobnie jak prof. Wojtysiak, jeździł z autorem artykułu na spotkania wyborcze w zakładach pracy, ale pod naciskiem władz partyjnych 14 grudnia zrezygnował z kandydowania.

Demokratycznie wybrani kandydaci

Komitety Rewolucyjne formalnie nie mogły zgłaszać kandydatów. Trzeba było uzyskać poparcie jakiejś instytucji, aby Komisja Porozumiewawcza Stronnictw i Organizacji Społecznych wstawiła ich na listę. Wystarano się więc o zgłoszenie tych kandydatur przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Związek Zawodowy Pracowników Rolnych i Leśnych, Wojewódzki Zarząd PGR, Oddział PZU, instancje ZNP (o czym informowała nauczycieli nielegalna ulotka) i in. 16 listopada okazało się, że prof. Wojtysiak nie został umieszczony na liście kandydatów. Na WSR odbyła się w związku z tym demonstracja, na której byli wystraszeni nią przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Następnego dnia autor artykułu został wezwany do Komitetu Wojewódzkiego, gdzie sekretarz Stanisław Walczak (później minister sprawiedliwości) przedstawił propozycję umieszczenia prof. Wojtysiaka w okręgu wyborczym Legnica, na trzecim „mandatowym" miejscu (nie wiedzieliśmy, co to znaczy). Trzeba było zadecydować natychmiast. We Wrocławiu były lepsze warunki do agitacji, ale PZPR miało władzę... Propozycję więc przyjęto i 18 grudnia trzeba było przekonać na sesji Miejską Radę Narodową w Legnicy do „przywiezionej w teczce" kandydatury, co się udało. Studenci rolnictwa, jeżdżąc w teren, prowadzili intensywną kampanię wyborczą, m.in. kolportując nielegalnie wydrukowane w tysiącach egzemplarzy ulotki, w których podkreślano bezpartyjność kandydata i stosowanie wobec niego represji. Na spotkania z wyborcami jeździł prof. Wojtysiak, z autorem artykułu, a czasem z innymi studentami. Na jednym ze spotkań źle się wyraził o PZPR, z czego autor artykułu musiał się tłumaczyć (14 stycznia 1957 r.) przed sekretarzem Stanisławem Walczakiem i ministrem Henrykiem Golańskim. Równocześnie

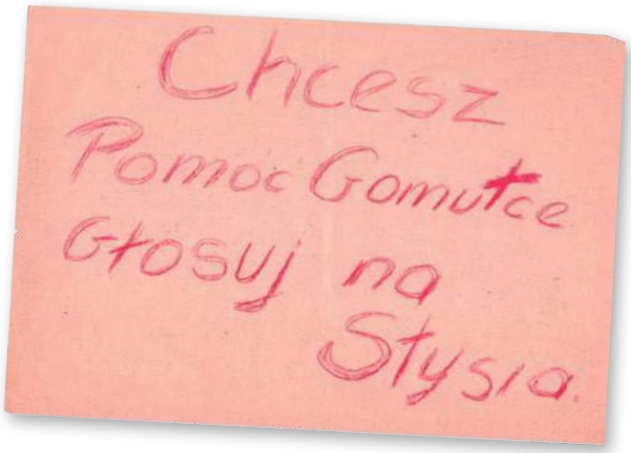

Ręcznie pisana ulotka wyborcza z 1957 r.

we Wrocławiu trwała walka na plakaty i ulotki o wybór prof. Stysia, którego umieszczono na 8. miejscu, podczas gdy przy nakazanym przez Gomułkę 9 stycznia 1957 r. „głosowaniu bez skreśleń", do Sejmu wchodziło tylko sześciu kandydatów (dziś takie głosy byłyby nieważne). Prof. Wojtysiak figurował jako trzeci na liście, z której trzech pierwszych kandydatów zostawało posłami.

Zgoda władz na prof. Wojtysiaka, a nie na prof. Stysia, poza staraniem i działaniami studentów, była wynikiem złej ich oceny przez lokalne instancje PZPR. Partia i władze we Wrocławiu obawiały się studentów, którzy – zwłaszcza po utworzeniu Miejskiego Komitetu Rewolucyjnego – stanowili realną siłę. Studenta w białej akademickiej czapce (rogatywce) przyjmowały bez zapowiadania najwyższe władze regionu. Partia, nie chcąc narazić się studentom, musiała zaakceptować ich kandydata na posła. Prof. Styś znany był we Wrocławiu, miał nawet zakaz wykładania. Prof. Wojtysiak przyjechał z Warszawy, był nieznany. Uważano, że on, rolnik, będzie mniej szkodliwy dla władzy od prof. Stysia, ekonomisty jeszcze ze Lwowa. Gdyby znali charakter i wcześniejszą działalność prof. Wojtysiaka, zmieniliby zdanie. On prowadził tajne nauczanie w czasie okupacji, on publicznie krytykował obowiązujące w PRL „zdobycze nauki radzieckiej".

Poseł opozycyjny

20 stycznia 1957 r. w wyniku głosowania „bez skreśleń" prof. Styś uzyskał 18 proc. głosów i nie wszedł do Sejmu, a prof. Wojtysiak z 91 proc. głosów został posłem Sejmu PRL, kadencji 1957–1961. Prof. Wojtysiak był jedynym posłem opozycjonistą w Sejmach PRL. Już na I posiedzeniu Sejmu, 20 lutego 1957 r., jako jedyny głosował przeciw kandydaturze Józefa Cyrankiewicza na premiera. Tydzień później, na II posiedzeniu, uzasadnił to w ostrym przemówieniu, mówiąc, że to Cyrankiewicz jest winny „błędów i wypaczeń" minionego okresu. W kolejnych mowach czynił PZPR i rząd odpowiedzialne za zły stan gospodarczy Polski, zwłaszcza rolnictwa i administracji państwowej, przy jej niskim poziomie intelektualnym, oraz za nieumiejętność zapobiegania skutkom anomalii pogodowych. Proponował rozwiązania ustawowe dotyczące organizacji rolnictwa i szkolnictwa rolniczego. Postulował upowszechnianie oświaty rolniczej wśród młodzieży wiejskiej. W sumie wygłosił 15 mów i 12 razy głosował przeciw wnoszonym ustawom. Według jego koncepcji, ale nie na jego propozycję, na przełomie lat 50. i 60. XX w. powstały dwuzimowe Szkoły Przysposobienia Rolniczego, których ukończenie było warunkiem objęcia gospodarstwa rolnego. Pod koniec kadencji oświadczył, że Sejm oderwał się od społeczeństwa i zawiódł oczekiwania Polaków, nie dokonując niezbędnych zmian kadrowych władz i nie podnosząc poziomu oświaty, zwłaszcza na wsi.

Oczywiście prof. Wojtysiak więcej do Sejmu nie wszedł. Ale gdyby nie inicjatywa studentów w 1956 r., toby i tak nigdy posłem nie był. Bezpartyjny, o złej opinii w PZPR, a i na uczelni nielubiany. Był człowiekiem trudnym, apodyktycznym, ale konsekwentnym, uczciwym, i był patriotą. Miał żal do posłów, m.in. ze „Znaku", że przy uchwalaniu ustaw mówili, iż są np. sprzeczne z konstytucją, ale za nimi głosowali, a nie jak on, przeciw. Był ateistą, ale uważał, że religia powinna być w szkołach i bardzo szanował prym. Wyszyńskiego za jego niezłomność.

Stefan Kisielewski (też poseł z Wrocławia) nazwał prof. Wojtysiaka „Rejtanem" i „bardzo odważnym, przyzwoitym facetem". Gdy Profesor zmarł 9 grudnia 1978 r., jedyną informacją prasową była wzmianka o nim w „Tygodniku Powszechnym", w felietonie Kisiela, w wyniku listu autora artykułu do niego.

eprasa.pl c7862e56a9

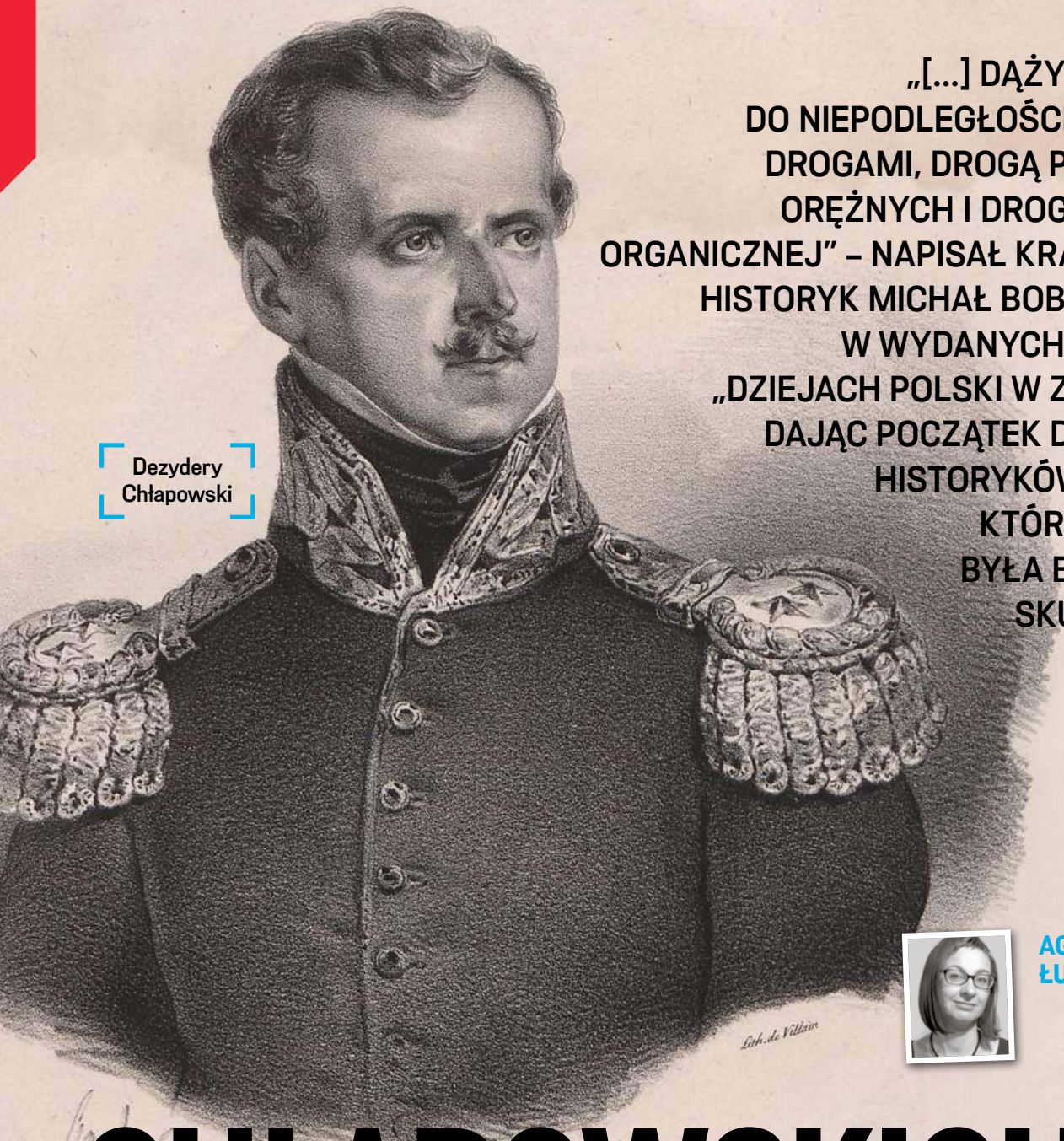

Dezydery Chłapowski

„[...] DĄŻYŁ NARÓD DO NIEPODLEGŁOŚCI DWOMA DROGAMI, DROGĄ POWSTAŃ ORĘŻNYCH I DROGĄ PRACY ORGANICZNEJ" – NAPISAŁ KRAKOWSKI HISTORYK MICHAŁ BOBRZYŃSKI W WYDANYCH W 1879 r. „DZIEJACH POLSKI W ZARYSIE", DAJĄC POCZĄTEK DYSKUSJI HISTORYKÓW O TYM, KTÓRA DROGA BYŁA BARDZIEJ SKUTECZNA

AGNIESZKA ŁUCZAK

CHŁAPOWSKICH SPOSÓB NA NIEPODLEGŁOŚĆ

Kiedy przyjrzymy się rodzinie Chłapowskich, którzy w XIX w. mieli majątki w Wielkopolsce, możemy dostrzec cały wachlarz podejmowanych przez nich działań.

Dziewięć sposobów

Pasują one do zaproponowanego przez Stanisława Kieniewicza katalogu ośmiu dróg prowadzących do niepodległości. Były to m. in. opozycja legalna polegająca na obronie praw Polaków, które im zostały zagwarantowane w konstytucjach i traktatach międzynarodowych; orężna walka legionów uformowanych na emigracji, oraz powstania zbrojne w kraju – klasyczna forma ubiegania się o nie-

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl c7862e56a9

podległość w naszej tradycji narodowej; potrzeba realizacji przemian społecznych (a nawet rewolucja społeczna). Kolejna droga według Kieniewicza to praca organiczna skupiająca wszelkie formy aktywności niepolitycznej, indywidualnej lub zbiorowej, o ile można zaliczyć je, z tego czy innego tytułu, do pożytecznych dla kraju, tj. ulepszanie rolnictwa, zakładanie przedsiębiorstw, banków, spółek akcyjnych, kółek rolniczych, zrzeszeń spółdzielczych, oświatę dzieci i dorosłych, legalną, półlegalną i nielegalną, zakładanie organizacji naukowych i kulturalnych. Szczególnie ważne w pracy organicznej było krzewienie świadomości narodowej w szerokich kręgach społeczeństwa, czyli pomnażanie liczby patriotów. Do tej wyliczanki dodałabym jeszcze wspieranie Kościoła katolickiego i jego misji ewangelizacyjnej oraz dbałość o rozwój moralny wszystkich warstw społecznych. Trzeba sobie uświadomić, że żadna z wymienionych dróg nie gwarantowała dojścia do celu. Bywały okresy, kiedy rewolucje i powstania naprawdę nie dawały szans – i wówczas program pokojowego działania zyskiwał większą liczbę zwolenników.

Żołnierz, oficer, generał

Biografia generała Dezyderego Chłapowskiego (1788–1879), właściciela majątku w Turwi w powiecie kościańskim, jest doskonałym przykładem, jak skuteczne mogło być umiejętne dostosowanie metod walki do okoliczności zewnętrznych. Generał uważał, że należy stać z bronią u nogi i czekać na odpowiedni rozwój sytuacji międzynarodowej. W międzyczasie zamierzał rozwijać gospodarkę, aby w razie dogodnej chwili posiadać odpowiednie zaplecze do wystąpienia zbrojnego. Dzięki telewizyjnemu serialowi „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy", popularnemu w latach 80. XX wieku, a niedawno powtórzonemu przez telewizję, gen. Dezydery Chłapowski w kreacji stworzonej przez Krzysztofa Kolbergera stał się symbolem prekursora pracy organicznej. Jest to jednak trochę niesprawiedliwe, gdyż trzeba przypomnieć, że gdy nadchodził moment walki zbrojnej, generał stawał na wezwanie do kolejnych powstań, aż do okresu późnej starości.

Chłapowski był z wykształcenia zawodowym oficerem, który od 1806 r. brał udział w kampanii napoleońskiej. Uzdolniony, szybko awansował, był adiutantem gen. Henryka Dąbrowskiego – dowódcy Legionów Polskich w Włoszech, następnie oficerem ordynansowym Napoleona I. Uczestniczył w wyprawie na Austrię, a w 1812 r. w kampanii na Rosję. Maszerujący na wschód pułk szwoleżerów został przyjęty w pałacu w Turwi przez ojca Dezyderego – Józefa. Szczegóły tego przyjęcia znamy dzięki wspomnieniom Adama Turno, a przeszło ono do historii jako opis uczty w Soplicowie „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza.

BIOGRAFIA GENERAŁA DEZYDEREGO CHŁAPOWSKIEGO Z TURWI POKAZUJE, JAK SKUTECZNE MOGŁO BYĆ UMIEJĘTNE DOSTOSOWANIE METOD WALKI DO OKOLICZNOŚCI ZEWNĘTRZNYCH

Gdy wybuchło powstanie listopadowe w 1830 r., Chłapowski wziął w nim udział i prowadził kampanię wojenną na Litwie, za co został skazany na dwa lata twierdzy w Szczecinie i konfiskatę rodzinnego majątku zamienioną ostatecznie na grzywnę. Niezrażony tym, w 1848 r. jako 60-letni generał był głównym organizatorem powstania w powiecie kościańskim. Pełnił funkcję naczelnika powiatowego. Z własnych pracowników uformował, przeszkolił i wyposażył oddział kawalerii, który walczył w potyczce powstańczej pod Książem. Dodajmy, że działaniom zbrojnym generał sekundował do późnej starości. W czasie wojny krymskiej w 1854 r. wspierał Władysława Zamoyskiego w dziele tworzenia polskich oddziałów.

Zegar zamiast tarczy herbowej

W przerwach między powstaniami był jednym z inicjatorów i twórców koncepcji pracy organicznej rozumianej jako punkt wyjścia do walki o polityczne aspiracje narodu. Obecnie postrzegamy ten nurt jako program samomodernizacji narodu polskiego w ramach państwa pruskiego. Program, który utworzył fundamentalną tradycję społeczeństwa obywatelskiego.

Gen. Chłapowski z majątku w Turwi stworzył centrum pracy organicznej. Rozpoczęło się to już po klęsce kampanii napoleońskiej, kiedy wrócił w 1815 r. do posiadłości zadłużonej na skutek wystawnego trybu życia ojca Józefa. Jako zawodowy wojskowy nie miał pojęcia o rolnictwie, wprowadził drastyczne oszczędności, a tarczę herbową na froncie pałacu zastąpił zegarem. Początkowo czerpał wiedzę z zagranicznej literatury rolniczej, następnie pojechał na praktyki do Anglii i Szkocji. Po powrocie rozpoczął nowy styl pracy, „która przez 50 lat miała być wzorcem i szkołą dla całej Polski". Stosował nowoczesną agrotechnikę, metody hodowli i uprawy, m.in. płodozmian, sprowadził maszyny rolnicze ze Szkocji, uczył pracowników ich obsługi i nowinek technicznych.

Dostrzegał także konieczność zmian społecznych. Był wielkim zwolennikiem uwłaszczenia chłopów, a pańszczyznę uważał za główną przyczynę upadku Polski i rozleniwienia szlachty. Już w 1822 r. wraz z członkami delegacji w Berlinie uczestniczył w debacie nad uwłaszczeniem chłopów, czego efektem stała się ustawa z 1823 r. w zaborze pruskim, wg której chłop miał wykupić prawo własności. Generał wprowadził uwłaszczenie w swoich majątkach w Turwi i Rąbiniu, z pewnymi udogodnieniami dla chłopów.

Po klęsce powstania listopadowego 1831 r. Chłapowski zdynamizował zmiany w majątku, który przekształcił w przedsiębiorstwo rolne (zbudował gorzelnie, cukrownie, olejarnie, browar), zwiększając tym samym swoje dochody. Był przeciwnikiem wszelkiej emigracji, wspierał finansowo potrzebujących, a jego specjalnie przebudowany pałac stał się dla wielu schronieniem.

Przeobrażenie krajobrazu i kółka rolnicze

Na wzór podpatrzony w Normandii rozpoczął dodrzewianie ziemi uprawnej na 10 tys. ha, co było pionierskim na »

eprasa.pl c7862e56a9

ziemiach polskich zabiegiem chroniącym przyrodę i zapobiegało stepowieniu Wielkopolski. Podczas odbywania kary więzienia w Szczecinie (po powstaniu listopadowym) napisał podręcznik „O rolnictwie", który stał się na wiele lat elementarzem gospodarki wiejskiej.

Od 1834 r. w Turwi działała, dla uczniów z całego kraju, nieformalna szkoła rolnicza (na oficjalną nie zgodziły się pruskie władze), w której nauka trwała dwa lata, program obejmował wiedzę teoretyczną i praktyki, panował rygor wojskowy. Jednym z adeptów był m.in. legendarny później Maksymilian Jackowski, twórca kółek rolniczych. Józef Chłapowski (1852–1915) z linii rodziny z Czerwonej Wsi rozbudował i zorganizował kółka rolnicze właśnie z Jackowskim – faktycznie były to miejsca podziemnej pracy narodowej, potężny bastion polskości w walce z germanizacją. W ciągu 10 lat powstało 360 kółek liczących 17 tys. członków. Z raportów tajnej policji pruskiej wynika, że władze zaborcze, mimo kamuflażu, bezbłędnie rozpoznały narodowy charakter organizacji i ich faktyczny cel – utrwalenie tożsamości narodowej.

Od lat 40. XIX w. bowiem trwała rozbudowa wielkiej sieci organizacji, co razem stanowiło proces oświecania warstw średnich i niższych oraz utrwalania czynnej świadomości narodowej całego społeczeństwa polskiego.

Dobrodzieje i obrońcy Kościoła

Temat pracy organicznej i działań związanych z „oświecaniem mas ludowych" cieszył się sporą popularnością w okresie PRL. Nie eksponowano jednak specjalnie zagadnienia roli życia religijnego i Kościoła katolickiego, dzięki któremu polskość nie została wykorzeniona wśród niższych warstw ludności polskiej zaboru pruskiego. To właśnie Chłapowscy współtworzyli program obrony praw narodowych w oparciu o Kościół, który uznawali za jedyną nadzieję narodu w niewoli. Uważali, że jeśli Polacy będą wierni tradycji katolickiej, to będą odporni na nowinki rewolucyjne, a przetrwanie narodu wymaga konsolidacji i moralności. Konieczne jest odrodzenie dzięki wykorzenieniu cynizmu, lenistwa, złości w stosunku do bliźnich, fałszywych ambicji, konieczny jest prawdziwy patriotyzm.

Dezydery Chłapowski był czołowym działaczem obozu klerykalno-konserwatywnego (tzw. ultramontanów), do którego należeli m.in. Chłapowscy, Morawscy, Żółtowscy. Generał wspierał niemal wszystkie inicjatywy kościelne, m.in. ufundował w Poznaniu klasztor sercanek (Sacre Coeur), protegował misje ludowe i jezuitów, szerzył kult maryjny, inicjując nabożeństwa majowe, popierał szarytki, opiekował się młodymi księżmi. Jego zięć Jan Koźmian ożeniony z córką generała Zofią (zamieszkali w majątku w Kopaszewie) był osobą szczególnie wspierającą Kościół w okresie Kulturkampfu (zwalczania przez państwo pruskie duchowieństwa i Kościoła katolickiego). Najstarszy syn generała Stanisław Chłapowski z Turwi (1822–1902) organizował wiece katolickie w Kościanie, Śremie, Lesznie i Poznaniu, a najmłodszy Kazimierz (1832–1916) współpracujący blisko z Janem Koźmianem organizował takie wiece w Poznaniu, Gnieźnie, Toruniu. Według raportów policji intensywnej pomocy tajnemu duszpasterstwu udzielali Chłapowscy, służąc swoim pałacem w Kopaszewie. Przebywało tam kolejno kilku kapłanów, którzy obsługiwali parafię kościańską zajętą przez proboszcza rządowego Juliusza Brenka.

Parlamentarzyści polscy w sejmie pruskim i parlamencie Rzeszy publicznie występowali przeciw ustawodawstwu Kulturkampfu i jego realizacji. Jednym z sześciu najbardziej znanych posłów był wspomniany już najstarszy syn generała Stanisław Chłapowski z Turwi, który wielokrotnie przemawiał w obronie Kościoła katolickiego, a ponadto od 1 lutego 1875 r. był członkiem sejmowej komisji szkolnej i wyznań. Jego wystąpienia były publikowane w formie broszur. Zdolności polityczne Stanisława zjednały mu przyjaźń wybitnych parlamentarzystów niemieckich.

Najbardziej demokratyczne powstanie

Samoorganizacja obejmowała kolejne warstwy społeczeństwa polskiego: mieszczaństwo, rzemieślników, kupców, robotników, chłopów, a nawet robotników folwarcznych. Rozbudzona aktywna świadomość narodowa doprowadziła do wybuchu powstania wielkopolskiego, które można nazwać najbardziej demokratycznym ze wszystkich powstań narodowych, gdyż w walkach brali udział przedstawiciele wszystkich warstw społecznych. W przededniu wybuchu powstania przedstawiciele rodziny Chłapowskich (Konstanty, Jan, Adam, Stanisław) byli w poznańskim Bazarze, gdzie przygotowywano przyjęcie dla Ignacego Jana Paderewskiego i towarzyszących mu oficerów angielskich. Istotną rolę w walkach powstańczych odegrał Konstanty Chłapowski (1883-1939) (z linii z Sośnica), właściciel majątku Mościejewo (pow. międzychodzki), który w czasie wojny był oficerem w armii pruskiej. Podczas powstania został mianowany komendantem wojskowym miasta Pniewy. Po sprowadzeniu broni i amunicji z Poznania zorganizował tzw. Batalion pniewski (styczeń–luty 1919), walczył w rejonie między Kwilczem a Międzychodem. Był dowódcą samodzielnego odcinka Międzyrzecz–Międzychód–Wieleń. Następnie został szefem Sekcji Straży Ludowej, Policji, Żandarmerii w Komisariacie Naczelnej Rady Ludowej (rząd polski na ziemiach zaboru pruskiego). W latach 1920–1922 był dowódcą obozu warownego i komendantem Poznania, surowo przestrzegał dyscypliny. Przeszedł do rezerwy w stopniu podpułkownika.

Walka zbrojna na drodze prowadzącej do Niepodległej odgrywała istotną rolę dla rodziny Chłapowskich, podobnie jak praca organiczna i odbudowa moralna społeczeństwa. Nadal trwa spór historyków, publicystów i polityków, które z tych szlaków były ślepymi uliczkami, a które pewnymi drogami. Biografie kolejnych przedstawicieli rodu Chłapowskich pokazują, że można było je z powodzeniem łączyć.

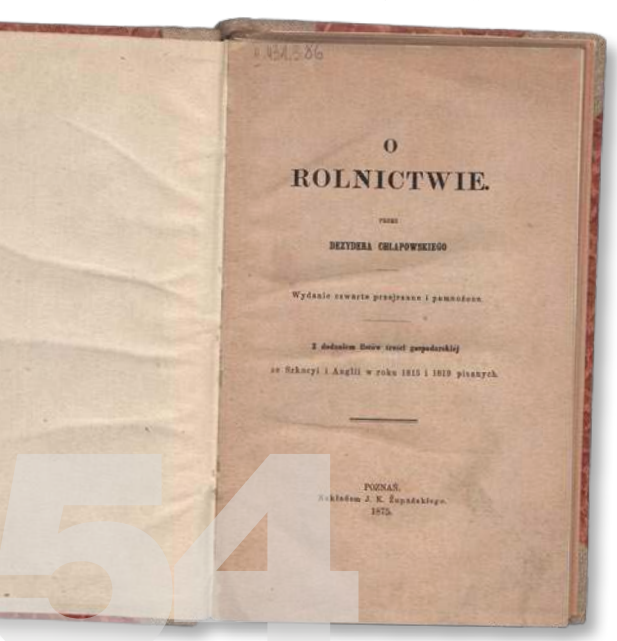

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl c7862e56a9

HUBERTA KOSTKI PRZYPADKI Z SB

BYŁ PIŁKARZEM NIEZWYKŁYM, JEDNYM Z NIELICZNYCH, KTÓRZY MIELI WYŻSZE WYKSZTAŁCENIE. PRZEZ WIELE LAT (1960–1973) REPREZENTOWAŁ BARWY GÓRNIKA ZABRZE, STAJĄC SIĘ JEGO LEGENDĄ. Z POWODZENIEM BRONIŁ TEŻ BRAMKI W „ZŁOTEJ" REPREZENTACJI KAZIMIERZA GÓRSKIEGO. POJEDYNKI PRZYSZŁO MU JEDNAK TOCZYĆ NIE TYLKO NA BOISKU, LECZ I POZA NIM. TEN CHYBA NAJTRUDNIEJSZY ZE SŁUŻBĄ BEZPIECZEŃSTWA W POŁOWIE LAT 60.

»

FOT. EAST NEWS/EUGENIUSZ WARMIŃSKI

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Hubertem Kostką Służba Bezpieczeństwa, a konkretnie Wydział II (kontrwywiad) Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Opolu, zainteresowała się w styczniu 1962 r., kiedy zebrano pierwsze informacje na temat jego i jego rodziny. Postanowiono wówczas zwerbować go do współpracy, jednak z nieznanych powodów przez prawie dwa i pół roku nie podjęto żadnych działań. Dopiero 24 czerwca 1964 r. oficer operacyjny SB w Komendzie Miejskiej MO w Zabrzu Edward Ulicki wystąpił o zezwolenie na próbę pozyskania Kostki do współpracy. Zamierzał zwerbować go w celu rozpoznania „członków, aktywu i działaczy" Górnika Zabrze „posiadających możliwości częstych wyjazdów zagranicę, a tym samym możliwości stykania się z osobami zbiegłymi z kraju (uciekinierami), z działaczami ośrodków emigracyjnych, ośrodków rewizjonistycznych, działaczami ziomkostw itp.", co z kolei powodowało „potrzebę zabezpieczenia operacyjnego tych wyjazdów i rozeznania osób, z którymi się tam stykają". Zamierzano go też wykorzystać do wyjaśnienia przypadków malowania swastyk i wrogich haseł na hali treningowej klubu. Liczono ponadto, że kończący studia piłkarz zwiększy bezpiece „możliwości dotarcia do środowiska inteligencji".

Wspomnienia piłkarza

Co do tego, jak wyglądały kontakty Służby Bezpieczeństwa z Hubertem Kostką, istnieją dwie rozbieżne relacje – esbeków pisane „na gorąco" oraz samego piłkarza złożona wiele lat później. Według niego do pierwszego spotkania miało dojść, zanim jeszcze został wytypowany na współpracownika SB. Krótko przed wyjazdem drużyny Górnika Zabrze do Wiednia na rozpoczynającą się 9 czerwca 1964 r. „Sport Presse Fest" bramkarz został wezwany do KM MO w Zabrzu. Jego rozmówca przedstawił się jako „kapitan Cyrano". Twierdził, że wezwał piłkarza, gdyż rzekomo w Austrii miała być szykowana prowokacja przeciwko PRL, w której ten miał „odegrać kluczową rolę". Według Kostki rozmowa była burzliwa. Po tym jak próbował polemizować ze swoim rozmówcą, który stwierdził, że „jako lojalny polski obywatel" ma obowiązek poinformować władze o wszelkich ewentualnych incydentach, funkcjonariusz uprzedził go „z groźbą w głosie", że brak reakcji z jego strony „pociągnie za sobą zarzut zdrady narodowej". W tej sytuacji uznał, że nie ma wyjścia i musi „wyrazić gotowość przekazania władzom wszelkich informacji, jeśliby we Wiedniu rzeczywiście do czegoś doszło". Tym bardziej że esbek zaczął straszyć go odprowadzeniem na »dołek«". To nie wszystko – jak wspomina Kostka – jego rozmówca miał kilkakrotnie sięgać po pistolet, „kładąc go znacząco na biurku", a do rozmowy w pewnym momencie dołączyło „dwóch rosłych milicjantów".

Mimo że w czasie pobytu w Wiedniu nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, piłkarz tydzień po powrocie do kraju został ponownie wezwany na komendę. Tam spotkał się z nim ten sam, co poprzednio funkcjonariusz. Hubert Kostka wspomina, iż esbek „z miejsca zasypał mnie pretensjami, że po powrocie z Austrii nie złożyłem stosownego raportu, co miało być moim obowiązkiem". Miał też otwarcie przedstawić zamiary związane z jego osobą: dostarczanie informacji o zawodnikach i działaczach Górnika Zabrze, a po zakończeniu przez niego kariery piłkarskiej danych związanych z jego pracą w kopalni. Poinformował go też, że kolejne spotkania będą się odbywać już bez formalnych wezwań na milicję, lecz „nieoficjalnie, w różnych niebudzących podejrzeń miejscach". Kostka – jak twierdzi – kategorycznie odmówił ze słowami: „W moim charakterze nie leży donosicielstwo". Wówczas funkcjonariusz zaczął straszyć go konsekwencjami – usunięciem z Górnika Zabrze oraz „zniszczeniem". Stwierdził też, że spotkanie ma charakter ściśle tajny i piłkarzowi nie wolno o nim z nikim (nawet z rodziną) rozmawiać. Na co z kolei Hubert Kostka miał odpowiedzieć, że „przed żoną i przyjaciółmi żadnych tajemnic nie zamierza stwarzać".

Zapisali esbecy

Informacji o żadnym z tych spotkań nie ma w aktach SB. Według tej dokumentacji do pierwszej rozmowy z piłkarzem miało dojść blisko miesiąc później – 20 lipca 1964 r. Miała się ona odbyć w pomieszczeniach Komendy Powiatowej MO w Nysie, a według Huberta Kostki na terenie jednostki wojskowej, w której jako student odbywał zaległe ćwiczenia wojskowe. Tych rozbieżności jest zresztą więcej.

Według wersji z dokumentów SB w rozmowie mieli wziąć udział Edward Cyran, którego piłkarz zapamiętał jako „Cyrano", oraz Edward Ulicki. Z kolei według piłkarza jedynie ten pierwszy oraz dowódca obozu płk Musiał. Według Ulickiego, który sporządził raport po rozmowie, piłkarz miał w jej trakcie chętnie dyskutować z funkcjonariuszami „na poruszane tematy". A było ich sporo: od nauki i życia codziennego Huberta Kostki, poprzez „problem wyjazdów zagranicę drużyny i członków klubu i [ich] zachowanie się zagranicą", aż po „zagadnienie prowadzenia wrogiej działalności przeciwko PRL przez różne ośrodki wywiadowcze, rewizjonistyczne, ziomkostwa itp. oraz problem prowadzenia wrogiej działalności przez różne elementy w kraju". Jak się zresztą zdaje, głównie mówili esbecy, którzy przedstawili piłkarzowi kilka przykładów takiej „wrogiej działalności" (m.in. „ucieczki zagranicę aktywistów" z Górnika Zabrze – Stefana Raczka, Eryka Nowary i Musioła, przypadki „wystąpień wrogich sportowców", a także malowania swastyk i wrogich napisów w hali sportowej zabrzańskiego klubu i na ławkach jego stadionu). Ponadto, jak pisał Edward Ulicki, dali mu „do zrozumienia, że jest potrzeba bliższego zainteresowania się niektórymi osobami z klubu, z którymi jest on związany". I zwrócili się do niego „jako lojalnego obywatela" o udzielanie im pomocy. Kostka miał rzekomo w odpowiedzi stwierdzić, że wyraża zgodę na udzielanie pomocy i przekazywanie informacji, stwierdzając, że „jest to obowiązek każdego uczciwego obywatela". Miał jednak zastrzec, że „o ile chodzi o kierownictwo klubu, to chciałby się powstrzymać", gdyż „jest on dla nich bardzo zobowiązany za to, co dla niego zrobili i nie chciałby im się narażać". W tej sytuacji esbecy próbowali przekonać go do zmiany stanowiska, gwarantując mu „pełną dyskrecję" oraz uspokajać go, że chodzi im „tylko o osoby wrogo działające". Jednak Hubert Kostka nie chciał opowiadać o tym, co dzieje się w kraju. Miał natomiast stwierdzić, że

eprasa.pl c7862e56a9

„o ile chodzi o informacje dotyczące zagranicy, to bez żadnych obiekcji może je przekazywać". W toku rozmowy funkcjonariuszom podobno udało się „w pewnym stopniu" przekonać go do zmiany stanowiska w tej kwestii.

Według Ulickiego umówiono się z piłkarzem na kolejne spotkanie za niespełna dwa miesiące (na 14 sierpnia 1964 r.), po zakończeniu przez niego ćwiczeń wojskowych.

Kostka wspomina

W tym miejscu warto wrócić do relacji Kostki. Według niego charakter spotkania miał być podobny do poprzednich – ponownie namawiano go do współpracy i straszono konsekwencjami w przypadku jej odmowy. Jak zaznaczał, wtedy właśnie „powoli zaczęło do mnie dochodzić przekonanie, że własnymi siłami nie zdołam się wyplątać z matni, w której się znalazłem, zwłaszcza że po obozie oczekiwała mnie obrona pracy dyplomowej na uczelni". Twierdził przy tym, że jego stanowisko miało się nie zmienić – „całkowita odmowa". Tym niemniej właśnie od tego spotkania Służba Bezpieczeństwa zaczyna traktować go jako swojego tajnego współpracownika i nadaje mu pseudonim Leszek. Co jednak niezwykle ważne – nie zostaje pobrane od niego zobowiązanie o współpracy ze względu na, jak notował Ulicki, jego „pewne obiekcje".

Według piłkarza do ostatniego (czwartego) spotkania z Cyranem doszło kilka dni przed wyznaczonym na 31 sierpnia 1964 r. terminem obrony jego rozprawy magisterskiej. Miało ono miejsce w lokalu Agawa w pobliżu kampusu Politechniki Śląskiej, gdzie Hubert Kostka wraz z kolegami z uczelni chodził na kawę. Tam też – jak wspomina – zaczepił go esbek. „Tym razem spotkanie było krótkie". Funkcjonariusz miał zagrozić mu, że wcale nie musi obronić pracy dyplomowej. Jednak, jak wspomina Kostka, nie wystraszył się, a nawet zagroził esbekowi, że jeśli nadal będzie przez niego nachodzony, to „uda się z interwencją do towarzysza Włodzimierza Janiurka". Ten ostatni był wówczas nie tylko wieloletnim redaktorem naczelnym „Trybuny Robotniczej", organu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, ale też posłem na Sejm PRL i przede wszystkim członkiem egzekutywy KW PZPR. A także, co nie mniej ważne, znanym sympatykiem Górnika Zabrze. Co prawda piłkarz blefował, ale, jak twierdzi, skutecznie: funkcjonariusz SB „zbladł i stracił rezon", a co najważniejsze – już go więcej nie niepokoił. Hubert Kostka miał też nie być więcej wzywany na spotkania, zarówno oficjalne, jak i nieoficjalne.

Koniec operacji

Wersja Edwarda Cyrana jest inna. Według niego piłkarz początkowo „na spotkania przychodził, lecz żadnych rewelacyjnych materiałów nie dawał, lecz ogólnie nas informował o sytuacji w Górniku". To się zresztą miało bardzo szybko zmienić, gdyż „po ukończeniu studiów i obronieniu pracy magisterskiej zaczął odmawiać współpracy i na umówione spotkania nie przychodził". W końcu Kostka miał oświadczyć, że

KOSTKA NIE WYSTRASZYŁ SIĘ ESBEKA, A NAWET MU ZAGROZIŁ, ŻE UDA SIĘ Z INTERWENCJĄ DO TOW. JANIURKA

„sprawę współpracy z naszymi organami dokładnie przemyślał i doszedł do wniosku, że się do tego nie nadaje, ponieważ nie ma on sumienia mówić o swoich kolegach, gdyż dzięki nim i pomocy finansowej klubu zdobył wyższe wykształcenie". Służba Bezpieczeństwa nie zamierzała tak łatwo rezygnować z jego pomocy, jednak – jak stwierdzał Cyran – przeprowadzone z nim „poważne rozmowy" nie dały „żadnych pozytywnych wyników". W tej sytuacji funkcjonariusz skonstatował, że kontynuowanie współpracy z piłkarzem „mija się z celami, ponieważ postawionych zadań na początku i tak nie osiągniemy". I wnioskował: „TW ps. Leszek należy wyeliminować z sieci tajnych współpracowników, a posiadane materiały przesłać do archiwum". Jego propozycja została zaakceptowana (11 listopada 1967 r.) przez zastępcę komendanta Komendy Miejskiej MO ds. Bezpieczeństwa w Zabrzu.

Czyste sumienie

Jak zatem widać w kwestii kontaktów Służby Bezpieczeństwa z Kostką w latach 60., dysponujemy dwiema znacznie różniącymi się relacjami. Nie sposób dzisiaj stwierdzić, która z nich jest bliższa prawdy. Jako kibic jestem oczywiście skłonny wierzyć piłkarzowi. Jako historyk muszę być jednak bardziej ostrożny i stwierdzić, że obie strony miały (mają) w tym interes, żeby przedstawić się w jak najlepszym świetle. Nie ulega jednak dla mnie kwestii, że trudno mieć dzisiaj do młodego (w 1964 r. 24-letniego chłopaka) pretensje o te wymuszone przez bezpiekę kontakty. Tym bardziej że, jak wynika z relacji samych funkcjonariuszy SB, traktował je jako obowiązek lojalnego wobec państwa obywatela, a nie agenturalną współpracę, do której zresztą nigdy się nie zobowiązał. Ponadto kontakty te trwały bardzo krótko. Piłkarzowi udało się szybko i małym kosztem z nich wyplątać. Nic też nie wskazuje na to, aby komukolwiek w tym czasie zaszkodził. W aktach TW „Leszka" nie zachowały się żadne notatki ani raporty z jego spotkań z esbekami, z wyjątkiem oczywiście tego z 20 lipca 1964 r., ani też z przekazanych rzekomo przez niego SB w informacji.

Tak na marginesie, szczególnie w świetle relacji samego zainteresowanego, ale również dokumentów bezpieki, w jego przypadku raczej należałoby mówić o tzw. dialogu operacyjnym, a nie agenturalnej współpracy... Jak zresztą twierdzi Hubert Kostka, o nadanym mu przez Służbę Bezpieczeństwa pseudonimie nie wiedział, podobnie jak o traktowaniu go jako tajnego współpracownika. Miał też nie spełniać jednej z podstawowych przesłanek agenturalnej współpracy, czyli jej tajności. O zainteresowaniu jego osobą ze strony SB, swoich „problemach z SB" informował bowiem, jak twierdzi, zarówno rodzinę, jak i przyjaciół. Sam ocenia, że nie czuje się żadnym współpracownikiem, gdyż „nie przekazał żadnej informacji w jakiejkolwiek sprawie". I dodaje: „Mogę do dziś spokojnie patrzeć w lustro, jako że całe życie kierowałem się i nadal się kieruję wartościami wpojonymi mi przez mamę i babcię, które mnie wychowywały, za co jestem im głęboko wdzięczny".

eprasa.pl c7862e56a9

Pod bramką jak w domu

Michał Muzyczuk

Profesjonalista na boisku, profesjonalista poza nim. Kariera Roberta Lewandowskiego, najlepszego współczesnego polskiego piłkarza, to przykład tego, jak wiele znaczą dobre sportowe wzorce przekazywane dziecku przez rodziców

Krzysztof i Iwona Lewandowscy byli małżeństwem kochającym sport i czynnie go uprawiającym, więc oczywistym było, że zarazili swoją pasją córkę Milenę i syna Roberta. „Bobek", jak ze względu na mizerne warunki fizyczne nazywano za młodu trzykrotnego króla strzelców Bundesligi, szybko zaczął się wyróżniać w różnych dyscyplinach, ale na pierwszym miejscu zawsze była piłka.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się nieprawdopodobne, że w 2006 r. Legia Warszawa nie zdecydowała się na podpisanie kontraktu z niespełna 18-letnim wychowankiem Varsovii, który pierwsze kroki stawiał na boisku podwarszawskiego Partyzanta Leszno. Legia wypuściła młodą perełkę za śmieszne pieniądze – 5 tys. zł za zawodnika zapłacił trzecioligowy Znicz Pruszków. Dwa lata i 37 bramek później poznański Lech wykupił środkowego napastnika już za 380 tys. euro, a ten odpłacił się Kolejorzowi poprowadzeniem zespołu najpierw do Pucharu Polski, a później do mistrzostwa Polski, co indywidualnie przypieczętował tytułem króla strzelców Ekstraklasy. W reprezentacji zadebiutował chwilę po przyjeździe do Poznania – we wrześniu 2008 r. wszedł na pół godziny w meczu z San Marino i w debiucie zdobył bramkę.

Wielkim promotorem talentu Polaka był Jürgen Klopp, ówczesny szkoleniowiec Borussii Dortmund (BVB). Dzięki temu napastnik Lecha powędrował do Zagłębia Ruhry za 4,5 mln euro, a w BVB powstało słynne polskie trio: Robert Lewandowski, Jakub Błaszczykowski, Łukasz Piszczek, które przez lata było postrachem całej niemieckiej ligi. W pierwszym sezonie „Lewego" rzucano po różnych pozycjach, bo „dziewiątka" była zajęta przez Kolumbijczyka Lucasa Barriosa. Borussia sięgnęła po mistrzostwo, podobnie stało się rok później, tylko że tym razem były zawodnik Znicza grał już pierwsze skrzypce i został wybrany na najlepszego zawodnika Bundesligi rozgrywek sezonu 2011/2012, a w dodatku w finale Pucharu Niemiec strzelił hattricka przeciw Bayernowi Monachium. Kolejny sezon to seria 12 meczów ze strzelonym golem w lidze oraz kareta wbita Realowi Madryt w półfinale Ligi Mistrzów. Finał należał do Bayernu, ale napastnik Borussii został wicekrólem strzelców LM. Sezon 2013/2014 to ostatni etap występów w barwach Dortmundu, ukoronowany pierwszym tytułem króla strzelców Bundesligi.

W wieku 30 lat Robert Lewandowski już jest najskuteczniejszym piłkarzem w historii reprezentacji

Lewandowski trafił do wielkiego Bayernu, który skorzystał z wygaśnięcia kontraktu Polaka z BVB. Odtąd „RL9" nieustannie zdobywa z klubem z Monachium tytuły mistrza Niemiec, dwukrotnie był królem strzelców jednej z najmocniejszych lig świata. Do historii przeszedł jego wyczyn z września 2015 r., kiedy wchodząc z ławki w meczu z Wolfsburgiem, strzelił pięć goli w ciągu dziewięciu minut, bijąc wiele rekordów. W reprezentacji rozkwit formy datuje się od czasu przejęcia kadry przez Adama Nawałkę, który powierzył „Lewemu" opaskę kapitana drużyny, a ten odpłacił się zdobyciem tytułu najlepszego strzelca w eliminacjach Euro 2016 i Mundialu 2018.

W wieku 30 lat zawodnik Bayernu jest najskuteczniejszym piłkarzem w historii reprezentacji, a lada chwila pobije też rekord liczby występów w narodowych barwach. Patrząc na obecną kondycję polskiej kadry, jedno jest bezdyskusyjne: biało-czerwoni, jeśli chcą wrócić do formy sprzed nieudanego mundialu w Rosji, potrzebują skutecznego kapitana w najwyższej formie, który pod bramką rywala czuje się jak w domu.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c786225ba9

Bohaterowie Polskiego Sportu

Jak skakać, to tylko daleko

Kiedy w 1999 r. Kamil Stoch, 12-latek z podzakopiańskiego Zębu, jako przedskoczek osiągnął na Wielkiej Krokwi 128 m, więcej niż dorośli uczestnicy właściwego konkursu, było jasne, że w Polsce rośnie talent, który może zawojować tę podówczas niszową u nas dyscyplinę

Gdy w 2001 r. Adam Małysz zwyciężał w Turnieju Czterech Skoczni, a od Bałtyku po Tatry zapanowała małyszomania, skoki stały się sportem narodowym. „Orzeł z Wisły" kończył swoją karierę w 2011 r. – dokładnie wtedy Kamil Stoch wychodził z cienia starszego kolegi i powoli przejmował pałeczkę. Przejął ją, i to w wielkim stylu, o czym świadczy charakterystyczna klamra.

28 lutego 2003 r., włoskie Predazzo, duża skocznia: Adam Małysz demoluje rywali i sięga po złoto. Dekadę później, 28 lutego 2013 r., włoskie Predazzo, duża skocznia: Kamil Stoch po zaciętej walce wygrywa mistrzostwo świata, tym samym powtarzając wyczyn swojego wielkiego poprzednika.

Ten triumf staje się początkiem wspaniałych osiągnięć: na koniec sezonu Pucharu Świata „rakieta z Zęba" jest trzeci, a w kolejnej edycji nie ma już sobie równych. Co najważniejsze, trafia z formą na igrzyska w Soczi, gdzie w Krasnej Polanie zdobywa dwa złote medale – żaden polski sportowiec nie dokonał tego wcześniej na zimowych IO. Nie przeszkodziło mu nawet, że w dzień konkursu na normalnej skoczni obudził się z gorączką, a do zawodów na dużej skoczni przystępował ze skręconym łokciem.

Sezon 2014/2015 był słabszy, głównie ze względu na problemy zdrowotne – niezbędna okazała się operacja kontuzjowanego stawu skokowego, przez co Stoch stracił całą pierwszą turę konkursów i długo dochodził do formy, której zabrakło na mistrzostwach świata w Falun, choć drużynowo Polakom udało się powtórzyć sukces sprzed dwóch lat i zdobyć brąz. Kolejny sezon to miejsce dopiero w trzeciej dziesiątce Pucharu Świata, ale Stoch nie załamał się i wrócił do wielkiej gry: wygrał Turniej Czterech Skoczni, a w klasyfikacji 2016/2017 zajął drugie miejsce. Na mistrzostwach świata w Lahti, chociaż indywidualnie nie sięgnął po krążek, razem z drużyną dokonał rzeczy historycznej: Polacy zostali globalnymi czempionami w skokach, dodatkowo wygrywając klasyfikację narodową Pucharu Świata. Stoch stał się także najdalej szybującym Polakiem w historii, bo na skoczni w Planicy poleciał na odległość ponad ćwierć kilometra!

Kamil Stoch jest liderem najmocniejszej reprezentacji w dziejach Polski. Jak sam twierdzi, dopóki starty w zawodach będą wywoływać u niego tremę i ekscytację, dopóty będzie skakał

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI / POLSKA PRESS

Sezon 2017/2018 to deklasacja rywali w Pucharze Świata i kolejne złoto olimpijskie: w Pjongczangu na dużej skoczni Kamil zdobył trzeci medal z najcenniejszego kruszcu i tym samym stał się samodzielnie najbardziej utytułowanym polskim zimowym olimpijczykiem w historii.

Stoch jest liderem najmocniejszej reprezentacji w dziejach Polski i nie zanosi się na to, aby chciał w najbliższym czasie rezygnować ze śrubowania kolejnych rekordów. Jak sam twierdzi, dopóki starty w zawodach będą wywoływać u niego tremę i ekscytację, dopóty będzie skakał. Życzmy i jemu, i sobie, aby trema trwała jak najdłużej – oby co najmniej do igrzysk w Pekinie. Jak już skakać, to tylko daleko. Kto wie, czy nie po kolejne olimpijskie złoto? Sukces na najważniejszej imprezie w wieku 35 lat byłby w świecie skoków nie lada wyczynem. Do tej pory wychowanek LKS Ząb będzie miał jeszcze dziesiątki okazji, by dopisać nowe piękne karty do swojej już wspaniałej kariery. Dziś dzięki dokonaniom zarówno Małysza, jak i Stocha miliony Polaków co tydzień zasiadają przed telewizorami, żeby trzymać kciuki za zawodników podbijających skocznie całego świata. ■

MM

eprasa.pl c7862e56a9

Koszykówka i pierogi

Boisk do koszykówki na polskich osiedlach jest sporo. Aż trudno uwierzyć, że Marcin Gortat to dopiero trzeci Polak w NBA, po Cezarym Trybańskim i Macieju Lampem. Pierwszy, który zrobił na boiskach najlepszej ligi świata prawdziwą karierę

Marcin Gortat od trwającego sezonu gra w Los Angeles Clippers

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

Co ważne, Gortat to nie tylko „Polish Machine" znany z efektownych zbiórek i twardej gry, ale także wielki patriota, który za cel postawił sobie rozsławienie ojczyzny za oceanem. Od lat pochodzący z Łodzi zawodnik Washington Wizards organizuje Noc Polskiego Dziedzictwa, podczas której fani mogą bliżej poznać historię i obyczaje Polski; impreza co roku cieszy się wielkim powodzeniem.

Od trwającego sezonu Gortat gra w Los Angeles Clippers, więc nie wiadomo, czy tradycja zapoczątkowana w amerykańskiej stolicy przyjmie się na Zachodnim Wybrzeżu. Tak czy inaczej koszykarz jest znany ze wspierania różnych polonijnych inicjatyw w USA, nie stroni także od działalności społecznej w Polsce. Od 2009 r. prowadzi fundację wspierającą młode sportowe talenty, patronuje sieci szkół sportowych w czterech miastach (Łódź, Kraków, Poznań, Gdańsk), udziela się charytatywnie. Stara się zaszczepić młodym etos pracy, który pozwolił mu na odniesienie sukcesu niemającego precedensu w historii krajowej koszykówki.

A był to sukces, do którego wiodła niecodzienna droga. Marcin sport miał niejako w genach, bo jego ojciec Janusz zdobywał olimpijskie medale w boksie, a mama Alicja była reprezentantką Polski w siatkówce. Ale koszykówka nie była pierwszą miłością rosłego Marcina, bo najpierw uprawiał lekką atletykę i piłkę nożną. „Polish Hammer" rzucaniem do kosza zajął się dopiero w szkole średniej i – jak się szybko okazało – miał do tego smykałkę. Po występach w rodzimym ŁKS-ie trafił do Niemiec, a z Kolonii wiodła droga na najlepsze parkiety świata. Pomimo wyboru w drafcie w 2005 r. przez Phoenix Suns, swoją karierę rozpoczął od występów jako rezerwowy w Orlando Magic dwa lata później. Z klubem z Florydy grał w finale NBA w 2009 r., a w kolejnym sezonie trafił do Phoenix, gdzie szybko stał się podstawowym zawodnikiem. W Arizonie i później, w Washington Wizards, wyrósł na jednego z czołowych centrów ligi, zaliczając raz za razem „double-double", czyli podwójną liczbę punktów i zbiórek w meczu. Przed trwającym sezonem trafił do Miasta Aniołów, ale w Clippers ma ostrą konkurencję i jako jeden z weteranów nie pojawia się na parkiecie już tak często. Wieku nie da się oszukać, a Gortat niebawem przekroczy 35. rok życia.

Od dekady łódzki koszykarz utrzymuje się na absolutnym topie i w zgodnej opinii ekspertów jest zawodnikiem niesłychanie cennym dla każdego zespołu, w którym występuje. Jego przygoda z najmocniejszą ligą świata za jakiś czas w naturalny sposób dobiegnie końca, ale Gortat odcisnął na niej swoje piętno. Jest najlepszym ambasadorem Polski za Wielką Wodą, wzbudzając zainteresowanie Amerykanów krajem nad Wisłą i dumę wśród miejscowej Polonii. Do legendy przeszła jego dyskusja na telewizyjnej antenie z Shaquillem O'Nealem, jednym z najbarwniejszych zawodników w dziejach NBA, na temat ulubionych przez Gortata pierogów, które popularny „Shaq" mylił z polskimi kiełbaskami i był przekonany, że należy je grillować. Na oczach całej Ameryki Gortat przy kolejnej okazji zorganizował dostawę pierogów do studia telewizyjnego, a O'Neal mógł na wizji przekonać się o walorach smakowych polskiego przysmaku.

Kibicom koszykówki w Polsce pozostaje mieć nadzieję, że kariera Gortata nie będzie ewenementem i już niebawem będziemy mogli podziwiać w halach NBA innych polskich koszykarzy. Bo chłopak z Bałut udowodnił, że talent, ciężka praca i charakter mogą otworzyć każdemu drogę na sportowe szczyty. ■ ***MM***

eprasa.pl c7862e56a9

Bohaterowie Polskiego Sportu

Sukcesy w imię pamięci

46 miesięcy trwała zwycięska passa Anity Włodarczyk, która od lipca 2014 do maja 2018 r. wygrała 42 razy z rzędu. Pochodząca z Rawicza atletka rzuca czterokilogramowym młotem tak, jakby była to najprostsza rzecz na świecie. I ciągle wygrywa, co sezon zdobywając kolejne medale i trofea

Dominacja Anity Włodarczyk trwająca właściwie od igrzysk olimpijskich rozgrywanych w Londynie w 2012 r. jest czymś bardzo rzadko spotykanym w sporcie. Biorąc pod uwagę XXI w., naszą pierwszą damę lekkiej atletyki można postawić w jednym szeregu z Usainem Boltem i Michaelem Phelpsem, choć oczywiście jej dyscyplina jest znacznie mniej medialna. Młociarka nie ma w zasadzie konkurencji, bo przecież żadna kobieta na świecie, poza nią samą, nie pokonała magicznej granicy 80 m.

Polacy mają swoje dokonania w „siłowych" konkurencjach lekkiej atletyki, wystarczy przypomnieć chociażby przedwojenne olimpijskie srebro dyskobolki Jadwigi Wajsówny czy złoto zdobyte w pchnięciu kulą przez Władysława Komara w Monachium w 1972 r. Ale prawdziwa eksplozja talentu lekkoatletycznych „siłaczy" datuje się na przełom wieków, kiedy na igrzyskach w Sydney po najcenniejsze krążki sięgnęli rzucający młotem Kamila Skolimowska i Szymon Ziółkowski. Osiem lat później do polskiej szkoły miotania wszystkim, co ciężkie, dołączyli Tomasz Majewski i Szymon Ziółkowski. W Pekinie w 2008 r. Anita Włodarczyk była szósta, ale już w sierpniu 2009 r. pobiła rekord Polski zmarłej kilka miesięcy wcześniej Skolimowskiej. Z Kamilą łączyła Anitę specjalna więź – do dziś na zawodach rzuca w odnowionej rękawicy swojej przyjaciółki. W ten sposób ma poczucie, że swoje sukcesy dzieli właśnie z popularną Kamą.

Kolejny rekord świata przyszedł w najlepszym momencie: na mistrzostwach świata w Berlinie, skąd wróciła oczywiście ze złotym medalem. Jej karierę na chwilę wyhamowały kontuzje, a dodatkowo w wielkiej formie były najpoważniejsze rywalki Włodarczyk, Niemka Betty Heidler i Rosjanka Tatiana Łysenko. W sezonie 2012 Polka triumfowała w mistrzostwach Europy, a co najważniejsze, okazała się najlepsza również na igrzyskach olimpijskich w Londynie – choć Łysenko rzuciła dalej, została zdyskwalifikowana za doping i po czterech latach złoty medal oficjalnie przyznano Włodarczyk. Na moskiewskich MŚ w 2013 r. Łysenko była jeszcze lepsza, ale odtąd Anita zwyciężała w każdej wielkiej imprezie: trzykrotnie zdobyła mistrzostwo Europy, dwukrotnie mistrzostwo świata, a w genialnym stylu bijąc rekord globu, sięgnęła po olimpijski laur w 2016 r. w Rio. Chwilę później w Warszawie Włodarczyk wyśrubowała rezultat niewyobrażalny, którego pobicie trudno sobie wyobrazić: rzuciła młotem na odległość niemal 83 m!

Czy Anita Włodarczyk jest najlepszą polską lekkoatletką w historii? Trudno rozstrzygnąć, bo nie da się porównać jej osiągnięć do przedwojennych wyczynów Stanisławy Walasiewicz czy pięknej historii pisanej w latach 60. i 70. XX w. przez Irenę Szewińską. Ale bez wielkich wątpliwości można stwierdzić, że jest najlepszą polską sportsmenką swoich czasów i oby jeszcze długo dzierżyła palmę pierwszeństwa. Jej seryjne triumfy są powodem do dumy zarówno dla polskich kibiców, jak i hołdem dla Kamili Skolimowskiej, której Anita dedykuje każde swoje zwycięstwo. ■

MM

Anita Włodarczyk do dziś na zawodach rzuca w odnowionej rękawicy swojej przyjaciółki, przedwcześnie zmarłej Kamili Skolimowskiej

FOT. EAST NEWS | 24/0818/F

eprasa.pl c7862e56a9

Rynek miejski i kościół św. Trójcy w Brzeżanach w okresie międzywojennym; po prawej widok współczesny

KRESY WSCHODNIE BYŁY, SĄ I BĘDĄ DLA NAS ORAZ PRZYSZŁYCH POKOLEŃ ZJAWISKIEM MISTYCZNYM, NIESPEŁNIONĄ MIŁOŚCIĄ, EMANACJĄ NASZEGO MITU NARODOWEGO, NATCHNIENIEM POETÓW, MALARZY I ARTYSTÓW, POWROTEM DO CZASÓW SIELSKIEGO DZIECIŃSTWA PRZODKÓW, BYTEM POLITYCZNYM RZUCAJĄCYM CIEŃ NA NASZĄ HISTORIĘ, WSPÓŁCZESNOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ, KOLEBKĄ PRAWDZIWEJ POLSKOŚCI, TAKŻE KULTURY I NAUKI

RAJ UTRACONY

KRZYSZTOF JASIEWICZ

Każde pokolenie umiejscawiało ten raj w innych granicach. W międzywojniu był to obszar między wschodnią granicą II RP z 1921 r. a starą wschodnią granicą Rzeczypospolitej szlacheckiej sprzed rozbiorów. Dla pokolenia żyjącego po 1945 r. w nowych, narzuconych granicach Kresy Wschodnie tożsame są z terytorium oderwanym od II RP, na wschód od Bugu do jej wschodniej granicy. W historiografii polskiej na ogół przyjmuje się obecnie, że Kresami Wschodnimi nazywamy obszar dawnej okupacji sowieckiej z lat 1939–1941, co automatycznie powoduje, że – z pewnymi zastrzeżeniami – włączamy do niego ziemie nigdy nieprzynależne do Kresów, jak Łomżyńskie, powiat ostrołęcki czy nawet Ostrów Mazowiecką, odległą ok. 100 km od centrum Warszawy.

Cierpienia „pańskiej Polski"

Obszar ten został oderwany od naszego państwa właściwie w 1939 r., po sfałszowanych wyborach z 22 października, zwanych plebiscytem, po których straciliśmy na skutek uchwał Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy na rzecz Związku Sowieckiego odpowiednio województwa poleskie, nowogródzkie i większość białostockiego oraz lwowskie, tarnopolskie, stanisławowskie i wołyńskie. Ówczesna Litwa skwapliwie przyjęła z rąk Sowietów prezent w postaci polskiego Wilna i Wileńszczyzny, czym się szybko udławiła, gdyż w czerwcu 1940 r. została zaanektowana przez imperium zła i przerobiona wraz z prezentem na Litewską SSR. Słowem, kradzione nie tuczy, ale Litwa stała się – czego poprawni politycznie badacze nie zauważali i świat cywilizowany – trzecim udziałowcem w IV rozbiorze Polski.

„Pańska Polska – mówiła 1 listopada 1939 r. ukraińska włościanka z Kresów, U.W. Jefimczuk-Diaczuk na sesji Rady Najwyższej ZSRS w Moskwie – nie mogła dać naszemu narodowi naprawdę szczęśliwego życia. Przy polskiej pracy niewolniczej, pracy na pańskich polach, nie mogliśmy myśleć o szczęściu. Żyliśmy jak psy, jak świnie, byliśmy niewolnikami. To świńskie życie ustaliła dla nas i wprowadziła polska szlachta. I niech nie będzie dla nich nigdy życia, niech sczeźnie ona jak trawa, za nasze cierpienia, za nasze serca, które tyle wycierpiały!". Ten cytat potępiający polską misję cywilizacyjną na Wschodzie nie wymaga komentarza. I tamci, i późniejsi, i współcześni „bracia Ukraińcy" zawsze nas, niestety, nienawidzili i tak pewnie zostanie. Więc nie warto się wysilać. Chyba jedynie

eprasa.pl c7862e56a9

FOT. NAC, SHUTTERSTOCK

warto policzyć straty ludzkie i materialne po polskiej stronie.

Jeśli porównać liczbę ofiar i wszystkie kategorie represji przypadające na 1 km², to w latach 1939–1941 na Kresach Wschodnich rozumianych jako okupacja sowiecka, tj. 52 proc. obszaru II RP, skala represji była wyższa niż w apogeum Wielkiej Czystki na terenie ZSRS. Od 1939 r. do lat 50. praktycznie wymieniono całą ludność. Polaków wywieziono najpierw na Syberię, a resztę wydalono do nowej „ojczyzny" – Polski Lubelskiej.

Od jesieni 1939 r. na Kresach zaczęli się pojawiać masowo różni Sowieci, a wraz z nimi sowiecki nowy ład. Wszystko uległo zmianie. Wyrastały jak grzyby po deszczu „sprawdzone" bolszewickie instytucje, od aparatu partyjnego i bezpieczeństwa po monstrualnie rozbudowaną administrację, zwłaszcza gospodarczą. Powiało bolszewickim Wschodem we wszystkich dziedzinach. Nie każdy ma świadomość, że cały polski zasób słów wulgarnych ma rosyjski rodowód. Tak było już od carskich czasów. Za radzieckich towarzyszy nastąpił nowy impuls. Sięgnijmy do dokumentów sowieckich. Najczęstszym sposobem komunikowania się był wrzask, zwłaszcza w strukturach NKWD-MWD, z użyciem najbardziej wulgarnych słów, ordynarnych porównań, rubasznych zachowań i żartów. Bójki między funkcjonariuszami NKWD należały do zjawisk powszechnych. Dochodziło do nich w urzędach i na kwaterach, często z użyciem lub groźbą użycia broni palnej. Na kwaterach strzelaniny były też na porządku dziennym. Wzajemnie obrabowywano się, wyrzucano z mieszkań. Opis jednego z takich incydentów znajdujemy w dokumentacji partyjnej. Po obfitej libacji w siedzibie NKWD w jednym z miasteczek kresowych funkcjonariusze kontynuowali czynności na kwaterze. Doszło tam do regularnej bitwy, mieszkańcy domu „zmuszeni byli uciekać przez okna". Takich westernowych scen było dużo więcej.

Terytorium podbite

Z higieną też nie było najlepiej. Z zachowanych polskich świadectw z przesłuchań i pobytów w więzieniach i aresztach wyłania się obraz funkcjonariusza resortu bezpieczeństwa jako osobnika niedomytego i cuchnącego brudem. Beata Obertyńska zapamiętała enkawudzistę o przeraźliwie śmierdzących nogach, co poczuła, gdy zdjął buty, bo był dzień wyjątkowo ciepły. Nadto dłubał on w nosie i zębach oraz pluł przed siebie. Wulgarność była immanentną cechą człowieka sowieckiego, od samych dołów do szczytów władzy. Niewybrednym językiem posługiwał się Stalin i jego kompani. Gdy którymś z nich nie chciał dalej konwersować, zazwyczaj żegnał go zwrotem „sp... dalaj". A w użyciu były słowa ch..., k..., p... etc. Nawet w oficjalnych dokumentach, m.in. dotyczących rozpatrywania spisów osób skazanych na karę śmierci w okresie Wielkiej Czystki, padają określenia typu: „A to zwykły podlec i k...".

Po wkroczeniu i rozkwaterowaniu wojsk sowieckich miasta i miasteczka przeżyły dramatyczną metamorfozę. Ulice, zaułki czy podwórka pokryły hałdy śmieci i papierów, a także powszechnie występujące produkty przemiany materii, jako że nowi władcy mieli zwyczaj wypróżniać się gdzie popadło, w tym w miejscach publicznych, a nawet na klatkach schodowych i w mieszkaniach. Miejscowych śmieszyła ich niepowtarzalna głupota, amok w zakresie robienia zakupów i sposób ubierania się w „burżuazyjne" rzeczy. I tak u mężczyzn widać było liczne zegarki na przegubach, a nawet budziki przytroczone do pasów. Sowieckie kobiety zadawały szyku, chodząc po ulicach w halkach, pewnie będąc przekonane, że są to odświętne stroje, z dodatkiem kapeluszy lub jakichś dziwnych innych nakryć głowy robionych sposobem ze zrabowanych rzeczy. Gdy przyszły mrozy, przedsiębiorczy towarzysze przerabiali damskie biustonosze na nauszniki. Przybysze ze Związku Radzieckiego pili na potęgę. I ten zwyczaj utrzymał się do dzisiaj.

I tak np. towarzysz Zubowicz-Czugajew Pietr Pietrowicz, naczelnik Białostockiego Miejskiego Oddziału NKWD, został zwolniony ze służby dopiero wtedy, gdy nie można było z nim nawiązać kontaktu z powodu nieprzerwanego bycia w stanie upojenia alkoholowego. W dokumencie ujęto to jako „niemożność dalszego wykorzystania". Ale został on zakwaterowany w domu NKWD. Z kolei inny funkcjonariusz NKWD „dopuścił się wspólnego pijaństwa z rozpracowywanym przez siebie obywatelem i tym samym skompromitował siebie wobec kolektywu". Tego zwolniono ze służby dyscyplinarnie.

Zniszczony człowiek

Bardzo interesujące jest to, że partia ingerowała w najbardziej osobiste sprawy swoich członków. I tak swoistego rodzaju burzę w aparacie partyjnym obwodu brzeskiego wywołała sprawa 27-letniej Julii A., skierowanej w 1939 r. do pracy w obwodach zachodnich, a wykluczonej z partii w 1940 r. za uprawianie seksu. Oddajmy głos dokumentom, które wstrząsnęły miejscowym establishmentem: „Od pierwszego dnia pracy – czytamy w ściśle tajnym dokumencie partyjnym – prowadziła rozwiązły tryb życia. Będąc chorą na chorobę weneryczną, miała kontakty seksualne z wieloma mężczyznami; w rezultacie niektórzy z nich zachorowali na rzeżączkę. Po dwutygodniowym leczeniu w Słominie przyjechawszy do Iwia, zdecydowała sprawdzić, czy się wyleczyła. Wybrała sposób – mieć stosunek z mężczyzną, a potem go obserwować, czy on zachoruje, czy też nie. Zrobiła to z dowódcą kompanii D. [...]. Tow. Cz. [...], przewodniczący Iwieskiego Rejonowego Komitetu Wykonawczego, zamiast naprowadzić tow. A. na właściwą drogę życia, zaprosił ją do siebie do domu, urządził pijaństwo, miał z nią stosunek, zaraził się i w rezultacie zaraził swoją żonę" (w oryginale pisma są pełne nazwiska).

Problem seksu bardzo mocno intrygował partyjnych towarzyszy. I tak podczas zamkniętego zebrania partyjnego 9 listopada 1940 r. w Łapach (obwód »

eprasa.pl c7862e56a9

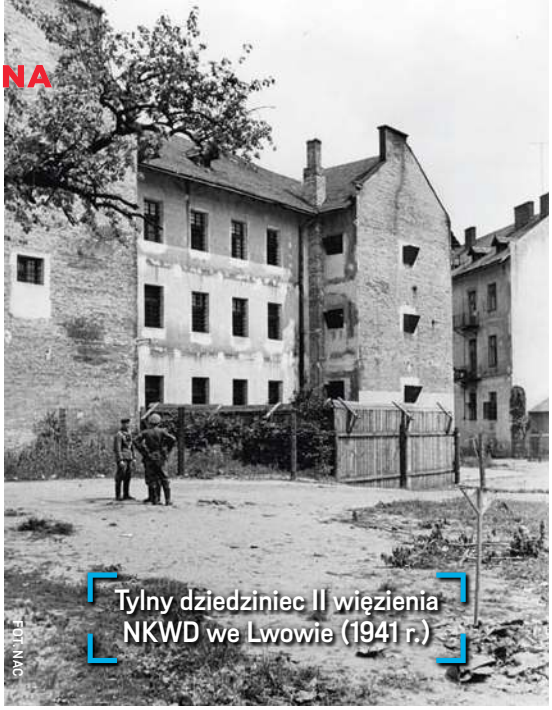
Tylny dziedziniec II więzienia NKWD we Lwowie (1941 r.)

FOT. NAC

>> białostocki) zauważono: „Ludowe Komisariaty często przysyłają tu ludzi absolutnie niepotrzebnych, aż po sprzątaczki. Przysyłają ludzi niezrównoważonych, którzy trafiając do innych warunków, puszczają się. Organizacje partyjne tych ludzi nie sprawdzają, nie pouczają, nie obserwują ich pracy. Patrzcie, nasłali do rejonu łapskiego tyle sanitariuszek, że nie ma gdzie ich podziać". Reszty można się domyślić.

Zbójeckie oddziały

Gdy wybuchła wojna sowiecko-niemiecka w czerwcu 1941 r., w kresowych lasach pojawiła się partyzantka sowiecka, która stała się postrachem miejscowej ludności. Zajmowała się ona bowiem głównie rabunkami i gwałtami. W oddziałach szerzyło się pijaństwo przekraczające granice wyobraźni. „O zaprzestaniu pędzenia bimbru był wydany rozkaz, który był podany do wiadomości partyzantów i ludności. [...]. Zmniejszyło się pijaństwo wśród partyzantów. Jednakże chociaż rzadko, jeszcze się zdarza – czytamy w dokumencie NKGB z 1944 r. – ale z tragicznymi skutkami. Tak np. w Nowy Rok [1944] niewinnie zginęli dwaj partyzanci". Autor tej informacji dyskretnie przemilczał to, że polem bitwy była ziemianka, a przyczyną bohaterskiego zgonu zapicie się na śmierć.

Również w partyzantce niekontrolowany seks prowadził do katastrofy. I tak 21-letnia Maria N., Rosjanka, podobno zwerbowana przez niemiecką żandarmerię, miała za zadanie zarażanie syfilisem partyzantów brygady Woroszyłowa w Strefie Naroczańskiej. „Wykonując zadanie, miała kontakty z 20 partyzantami" – konkluduje raport ze śledztwa.

Powszechne pijaństwo nasiliło się z końcem wojny. Mimo środków dyscyplinujących stało się plagą. Wzmagało i tak już wielką przestępczość oraz paraliżowało pracę wielu instytucji. W obwodzie lwowskim pijaństwo, a co za tym idzie i przestępczość przybrały rozmiar katastrofy nawet w pojęciu zwierzchników NKWD-NKGB. „Pijaństwo zabiera bardzo dużo czasu – czytamy w ściśle tajnym dokumencie wewnętrznym NKWD – i nie daje pracować produktywnie. Ci towarzysze, którzy zamierzają to kontynuować, mogą rozstać się z legitymacjami partyjnymi i organami NKWD".

Mamy w wielu miejscach Kresów do czynienia z masowymi naruszeniami prawa sowieckiego. Nagminnie zdarza się, że funkcjonariusze, którzy za dnia zajmowali się ochroną obywateli i mienia, w nocy ściągali mundury i przemieniali się w bandę rabunkową. Taka najbardziej znana banda, współpracująca ze strukturami partyjnymi, grasowała w Drohobyczu. Szerzyła się także samowola. W Tarnopolskiem jeden z naczelników rejonowego oddziału milicji samowolnie rozstrzelał sześć osób i kazał spalić ponad 100 domów w jednej ze wsi za to, że z jednego z domów „bandyci" ostrzelali milicjantów, inny naczelnik zgwałcił 15-latkę i „samowolnie rozstrzelał jakiegoś nieznanego obywatela" (zapewne protestującego ojca). Pełnomocnik ds. ewakuacji ludności ukraińskiej z Polski (z pow. Tomaszów) S.A. Kurinoj w 1945 r. wysłał do Kijowa, na sfałszowanych papierach, na adres żony dwie ciężarówki produktów żywnościowych oraz jedną z cennymi przedmiotami. Sprawa ta stała się głośna i trafiła do samego Nikity Chruszczowa, I sekretarza KC Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy. I mimo tego zamieciono ją pod dywan. W maju 1947 r. grupa pijanych funkcjonariuszy MGB jednego z oddziałów rejonowych na terenie tzw. Zachodniej Białorusi pobiła chłopów, raniąc z broni palnej trzy osoby. W rejonie diwińskim (obwód brzeski) II sekretarz partii prowadził „skrajnie niemoralny tryb życia", pod czym autor dokumentu rozumiał obok pijaństwa, kontakty seksualne z przygodnymi kobietami, ze środowiskiem przestępczym i chuliganami. Ukarano go naganą partyjną za „zorganizowanie grupowego pijaństwa w stołówce, w skutek czego umarł [zapił się na śmierć] tam pracownik »Zagotzierno«".

Sowieckie kresy

Pijaństwo wiązało się z „namiętnościami" po sowiecku. I tak sekretarz partii w tym samym rejonie, Baranow, w październiku 1947 r. „zorganizował pijaństwo w mieszkaniu ludowego sędziego, towarzyszki Sobol, i został nocować z przyjezdną kobietą. Rano żona tow. Baranowa wywołała skandal, wybijając okna, a następnie zastawę w mieszkaniu towarzyszki Sobol, co stało się wiadome społeczności rejonu".

Jefimczuk-Diaczuk jednak bardzo się myliła. Niewolnictwo, to dość szokujące, ale wprowadził po tysiącleciach jeden z sowieckich czynowników w latach 1947–1948. Zajął on samowolnie 3 ha ziemi i przymuszał miejscowych do pracy na zawłaszczonym polu, plony zatrzymując dla siebie. Zastępca naczelnika Mołodeczańskiego Obwodowego Zarządu MGB Wiktor Ilin żądał od państwowych instytucji, za pośrednictwem podległych mu funkcjonariuszy, spirytualiów i produktów spożywczych.

Kresy Wschodnie, ten polski matecznik, dotknęły – jak widać – trzy wielkie plagi w wymiarze moralno-etyczno-prawnym: powszechny bandytyzm, pijaństwo i rozwiązłość obyczajów. Do tego doliczyć trzeba permanentny rabunek ziem polskich i ich bezmyślną dewastację (vide osuszenie bagien poleskich, które – poza dewastacją bezcennych ekosystemów – niczego nie dało). Od 1939 r. masowo wywożono wszystko, co się dało wywieźć. Widziałem w przelocie dokument (drugi raz odmówiono mi skorzystania z tej teczki) w Moskwie, z którego wynikało, że w pewien jesienny dzień 1939 r. z małej stacji kolejowej położonej niedaleko dawnej granicy polsko-sowieckiej wyjechał pod ochroną silnego konwoju NKWD taki sobie „złoty pociąg". W kilkunastu wagonach znajdowały się różne przedmioty z metali szlachetnych, głównie ze srebra (ale też były złote monstrancje i inne przedmioty liturgiczne oraz różne wartościowe antyki i obrazy itp.). Stacją docelową była Moskwa, a adresatem Gochran (sowiecki skarbiec). Tak niestety bywa, gdy ma się „sąsiadów" z innej bajki.

eprasa.pl c7862e56a9

BŁOGOSŁAWIONA SALOMEA, PIASTÓWNA, KRÓLOWA HALICKA

SALOMEA BYŁA NAJSTARSZYM DZIECKIEM TYTUŁUJĄCEGO SIĘ WŁADCĄ KRAKOWA LESZKA BIAŁEGO I KSIĘŻNICZKI RUSKIEJ GRZYMISŁAWY. URODZIŁA SIĘ W 1211 r. I JUŻ W PIERWSZYCH LATACH ŻYCIA ZACZĘŁA ODGRYWAĆ POWAŻNĄ ROLĘ W POLITYCE

MAREK BARAŃSKI

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Na początku XIII w. pomiędzy krakowskim księciem Leszkiem a królem Węgier Andrzejem II toczył się spór o wpływy na Rusi Halickiej. W 1214 r. doszło do próby kompromisu. Obie strony się zgodziły, aby powstało królestwo halickie, jego królem miał zostać syn Andrzeja II Koloman, a królową – córka Leszka – Salomea. Miała ona poślubić Kolomana, gdy oboje staną się pełnoletni.

Plan ten przestał być aktualny już w 1216 r. Koloman musiał uchodzić z Rusi, a Leszek Biały, ojciec Salomei, popadł w konflikt z królem Węgier i utracił na jego rzecz Przemyśl oraz Lubaczów. W wydarzeniach tych Salomea nie brała udziału, jako dziewczynka pozostawała pod opieką matki w Krakowie. Jednak sytuacja się niebawem zmieniła.

Na przełomie 1218 i 1219 r. doszło do ponownego porozumienia Leszka z królem Węgier Andrzejem. W jego wyniku nieszczęsna Salomea, choć liczyła sobie tylko osiem lat, musiała opuścić matkę i udać się na Węgry. Taki był los księżniczek. Miała ona zostać żoną Kolomana. Ojciec Salomei Leszek liczył na to, że dzięki temu małżeństwu wzmocni swoje wpływy w księstwach włodzimierskim i halickim.

Na Węgrzech Salomea poślubiła Kolomana. Oczywiście na uprawomocnienie małżeństwa młodzi musieli poczekać do uzyskania pełnoletności, ale natychmiast po zaślubinach zaczęli odgrywać swe role polityczne. Już w 1219 r. Salomea wraz z Kolomanem wspierani przez wojska węgierskie i polskie wyruszyli na Ruś. Tak rozpoczęło się ich królowanie w Haliczu. Nie trwało długo. Już w 1221 r. Mścisław nowogrodzki zajął Halicz i uwięził Salomeę oraz jej męża.

Ten stan rzeczy musiał zaakceptować król Węgier Andrzej II. Uznał on panowanie Mścisława w Haliczu, zagwarantował sobie jednak, że po Mścisławie tron halicki przypadnie Andrzejowi, bratu Kolomana. Ustalono też, że wzięci do niewoli Salomea i Koloman odzyskają wolność. W układach tych nie było brane pod uwagę zdanie księcia Krakowa Leszka.

Po wyjściu z niewoli Salomea wraz z mężem wyjechali na Węgry. Tam, ponieważ młodzi osiągnęli pełnoletność, doszło do usankcjonowania małżeństwa. Jednocześnie Koloman został namiestnikiem królewskim w Chorwacji i Słowenii. Nastał spokój, więc Salomea mogła pójść do szkoły; na Węgrzech odebrała staranne wykształcenie.

W nadadriatyckiej krainie małżonkowie budowali liczne kościoły, fundowali klasztory. Niestety sielanka nie trwała długo. W 1241 r. na królestwo węgierskie uderzyli Tatarzy. Co prawda do Chorwacji nie doszli, ale Koloman ruszył do boju. Po bitwie nad rzeką Sajo zmarł z powodu zadanych mu ran.

Po śmierci męża Salomea wróciła do Polski. Tutaj zdecydowała się zostać klaryską. Obłóczyny odbyły się w 1245 r. w Sandomierzu, udzielił ich prowincjał franciszkanów Rajmund. Początkowo, mimo szat zakonnych, Salomea przebywała na sandomierskim dworze swego brata Bolesława Wstydliwego, gdyż w Polsce nie było jeszcze klasztoru klarysek. Szybko jednak książę Bolesław sprowadził pierwszy konwent zakonnic z Pragi i utworzył klasztor w Zawichoście. Przy klasztorze powstał szpital, który książę hojnie uposażył.

Zawichost nie był bezpiecznym miejscem dla zakonnic, klasztorowi zagrażały ataki Tatarów. Dlatego, za zgodą biskupa krakowskiego Prandoty, w 1259 r. siostry zostały przeniesione do Skały k. Krakowa. Tam też uzyskały nowe nadania dóbr.

Salomea, choć nigdy nie została ksienią, miała decydujący głos w sprawach majątkowych. Ona w 1267 r. uzyskała od brata przywilej zezwalający na lokację miasta Skały. Brała udział w koronacji Daniela halickiego na króla Rusi (1253), a także wspierała organizację misji franciszkańskiej mającej chrystianizować Litwę i Jaćwierz. Uczestniczyła w tworzeniu biskupstwa w Łukowie.

Salomea zmarła w 1268 r. Powszechnie była uważana za świętą, jednak jej beatyfikacja nastąpiła dopiero w 1673 r.

eprasa.pl c7862e56a9

Wybory do Sejmu Ustawodawczego, kolejka obywateli przy punkcie wyborczym Obwodowej Komisji Wyborczej nr 3, 19 stycznia 1947 r., Warszawa

KOMEDIA WYBORCZA

PODCZAS KONFERENCJI W JAŁCIE W LUTYM 1945 r. PRZYWÓDCY STANÓW ZJEDNOCZONYCH, WIELKIEJ BRYTANII I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO USTALILI, ŻE NOWO POWSTAŁY TYMCZASOWY RZĄD JEDNOŚCI NARODOWEJ (TRJN) MOŻLIWIE NAJPRĘDZEJ PRZEPROWADZI W POLSCE WOLNE WYBORY

KRZYSZTOF TARKA

W rzeczywistości polscy komuniści, mając niewielkie społeczne poparcie, odwlekali przeprowadzenie wyborów, tym bardziej że dzięki wsparciu ze strony Kremla faktycznie wywierali decydujący wpływ na rządy w powojennej Polsce. W rezultacie dopiero w listopadzie 1946 r. Krajowa Rada Narodowa wyznaczyła termin wyborów do Sejmu Ustawodawczego na 19 stycznia 1947 r.

Pierwsze po zakończeniu II wojny światowej wybory parlamentarne w kraju wywołały dyskusje w prasie emigracyjnej i na forum partyjnym. Władze na emigracji od początku nie miały złudzeń co do wyniku głosowania. Londyński „Przegląd Polski" w grudniowym numerze z 1946 r. zapowiadał, że wybory zostaną sfałszowane. Gdyby w Polsce odbyły się naprawdę wolne wybory – pisano – to „»rząd« agentów sowieckich zostałby zmieciony w ciągu godziny". Realistycznie oceniano, że „faktem rozstrzygającym w Polsce jest na razie bagnet sowieckiego sołdata".

Bez złudzeń

W ocenie rządu na uchodźstwie wolne wybory w Polsce mogły się odbyć jedynie pod warunkiem wycofania „obcych" (czyli sowieckich) sił wojskowych i policyjnych z całego obszaru Polski, a więc także z wcielonych do Związku Sowieckiego ziem wschodnich RP, „usunięcia narzuconej administracji" (w tym wypadku

FOT. EAST NEWS/ARCHIWUM SZCZECIŃSKICH

eprasa.pl c7862e56a9

chodziło o zdominowany przez komunistów i ich satelitów TRJN), dopuszczenia do wolnej i nieskrępowanej działalności politycznej wszystkich stronnictw polskich oraz wprowadzenia kontroli międzynarodowej nad wyborami. Warunki te zdaniem rządu RP były konieczne, aby „uniemożliwić terror, nadużycia i fałsze wyborcze oraz, aby wola obywateli mogła się swobodnie w głosowaniu wyrazić i być wprowadzona w życie". Jak jednocześnie podkreślono, „warunki takie w Polsce dziś nie istnieją".

U progu 1947 r. komentator londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" Aleksander Bregman przewidywał, że zbliżająca się „ponura komedia wyborów" będzie kolejnym etapem „umacniania rządów czerwonego faszyzmu" i wstępem do następnej fazy sowietyzacji. W ocenie emigracyjnego publicysty Zachód był bezradny wobec faktów dokonanych stwarzanych przez komunistów w Polsce i pozostałych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Według Bregmana jeśli jeszcze na początku 1946 r. w Londynie czy Waszyngtonie „wierzono – czy udawano, że się wierzy – w to, że wybory przyniosą Polsce zasadniczą zmianę", to rok później te złudzenia prysły.

Dla narodowców od początku było jasne, że „w systemie sowieckim nie da się zmienić układu sił politycznych za pomocą kartki wyborczej, że wybory w ustroju komunistycznym są komedią, a w naszym kraju staną się tragikomedią". „Myśl Polska", organ Stronnictwa Narodowego, krytykowała PSL za udział w wyborach. Endecy uważali, że wobec nadużyć i gwałtów, które zmieniły wybory w „ponurą parodię", należało raczej powstrzymać się od głosowania. W ich ocenie ludowcy, uczestnicząc w wyborach, legitymizowali „sfałszowany sejm", narażali też na represje najbardziej patriotyczny element, nakazując „ludziom ginąć w beznadziejnej walce wyborczej", której wynik był z góry przesądzony.

Również dla piłsudczyków „zwycięstwo" komunistów w wyborach nie ulegało wątpliwości. Podobnie jak endecy zdecydowanie negatywnie oceniali oni postawę Mikołajczyka. Na łamach swojego organu prasowego „Listy z Londynu" przewidywali, że zbliżająca się „komedia wyborcza" będzie wstępem do znacznego przyspieszenia sowietyzacji Polski, a zapewne także ostatnim aktem „nieszczęśliwej kariery politycznej" prezesa PSL w kraju.

Także socjalista Adam Ciołkosz, redaktor „Robotnika Polskiego w Wielkiej Brytanii", spodziewał się, że „blok PPR-owski" osiągnie w wyborach „walne zwycięstwo". Jak podkreślił, taki wynik wyborów będzie jednak tylko rezultatem terroru, nadużyć i fałszerstw. Socjalistyczny polityk wybory z 1947 r. przyrównywał do wyborów z lat 30. w Polsce, co świadczy o sile jego antysanacyjnych urazów (przed wyborami w 1930 r. Ciołkosz wraz z kilkunastoma politykami opozycji został aresztowany i osadzony w twierdzy brzeskiej). Jak twierdził po latach: „Sanacja znalazła sobie pojętnych uczniów w osobach »wodzów« bloku PPR-owskiego".

Nadzieje PSL

Spośród czasopism reprezentujących poszczególne ugrupowania polityczne na emigracji z oczywistych względów największą uwagę wyborom poświęcał ukazujący się w Londynie tygodnik „Jutro Polski", organ PSL na emigracji. Przywódcy ludowców na czele z byłym premierem Stanisławem Mikołajczykiem po zakończeniu wojny wrócili do kraju i wzięli udział w wyborach.

W ocenie ludowców z PSL, zarówno w kraju, jak i na emigracji, wybory były centralnym punktem w „bitwie" o Polskę. Ich wynik miał mieć kluczowe znaczenie dla przyszłości kraju. Wraz ze zbliżaniem się terminu głosowania ludowcy na emigracji coraz bardziej się obawiali, że wybory, podobnie jak referendum, zostaną sfałszowane. Chcąc uniknąć takiego scenariusza, przekonywali, że sukces PSL w wyborach doprowadzi do rzeczywistej normalizacji stosunków ze wschodnim sąsiadem. „Jutro Polski" twierdziło, że „rzekomy monopol PPR na dobre stosunki ze Związkiem Radzieckim jest zupełną fikcją i źle by stała sprawa współpracy polsko-radzieckiej, gdyby tylko PPR był jej wyrazem". Emigracyjny tygodnik, zaklinając rzeczywistość, dowodził: „Rządy PPR-u w Polsce utrudniają, a nie ułatwiają zbliżenie polsko-radzieckie. Interes Związku Radzieckiego w Polsce nie polega na trzymaniu siłą w sferze swoich wpływów społeczeństwa polskiego i nigdy Związek Radziecki niczego takiego nie chciał i nie żądał". Pojednawcze deklaracje ludowców niczego już nie mogły zmienić. Na Kremlu nie myślano zresztą o prawdziwym zbliżeniu ani współpracy z Polską, ale o jej wasalizacji. Dla władz sowieckich rządy komunistów były gwarancją zachowania satelickiego charakteru Polski oraz trwałości wpływów Moskwy nad Wisłą.

Sympatyzujący z Mikołajczykiem „Narodowiec" wydawany w Lens we Francji toczącą się w kraju kampanię wyborczą wykorzystał do ataku na... władze polskie na uchodźstwie. Emigracyjny dziennik oskarżał „polski" Londyn o celowe „zaostrzanie przeciwieństw między blokowcami i PSL" (komuniści i ich satelici startowali w wyborach jako Blok Demokratyczny). Wytykał „bankrutom londyńskim", że rzekomo „robili przez swoich agentów wszystko, by wybory się nie odbyły, i by »ratować« w ten sposób pozycję [prezydenta Władysława] Raczkiewicza". Kuriozalne zarzuty „Narodowca" są świadectwem politycznego zaślepienia, zacietrzewienia oraz głębokich urazów i podziałów wśród emigrantów.

A nie mówiłem...

W przededniu głosowania „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", podsumowując „krwawą kampanię", obwieszczał w tytule na pierwszej stronie: „Naród polski nigdy nie uzna tych wyborów, a wyłoniony z nich »rząd« – nie będzie jego rządem". Już po głosowaniu redakcja podkreśliła, że „oszukańcze wybory" odbyły się według ustalonego planu, a ich wynik był z góry znany i przesądzony.

W sprawie wyborów w Polsce 21 stycznia 1947 r. ponownie głos zabrał rząd RP. W deklaracji przyjętej przez Radę Ministrów podkreślono, że wybory w Polsce nie były ani wolne, ani nieskrępowane, a TRJN, nie dotrzymując przyjętych zobowiązań w sprawie wyborów, przekreślił tym samym uchwały jałtańskie. W „polskim" Londynie miano nadzieję, że rząd utworzony na podstawie takich „wyborów" nie będzie uznany przez mocarstwa. Postulowano, aby „w najkrótszym czasie" odbyły się w Polsce „prawdziwie wolne i nieskrępowane wybory". Pozostawało tylko pytanie, jak to zrobić. Apel rządu RP nie miał przecież żadnej siły sprawczej.

W ocenie Zygmunta Nowakowskiego, znanego pisarza i publicysty londyńskich „Wiadomości", Mikołajczyk wyobrażał sobie, iż przechytrzy Stalina, myślał, że zwycięstwo w wyborach było osiągalne. W rzeczywistości wielokrotnie się pomylił. Niezłomni z „polskiego" Londynu od początku nie mieli złudzeń, że wybory przeprowadzone pod rządami »

eprasa.pl c7862e56a9

» komunistów i sowiecką kontrolą mogą być wolne. „My o tej prawdzie wiedzieliśmy od dawna” – podkreślił Nowakowski. Krytykując politykę prezesa PSL, stwierdził: „Mikołajczyk zgubił nie tylko złoty róg, ale i czapkę z piór. Koń padł mu nie w podwórcu, nie u końca mety, ale daleko, daleko, u samego startu”.

Zdeklarowanymi krytykami prezesa PSL pozostali endecy. „Myśl Polska” wytykała Mikołajczykowi, że u podstaw jego decyzji leżała próba pogodzenia niedających się pogodzić sprzeczności: celów narodu polskiego i celów imperializmu sowieckiego. Bilans „tragicznego błędu” Mikołajczyka w ocenie narodowców był jednoznacznie negatywny, a on sam „osamotniony i zużyty” stał się dla walczącego narodu nieszczęściem.

Stanisław Mackiewicz, redaktor emigracyjnego tygodnika „Lwów i Wilno”, żarliwy obrońca Kresów Wschodnich, uważał „pseudowybory” z 19 stycznia za nieważne i niebyłe nie tylko dlatego, że zostały sfałszowane, ale przede wszystkim dlatego, że nie obejmowały ziem wschodnich RP. Krytykował też naiwną wiarę Polaków w Zachód. Waszyngton, a zwłaszcza Londyn, oskarżał o instrumentalne traktowanie sprawy polskiej. Nie wiązał żadnych nadziei z takim czy innym stanowiskiem państw anglosaskich wobec „makabrycznej komedii z 19 stycznia”. Snując polityczne plany na przyszłość, twierdził: „Musimy czekać na odrodzenie się Europy i wtedy dopiero zacząć gadać z Anglią”. Jak długo Polacy mieli czekać na odrodzenie się Europy, Mackiewicz nie odpowiedział.

Pozostało trwać

Mimo przegranej PSL w „pepeerowskich wyborach” ludowcy na emigracji nie mieli poczucia klęski. Paryska „Gazeta Ludowa” pisała z ironią o wynikach wyborów: „Blok odniósł zwycięstwo zaiste totalne. Jakieś skromne 95 proc. mandatów »wybrał« sobie. Ci, którym powierzył akcję wyborczą, »odstawili« swoją robotę na czysto. Zrobili ją dobrze, zbyt dobrze”. Ludowcy łudzili się nawet, że „co rozumniejsi politycy blokowi mają po tych wyborach niesmak na ustach”, bo przecież „nawet w nadużyciach, terrorze, fałszach – pisano – lepiej utrzymać pewien umiar”. Działacze PSL na emigracji pocieszali się, że sfałszowane wybory nie zakończą okresu tymczasowości w Polsce. Mieli nadzieję, że Zachód nie uznana nowego rządu wyłonionego po wyborach, że sprawą zajmie się Rada Bezpieczeństwa ONZ. W rzeczywistości, podobnie jak ogół emigrantów, byli bezsilni wobec faktów dokonanych stworzonych przez komunistów w kraju. Rychło spotkało ich również rozczarowanie ze strony Zachodu, który nie zamierzał zajmować twardego stanowiska wobec sytuacji w Polsce.

Michał Kwiatkowski, redaktor „Narodowca”, powyborczy komentarz wykorzystał do kolejnego ataku na „polski” Londyn. Jak stwierdził, same wybory odbyły się „w spokoju i porządku”, co mogło sugerować, że nie doszło do żadnych nadużyć. Dziennik ponownie skoncentrował się na szkalowaniu władz na emigracji. Wypominał „londyńczykom” zaślepienie i brak rozumu politycznego. Oskarżał emigrantów o podjudzanie do dywersyjnej działalności w kraju. Rewelacje redaktora „Narodowca” przypominały tezy komunistycznej propagandy. W nienawiści do „polskiego” Londynu prześcignął on nawet władze w Warszawie.

Ukoronowaniem wyborczej farsy było zaprzysiężenie głowy państwa. Jak donosił londyński „Dziennik Polski”, 5 lutego 1947 r. „nielegalny »sejm« wybrał nielegalnego »prezydenta«”, którym został Bolesław Bierut. Nowym premierem został Józef Cyrankiewicz z koncesjonowanej PPS.

JEŚLI RZĄDY ZACHODNIE DOPOMINAŁY SIĘ O REALIZACJĘ UCHWAŁ JAŁTAŃSKICH, TO POLSCY EMIGRANCI OCZEKIWALI ICH PRZEKREŚLENIA

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza
Codzienne pismo informacyjne Polaków zagranicą
Papież o rozdziale pomocy
Filantropia i nadużycia
Bez mętów zaufania w komisjach – Jawnie – Na ulicach patrolowanych przez samochody pancerne
Jak się odbyły oszukańcze wybory
Następny etap: Roziam w P.S.L. i likwidacja Mikołajczyka
Mocarstwa nie cofną uznania ale traktując rząd jako tymczasowy odwołają się do ONZ
Uproszczona komunikacja
Nowa nota
Obserwatory zagraniczni
Przewidywania i obawy komunistów
Czystka wśród dyplomatów węgierskich
Minister aresztowany za udział w "spisku"
300 ofiar zabłąkanej miny
Statek "Chimarra" poszedł na dno
"Wybory" i ONZ
OD REDAKCJI

Już po wyborach w „polskim” Londynie z nadzieją patrzono na zaostrzające się stosunki Zachodu ze Związkiem Sowieckim i rządem w Warszawie. Wśród emigrantów wzmogły się nadzieje na to, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie uznają ich wyniku, co doprowadzi do podważenia międzynarodowej pozycji rządu w Warszawie. Łudzono się, że sfałszowanie wyborów mocarstwa zachodnie uznają za przekreślenie umowy jałtańskiej i w konsekwencji przywrócą uznanie rządowi RP na uchodźstwie. Wbrew tym oczekiwaniom emigrantów krytyka sposobu przeprowadzenia wyborów nie oznaczała jednak zasadniczego zwrotu w stosunkach między Waszyngtonem i Londynem a Warszawą. Poza tym, jeśli rządy zachodnie dopominały się o realizację uchwał jałtańskich, to polscy emigranci oczekiwali ich przekreślenia.

Wybory styczniowe z 1947 r. przypieczętowały formalne przejęcie pełni władzy w Polsce przez komunistów. Emigranci nie byli w stanie temu zapobiec ani skutecznie przeciwdziałać. Międzynarodowa izolacja, polityczna niemoc, rozluźniająca się łączność z krajem sprawiły, że emigracja nie zdołała wywrzeć bezpośredniego wpływu na wydarzenia w Polsce ani na politykę mocarstw zachodnich. Przez następne dziesięciolecia wychodźstwo samym swym istnieniem protestowało jednak przeciwko zniewoleniu Polski.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl c7862e56a9

CHRISTIANITAS AETERNA

Obowiązki pamięci

MAREK JUREK

Wydana w czerwcu deklaracja premierów Polski i Izraela, potępiająca antysemityzm i antypolonizm, to dokument ważny. Nie uważam ani nowelizacji ustawy IPN za szczególnie przemyślaną, ani reakcji rządu na ataki, które po niej nastąpiły, za wystarczające. Jednak to, że cały ten proces zakończył się publicznym, moralnym potępieniem wrogości wobec Polski, jest jednoznacznie pozytywny.

Również samego pojęcia „antypolonizm" nie uważam za doskonałe. O wiele bardziej precyzyjne są określenia „nienawiść antypolska" i „antypolska pogarda". Są dokładniejsze, bo nie mieszają (choć nie separują) nikczemnych opinii, obojętności i zbrodni. Mają też wymiar uniwersalny, bo potępiać należy każdą nienawiść i pogardę wobec innych narodów; każdą w ogóle i każdą w szczególności.

Jednak nazwy często rodzą się same. Określenie „chrześcijanie" było pierwotnie przezwiskiem, które pierwsze pokolenie uczniów Apostołów chętnie podjęło. O Wandei (jako regionie) nikt z Wandejczyków nie słyszał jeszcze trzy lata przed wandejskim powstaniem; to rewolucja stworzyła ten departament na terenach dawnego Poitou. Przykłady można by mnożyć, bo tak bywa, że nawet niedoskonałe pojęcia zostają podjęte, jeśli (choćby przypadkowo) wyraźnie wskazują rzeczy ważne. I tak może stać się z antypolonizmem. A rzeczą studiów i prac jest rzetelny, przekonujący, przenikliwy opis, bo chodzi przecież o rzeczywistość.

Wspólnota powinna solidarnie bronić swych praw i godności. Solidarnie, choć niekoniecznie jednakowo, jednak – razem. Szkoda więc, że „Tygodnik Powszechny", który podjął ten problem jako temat numeru („TP" 3602), wyprowadził różne przejawy antypolskiej nienawiści i pogardy co najmniej na granice rzeczywistości. Marcin Napiórkowski specjalizuje się w problematyce współczesnych mitologii i tak właśnie traktuje różne przejawy wrogości antypolskiej. Zamiast faktami, które należy oceniać – zajmuje się opiniami na temat faktów i ich funkcjami, jakby były istotniejsze od samej rzeczywistości.

Zresztą i na temat samych opinii pisze chwilami rzeczy – delikatnie mówiąc – dziwaczne; na przykład, że Żydzi są „godnym naśladowania wzorem [...] budowania na arenie międzynarodowej statusu ofiary". Autor zapewne odpowiedziałby, że to nie jego opinia, ale prezentacja „funkcjonującego poglądu". Jeśli tak, to gdzie? Kto uważa Zagładę za konstrukt „zbudowany na arenie międzynarodowej"? Oczywiście nie przypisuję takiego bliskiego negacjonizmowi „poglądu" autorowi „Tygodnika Powszechnego". Ale nie zmienia to faktu, że choć to zapewne nie jest jego pogląd, to właśnie on taki „pogląd" do tej debaty wprowadza.

Marcin Napiórkowski pisze, że antypolonizm dzięki deklaracji premierów „zyskał pewną formę realności", sam zaś jest „paradoksalną ideą", „pojęciem zbudowanym przez analogię czy wręcz symetrię" i oczywiście intencjonalnym, bo urastającym „dziś do rangi jednego z najważniejszych narzędzi opisu transformacji ustrojowej, historii, kultury czy polityki". To nie jest sprawiedliwe wobec kraju, który walcząc od pierwszego dnia wojny światowej przeciw Niemcom, po jej zakończeniu został zepchnięty do rzędu pokonanych. Wobec kraju, którego martyrologium nie znalazło miejsca w powszechnej pamięci europejskiej.

Brak potępienia przemocy wobec naszego narodu, traktowanie jako drugorzędnych epizodów historii zdrady jałtańskiej, negacji polskich granic przez całe dwudziestolecie międzywojenne, zbrodni rozbiorów, wraz ze wszystkimi nieszczęściami ludzkimi, które wydarzenia te wywołały, to bardzo powszechny przykład pogardy nie tylko dla naszego kraju, ale dla samej sprawiedliwości. I nie chodzi o to, by tropić przejawy antypolskiej nienawiści czy pogardy. Ale trzeba reagować i domagać się reakcji na nie. Jeśli zakładamy, że powinna istnieć wspólna pamięć historyczna narodów, ani wyłączanie z niej cierpień Polski, ani ich pomniejszanie, ani tym bardziej tolerowanie znieważania naszej pamięci, nie może być akceptowane, również milcząco. Potępienie pogardy antypolskiej ma służyć właśnie temu, a nie – jak chce autor „Tygodnika Powszechnego" – „awansom w lidze idei".

Stalin, Roosevelt, Churchill na konferencji w Jałcie, 4–11 lutego 1945 r.

FOT. EAST NEWS/LEEMAGE

eprasa.pl c7862e56a9

„NA ŚW. SZCZEPAN KAŻDY SOBIE PAN"

BOŻE NARODZENIE W DAWNEJ POLSCE

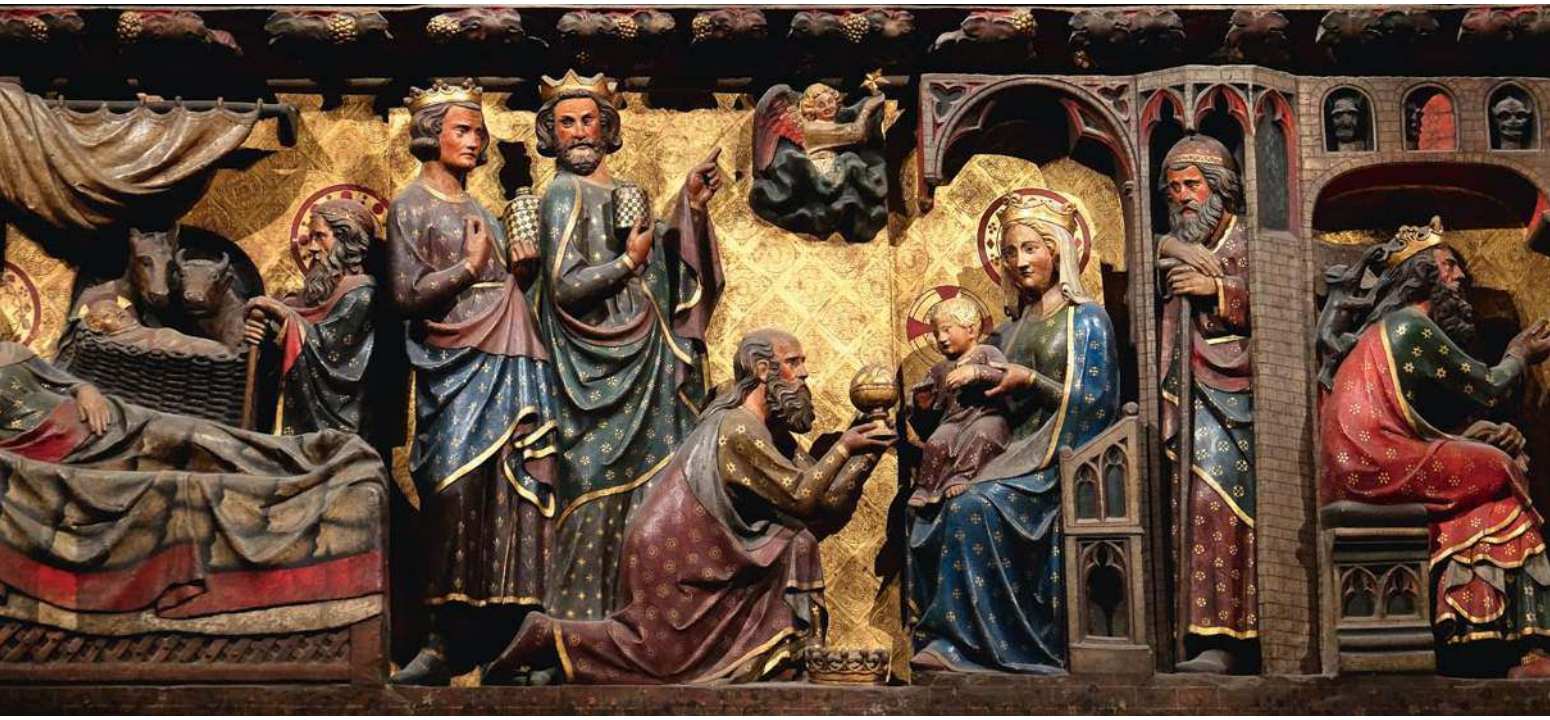

JAK WYGLĄDAŁY OBRZĘDY I UROCZYSTOŚCI ŚWIĄT NA ZIEMIACH POLSKICH? KIEDY ZACZĘTO JE OBCHODZIĆ? MIMO ŻE PAMIĄTKA NARODZIN CHRYSTUSA WPISANA JEST NA STAŁE W RYT CHRZEŚCIJAŃSKI, POCZĄTKI JEJ OBCHODÓW W ŚREDNIOWIECZNEJ POLSCE DO DZIŚ STANOWIĄ ZAGADKĘ

MACIEJ BADOWICZ

Najstarszym kalendarzem, a jednocześnie jednym z najstarszych zabytków piśmiennictwa w Polsce jest tzw. capitulare evangeliorum, w zasobach Biblioteki Katedralnej w Gnieźnie. Jest to rękopis datowany na rok 800, a więc pamiętający czasy Karola Wielkiego, władcy, który swoim mecenatem wpłynął na sposób powstawania tekstów i ksiąg w Europie, a jednocześnie reformatora kalendarza. Nie są znane okoliczności pojawienia się tego rękopisu w zbiorach gnieźnieńskich. Władysław Semkowicz sugeruje sprowadzenie kalendarza w okresie odnowy państwa Piastów przez księcia Kazimierza w XI w. Równie dobrze mógł się pojawić u samego zarania chrześcijaństwa na ziemiach polskich. Niemniej jednak przetrwał liczne zawieruchy dziejowe, a jego obecność w skarbcu katedry wskazuje, że do ziemi piastowskiej docierały również wpływy czysto rzymskie. Capitulare nie był uzupełniany o święta lokalne, co dowodzi, że nie był używany w praktyce

FOT. ZVONIMIR ATLETIC / SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl c7862e56a9

w trakcie świąt, ale stanowił świadectwo kultu pochodzące z odległego od tej części Europy Rzymu.

Więcej wiadomości na temat świąt obligatoryjnych na ziemiach polskich uzyskujemy z kodeksu Gertrudy, córki Mieszka II, żony księcia kijowskiego Izjasława. Wyróżniono w nim łącznie 59 dni, uwzględniając święta Pańskie, jak i patronów św. Wojciecha czy św. Wacława (wezwanie katedry wawelskiej). Katalog świąt nakazanych nie był zamknięty. Podlegał uzupełnieniom w sytuacji, gdy pojawiały się nowe kulty. Bywało również tak, że święta były dopisywane do kalendarza, ale nie miały znamion święta obligatoryjnego.

Święta u Piastów

Dla wczesnopiastowskiej Polski nie znamy kościelnych rozporządzeń dotyczących rytuału świątecznego, związanych z nimi nakazów i ewentualnych kar za ich nieprzestrzeganie. Najstarszym świadectwem obchodzenia świąt w państwie Piastów jest zapis u kronikarza Thietmara, mówiący o nakazaniu przez Bolesława Chrobrego wybijania zębów za jedzenie mięsa w dni postne. Kolejna wzmianka zawarta w liście księżnej Matyldy do Mieszka II informuje, że Chrobry siłą zmuszał poddanych do wyznawania wiary chrześcijańskiej. W przypadku państw włączonych do kręgu chrześcijańskiego władca neofita był jednocześnie kościelnym prawodawcą i gwarantem rozprzestrzeniania się nowej wiary. Niewykluczone, że działania Chrobrego były również formą manifestacji politycznej będącej pokłosiem współpracy z najcenniejszym sojusznikiem młodego państwa, cesarzem Ottonem III. Trzeba podkreślić, że władza piastowska narzuciła poddanym formę postu przedświątecznego o wiele bardziej rygorystyczną niż w innych krajach, które dopiero co przyjęły wiarę Rzymu, a co ważne, czyniła to skutecznie.

Ciekawe świadectwo rozszerzania się zainteresowań kręgów kościelnych problematyką roku obrzędowego na środowiska świeckie daje list dedykacyjny Matyldy lotaryńskiej, towarzyszący księdze liturgicznej Ordo Romanorum przesłanej w darze Mieszkowi II. Dedykacja ta zapowiada, że owa księga ma służyć księciu polskiemu dla orientacji w rytmie obrzędów roku kościelnego.

Obrzędy w świątyniach znajdujących się na terytorium pod kontrolą jednego władcy miały w dużej mierze odmienne kalendarze. Oprócz wydarzeń dorocznych istniały jeszcze święta związane bezpośrednio z patronem danej świątyni i lokalne uroczystości ludowe, zaadaptowane przez konkretne zgromadzenie. Spowodowało to pojawienie się wielu kalendarzy z odmiennym układem dni świątecznych dla poszczególnych rejonów kraju. Różniły się od siebie znacząco kalendarze krakowski z 1256 r. czy ołbiński datowany na lata 1270–1285.

Dawne Boże Narodzenie

Rytm świąt liturgii chrześcijańskiej pozostawał w zgodzie z wydarzeniami roku naturalnego, zwłaszcza w okresie przesileń dnia z nocą, tzw. solstycjów zimowych i letnich (odpowiednio 22 grudnia i 24 czerwca).

Święta Bożego Narodzenia przypadały na czas dawnych, pogańskich godów z okazji przesilenia dnia z nocą. W najstarszych kalendarzach chrześcijańskich, w tym w capitulare evangeliorum, jest to święto umieszczone na początku rękopisu. Ciekawym symptomem jest zapisanie tego święta w kalendarzu przed »

49/1118/F

REBIS

Najnowsza książka Piotra Zychowicza!
Kontynuacja bestsellerowych *Żydów*

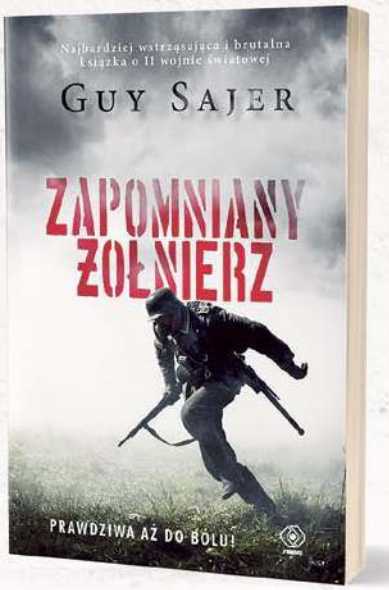

Najbardziej wstrząsająca i brutalna książka o II wojnie światowej. Prawdziwa aż do bólu!

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

REKLAMA

eprasa.pl c7362e56a9

jego wigilią (uigilia ante natale dni), a więc dążono do rozpoczynania roku od pamiątki narodzenia Chrystusa.

Wigilia dla każdego święta została ustanowiona w celu podkreślenia jego sakralności. Miał być to okres przygotowania wiernych do czasowego przejścia ze sfery profanum do sfery sacrum. Wigilia pojawia się już w II w. jako modlitewne nocne czuwanie przed świętami. Dopiero w VI w. odnotowano nakaz zachowania wigilii przedświątecznych, podobnie jak udziału w świątecznej mszy. Źródła polskie, informujące o zwyczajach wigilijnych, są dosyć ogólne. W kodyfikacji Mikołaja Trąby zapisano informację o zachowaniu postu przez osoby dorosłe. Statuty diecezjalne z XV w. zgodnie podkreślają występowanie wigilii przed świętami Pańskimi. Ciekawostką jest nieuwzględnienie wigilii przed Epifanią (6 stycznia). Rachunki z dworu Władysława Jagiełły i Jadwigi pod datą 5 stycznia w latach 1389–1390 mówią o zakupach mięsa, grochu, nabiału, chleba i prosa na potrzeby pobytu króla w Niepołomicach.

W cyklu agrarnym okres świąt Bożego Narodzenia nie stanowił specjalnej cezury. Stąd obrzędowość tych świąt została nasycona elementami prognostycznymi, wskazującymi na powodzenie lub nieszczęście związane z nadchodzącym czasem. W noc bożonarodzeniową nie pożyczano ognia, by nie wynieść szczęścia z domu. Zapraszano do domu jako pierwsze osoby uważane za przynoszące szczęście. W wigilię święta na podstawie liczby gwiazd o zmierzchu szacowano przyszłe pogłowie zwierząt w gospodarstwie. Od dnia Bożego Narodzenia przez 12 dni obserwowano pogodę rano, w południe, po południu i wieczorem, by ułożyć prognozę na nadchodzący rok. Wysiewano resztki z wigilijnego posiłku, co było śladem święcenia „dziadów" – święta ku czci zmarłych, których karmiono resztkami ze świątecznego stołu. W okresie późniejszym wystrzegano się prac, w których można było potracić „dusze", chodziło m.in. o mielenie na żarnach i motanie przędzy.

Contra Dei mandata

Święta były obłożone różnego rodzaju zakazami. Pierwszym z pewnością był zakaz pracy, zarówno na roli, jak i w miastach, rozwijany w kolejnych stuleciach. Jednak ze względu na wzrost roli devotio moderna – indywidualnej modlitwy – starano się zmniejszyć liczbę dni świątecznych na potrzebę m.in. cechów miejskich. Doskonale widać to na przykładzie rachunków budowy zamku na Wawelu z I połowy XVI w., kiedy 24 grudnia 1535 r. cieśle otrzymali zapłatę za cztery dni pracy (od 21 grudnia), a następnie pracowali od 29 do 31 grudnia.

Obowiązkiem było uczestnictwo w świątecznej mszy, co dotyczyło nawet króla. Nieprzestrzeganie groziło karą nałożoną przez instytucje kościelne, włączając w to ekskomunikę. Z obowiązku byli wyłączeni: chorzy, starcy, kobiety w ciąży i dzieci przed pierwszą komunią. Zakazywano natomiast udziału w rycie mszalnym zabójcom, włóczęgom i innym, którzy byli obłożeni karami kościelnymi. Można było podróżować w dni świąteczne, jednak wymagało to zgody opiekuna parafii na piśmie. Zwyczajowo modlono się w święta w lokalnych kościołach, najbliższych danym społecznościom. Uczestnictwo w liturgii było ściśle powiązane z przyjęciem komunii, co niekoniecznie dotyczyło niedziel. Królowa Jadwiga i Władysław Jagiełło przyjmowali komunię kilka razy w roku, przede wszystkim w święta.

Ponadto obowiązywał zakaz wszelkiej działalności świeckiej w czasie, który powinien być poświęcony Bogu. Jednym z takich przykładów było uświęcenie końca roku kalendarzowego i nadchodzących świąt Bożego Narodzenia w procesie wyboru arcybiskupa krakowskiego. Po śmierci Janisława 8 grudnia, jego następcę, Jarosława z Bogorii, namaszczono dopiero 14 stycznia następnego roku.

O ile w przypadku instytucji kościelnych sprawa wydaje się oczywista, o tyle okres Bożego Narodzenia w sytuacjach politycznych nie był do końca honorowany. Władysław Opolczyk otrzymał Ruś Czerwoną w lenno od Ludwika Węgierskiego 25 grudnia 1378 r. Należy jednak zwrócić uwagę, że święto Bożego Narodzenia było również wykorzystywane w rytuale sprawowania władzy kilka stuleci wcześniej. Przyjmuje się, że 25 grudnia 800 r. Karol Wielki otrzymał z rąk papieża insygnia cesarskie. Ponadto zmiany własności i lenn nie podlegały kwestiom kalendarzowym, ale politycznym decyzjom władcy.

Oprócz nakazu wigilijnej wstrzemięźliwości w spożywaniu pokarmów, zakazywano wszelkich zabaw i gier. Synod w Toledo w 589 r. określił zabawy nie tylko jako łamanie świątecznych norm, ale również zakłócanie oficjum, czyli odebranie możliwości pobożnego świętowania przez innych. Zakaz tańców i śpiewów w dzień święty znalazł się w zbiorach przepisów ogólnokościelnych, w tym w Dekrecie Gracjana. Ciekawym zabytkiem dotyczącym stosunku Kościoła na ziemiach polskich do tańca w dzień świąteczny jest traktat z XV-wiecznych rękopisów kazań ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej. Mowa jest w nim o Polakach oddających się tańcom i wszelkim zabawom w niedziele i dni świąteczne, co jest contra Dei mandata (przeciw nakazom Bożym). Ponadto wytykano, że niesłusznie współcześni duchowni usprawiedliwiają społeczeństwo, głosząc, że pojedynki na kopie, przybycia gości i wesela nie są grzeszne. Konstatowano, że przed południem Polacy oddają się Bogu, a po południu diabłu, strasząc potępieniem.

Statuty biskupa Andrzeja Łaskarza zakazywały w dniu św. Szczepana (26 grudnia) peregrynacji po domach wiernych i kolędowania, gdyż w dzień ukamienowania pierwszego męczennika za wiarę dzieją się złe rzeczy: morderstwa, kradzieże i rozboje. W obrzędowości był to dzień święcenia owsa i obsypywania nim kapłanów na pamiątkę męczeństwa. Z czasem stał się to dzień wypłaty dla służby i stąd powiedzenie: „Na św. Szczepan każdy sobie pan".

Sposób świętowania w lokalnych społecznościach zależał od wielu czynników. Przede wszystkim od rozwoju sieci parafialnej. W średniowiecznej Polsce odległości pomiędzy osadami a kościołem nierzadko przekraczały dziesiątki kilometrów, dlatego pojawiała się instytucja zastępstwa mszalnego – wysyłania do udziału w liturgii przedstawiciela w imieniu danej społeczności. Ponadto – od poziomu wykształcenia duchownych. Ci, podlegający diecezjom, z reguły byli słabo wykształceni, w przeciwieństwie do tych wykształconych w ramach szkolnictwa zakonnego, przede wszystkim u dominikanów i franciszkanów. Zgromadzeniu założonemu przez św. Franciszka zawdzięczamy zwyczaj budowania szopek, który pojawił się na ziemiach polskich już w pierwszej połowie XIII w., przybliżając ludności średniowiecznej Polski narodziny Chrystusa.

Tradycja obchodów Bożego Narodzenia i innych świąt chrześcijańskich rozwijała się etapami, wprowadzanymi stopniowo przez kolejnych władców, zarówno prawem, jak i osobistą postawą. W okresie późnego średniowiecza rok kościelny obejmował 90–100 dni świątecznych, włącznie z niedzielami. Wraz z upływem czasu rosła ich liczba w związku z uroczystościami poświęconymi lokalnym patronom, odpustom czy świętami bractw i cechów w mieście.

eprasa.pl c7862e56a9

Tradycje

WACŁAW LESZCZYŃSKI

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, wszyscy przygotowują się na przyjście Dzieciątka, również dzieci i młodzież w szkołach. Przeciw temu występują wrogowie Kościoła i religii.

Oto w organie Związku Nauczycielstwa Polskiego, „Głos Nauczycielski" nr 48, z 28 listopada, zamieszczono artykuł skierowany do nauczycieli. Instruuje się ich w nim, jak zmienić obchodzenie świąt w szkołach. Należy więc unikać dekorowania klas i szkoły motywami religijnymi, np. jeśli w ogóle ma być jakaś dekoracja z tego powodu, to może to być choinka, a nie szopka. Zamiast uroczystości religijnej z opłatkiem należy organizować zabawy oraz zajęcia przybliżające uczniom różne światopoglądy i wyznania, np. pogańskie starosłowiańskie czy afroamerykańskie. Zamiast jasełek i obchodzenia w klasie uroczystości świąt, należy urządzać przedstawienia i zajęcia związane z nastaniem Nowego Roku.

Pod wpływem takiego artykułu i w wyniku działań ogniw ZNP znajdą się nauczyciele, którzy dostosują się do tych zaleceń i z krzywdą oddanych im pod opiekę dzieci zrezygnują z uroczystości związanych z Bożym Narodzeniem w klasach i szkołach. Nieświadomie włączą się w ten sposób w proces zwalczania Kościoła i religii w Polsce. Podobne zalecenia wydawane były placówkom oświatowym przez komunistów podczas sowieckiej okupacji, w latach 1944–1989. Wówczas organizowane były „Akcje Noworoczne", w których zamiast świętego Mikołaja występował „Did Maroz" (Dziadek Mróz), a wszelkie emblematy religijne w szkołach były surowo zakazane.

Kilkanaście dni temu we Włoszech, w niektórych szkołach wprowadzono podobne do tych z „Głosu Nauczycielskiego" zwyczaje, motywując je uczuciami uczniów innych wyznań (muzułmanów). Przeciw takiemu postępowaniu wystąpił ostro minister oświaty Włoch. Powiedział on, że obchody świąt Bożego Narodzenia, poza wymiarem religijnym, należą do tradycji Włoch i uczniowie, również niechrześcijańscy, muszą się z tym pogodzić. Jeżeli zaś komuś tradycje narodu włoskiego nie odpowiadają, to nikt go we Włoszech nie trzyma. W Polsce Ministerstwo Edukacji Narodowej do tej pory na ten temat się nie wypowiedziało. Może uznano, że ponieważ obecnie w Polsce istnieje demokracja, a co za tym idzie wolność prasy i wypowiedzi, należy tolerować wszelkie, nawet szkodliwe, artykuły prasowe.

To, że są one produktem ZNP, nie powinno nikogo dziwić. Związek Nauczycielstwa Polskiego został zdelegalizowany w 1981 r., w stanie wojennym. Na przełomie lat 1982 i 1983 władze zaczęły tworzyć nowe, własne związki zawodowe. Jednemu z nich, w sierpniu 1983 r., nadano tradycyjną nazwę „Związek Nauczycielstwa Polskiego". Początkowo należeli do niego tylko aktywiści PZPR, później pod presją władz oświatowych zapisywali się do niego też nauczyciele. Działacze ZNP pełnili w PRL różne funkcje w PZPR i państwie (prezes był posłem do sejmu z listy PZPR). Po 1989 r. ZNP wraz z SLD zwalczał wszelkie działania rządów uznanych za „prawicowe". Na przykład występował przeciw reformom oświaty tak wprowadzającej gimnazja, jak i ich likwidację. Ostatnio zaś straszył kłamliwymi informacjami o mającym jakoby nastąpić zwolnieniu z pracy 30 tys. nauczycieli.

Prowadzona od blisko 80 lat walka przeciw Kościołowi katolickiemu wynika z, docenianej przez wrogów Polski, jego ogromnej roli państwowotwórczej i w utrzymywaniu poczucia narodowego w Polakach. Gdyby nie chrzest w 966 r., to Polska podzieliłaby los Obodrytów, potężnego Związku Weleckiego czy Prusów, o których to państwach i narodach pozostały tylko kronikarskie zapiski. Dzięki jednemu, wspólnemu dla całej Polski Kościołowi mogło dojść do jej zjednoczenia, po okresie rozbicia dzielnicowego. To pieśń kościelną „Bogurodzicę" śpiewało rycerstwo polskie przed bitwą pod Grunwaldem. To obrona Jasnej Góry z cudownym obrazem Matki Bożej dała impuls do powstania przeciw Szwedom i wygnania ich z Polski. To Kościół i religia były ostoją polskości w oporze przeciw germanizacji i rusyfikacji w okresie zaborów. To ponownie jeden Kościół katolicki był zwornikiem trzech zaborów, z jakich powstało Państwo Polskie w 1918 r. Dlatego uroczystości religijne weszły do polskiej tradycji narodowej, podobnie jak we Włoszech. Obecnie ich podważanie jest więc podważanie jest działaniem antynarodowym i antypaństwowym, wpisując się w działania „totalnej" opozycji.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c7862e56a9

SZTUKA W BLASKU CHRYSTUSA

O 80-leciu Muzeum Archidiecezji Warszawskiej z jego dyrektorem ks. kanonikiem dr. MIROSŁAWEM NOWAKIEM rozmawia Jarosław Kossakowski

Muzeum Diecezjalne w Siedlcach jubileusz swojego stulecia uświetniło niedawno niezwykłą wystawą dzieł jednego z najsławniejszych malarzy wszech czasów, mistrza hiszpańskiego manieryzmu El Greca (1541–1614). Czy ksiądz dyrektor troszeczkę im nie zazdrości tej głośnej wystawy?

Ks. kanonik dr Mirosław Nowak: Owszem, zazdroszczę, ale zazdroszczę też wszystkim innym polskim muzeom archidiecezjalnym i diecezjalnym wspaniałych, lecz mało znanych dzieł sztuki. Jeżeli powiodą się moje dalsze plany i projekty, to te właśnie rzadko publicznie pokazywane skarby kościołów i klasztorów będziemy w przyszłości prezentować na kolejnych wystawach w naszym muzeum.

Pamięta pan przecież cały cykl tego rodzaju ekspozycji w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej jeszcze w poprzedniej siedzibie przy ul. Solec 61. Rozpoczęty został w roku 1990 wystawą prezentującą „Skarby Kolegiaty Łowickiej", potem podziwiać było można „Skarby Katedry Gnieźnieńskiej", „Skarby kościołów Diecezji Łódzkiej", „Skarby Diecezji Włocławskiej" i ekspozycję „Varsavia Sacra" ukazującą zachowane skarby kościołów Warszawy. Wystawy te cieszyły się ogromnym zainteresowaniem i mam zamiar to zainteresowanie podtrzymać.

Dyrektor MAW ks. kanonik dr Mirosław Nowak (z prawej) i ks. biskup Michał Janocha, profesor UW i UKSW

FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ

Ciekawie zaaranżowane i technologicznie udoskonalone wnętrza obecnego Muzeum Archidiecezji Warszawskiej przy ul. Dziekania 1 wspaniale się nadają do tego rodzaju ekspozycji. Jednak nie można zapomnieć, że siedziba w zabytkowej części potrynitarskiego klasztoru przy ul. Solec 61 też miała niezapomniany klimat.

Nigdy nie zapominamy o historycznej ciągłości dziejów naszego muzeum. Poczynając od lat przedwojennych, kiedy z kilku połączonych kamienic na Starym Mieście przy ul. Kanonia powstała pierwsza siedziba MAW. Gromadzone już wcześniej przez księży Józefa Mrozowskiego, Wincentego Trojanowskiego i Mieczysława Węglewicza zabytkowe obiekty przechowywane były w kapitularzu archikatedry pw. św. Jana Chrzciciela. Po adaptacji domów nr 20, 22 i 24 przy ul. Kanonia, zachowującej znajdujące się tam dekoracje ścienne autorstwa Zofii Stryjeńskiej, otwarto Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Uroczystego poświęcenia nowej placówki kulturalnej stolicy dokonał 14 września 1938 r. ks. kard. Aleksander Kakowski w towarzystwie prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Opracowano już wtedy dwa poważne i wyczerpujące katalogi omawiające posiadane przez MAW zbiory tkaniny i rzeźby. Dalszy rozwój muzeum przerwała II wojna światowa. Więk-

eprasa.pl c7862e56a9

szość zbiorów została przez Niemców zrabowana i wywieziona, budynki przy ul. Kanonia w powstaniu warszawskim uległy całkowitemu zniszczeniu.

Komunistyczne władze Polski Ludowej nie były zainteresowane odbudową kościelnego muzeum?

Nie tylko nie wyraziły zgody na odbudowę domów z przeznaczeniem na kościelne muzeum, lecz nawet rewindykowane z Niemiec zrabowane kościelne

FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ

Nowa siedziba Muzeum Archidiecezji Warszawskiej mieści się w budynku dawnego Pałacu Dziekana przy ul. Dziekania 1 na Starym Mieście. Kolekcja MAW liczy obecnie ponad 20 tys. obiektów

dzieła sztuki należące przed wojną do MAW, przekazane zostały innym, państwowym placówkom muzealnym. Muzeum Archidiecezji Warszawskiej zostało reaktywowane dopiero w 1978 r. wskutek usilnych działań ks. kard. Stefana Wyszyńskiego. Władze PRL, tuż przed pierwszą pielgrzymką Ojca Świętego Jana II do Polski, udostępniły Kościołowi na cele muzealne mocno zdewastowane zabudowania dawnego klasztoru trynitarzy przy ul. Solec 61. Po szybkim, ale intensywnym remoncie datę otwarcia wyznaczono na 21 kwietnia 1980 r. Ks. kard. Stefan Wyszyński z powodu choroby nie wziął udziału w uroczystości, tak więc poświęcenia dokonał ks. bp Jerzy Modzelewski, który odczytał list chorego Prymasa. Padły tam m.in. takie słowa: „Niech odbudowana placówka religijnej kultury w stolicy wchodzi w ślady tej tradycji, które przed wojną wyznaczył jej śp. Aleksander Kardynał Kakowski. Ufam, że te skromne początki pozwolą rozwinąć Instytucję, by stała się schronieniem dla ocalałych zabytków dzieł sztuki religijnej na terenie Stolicy i Mazowsza. Poczynaniom ks. dyrektora Andrzeja Przekazińskiego z serca błogosławię, dziękując za prace już dokonane". Podpisano: + Stefan Kardynał Wyszyński. Prymas Polski.

Od 1980 r. i ja pilnie uczestniczyłem w kolejnych wernisażach i wieczorach patriotycznej poezji organizowanych w MAW, zamieszczając ich omówienia w „Słowie Powszechnym", jedynej ogólnopolskiej gazecie, która pisała w stanie wojennym o działaniach Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Ks. prałat Andrzej Przekaziński, wieloletni dyrektor muzeum, taką napisał mi dedykację w katalogu wydanym w 2000 r. z okazji dwudziestolecia powojennej działalności placówki: „Z najserdeczniejszymi podziękowaniami za 20-letnie, od pierwszych wystaw, asystowanie Muzeum i mojej pracy, i z życzeniami, aby praca dla Kościoła i na rzecz Kultury Ojczystej przynosiła nam obu głębokich satysfakcji". Jak dziś ks. dyrektor z perspektywy lat ocenia wszechstronną i prawie „podziemną" politykę kulturalną MAW w czasach stanu wojennego?

To były niezwykłe lata, sam będąc seminarzystą i studentem historii sztuki, starałem się być na wszystkich wystawach i organizowanych w MAW artystycznych wydarzeniach. Wracając do pytania, myślę, że przetrwanie myśli niepodległościowej w polskiej kulturze, po przygnębiających czasach stanu wojennego, było możliwe m.in. właśnie dzięki wystawom, wieczorom poezji i pieśni patriotycznej oraz licznym naukowym sympozjom omawiającym myśli wielkich Polaków, organizowanym wtedy w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Wieczory muzealne w 1982 r. – takie jak „Wielkie monologi romantyczne" w wykonaniu Jana Englerta czy w 1983 r. poświęcona powstaniu warszawskiemu „Wizja 44", na którym patriotyczne pieśni śpiewał Piotr Szczepanik, lub „Pamiątki" z udziałem Przemysława Gintrowskiego i Zbigniewa Łapińskiego, nie tylko przypominały historyczną przeszłość Polski, ale swoim artystycznym nastrojem budziły współczesne refleksje. Trzeba podkreślić, że w owym czasie jedynie Muzeum Archidiecezji Warszawskiej było miejscem, gdzie swobodnie występowali najwybitniejsi aktorzy i piosenkarze, m.in. Gustaw Holoubek, Krzysztof Kolberger, Jerzy Zelnik, Stanisław Sojka, Danuta Rinn czy nieoceniona Hanna Skarżanka. Tam swoje prace malarskie, rzeźbiarskie i graficzne pokazywali najsławniejsi polscy plastycy: Jerzy Nowosielski, Stefan Gierowski, Jerzy Tchórzewski oraz mieszkający w Paryżu Józef Czapski i Jan Lebenstein. W salach muzeum »

eprasa.pl c7862e56a9

» kwiat polskiej nauki dyskutował o encyklikach i homiliach Ojca Świętego Jana Pawła II i ks. kard. Stefana Wyszyńskiego. Pomysłodawcą wprowadzenia do muzealnych sal aktorów i piosenkarzy był błogosławiony męczennik ks. Jerzy Popiełuszko, aktywny współorganizator artystycznych wydarzeń w MAW.

Wtedy też powstało kilka poważnych kolekcji współczesnej polskiej sztuki, które do dziś są atrakcją MAW.

Była taka niepisana tradycja, że każdy prezentujący swoje obrazy artysta zostawiał w muzeum jakieś swoje dzieło. Dzięki temu dysponujemy obecnie bardzo ciekawą kolekcją wyjątkowego malarstwa polskiego lat 80. i 90. XX w., które cały czas jest analizowane nie tylko pod względem artystycznym, ale i społecznym oraz religijnym.

Po 35 latach działalności na Powiślu i po przejściu ks. prałata Andrzeja Przekazińskiego na emeryturę Muzeum Archidiecezji Warszawskiej znalazło się w nowej siedzibie na Starym Mieście przy ul. Dziekania 1. To nie była chyba prosta operacja?

Jeszcze w czasie działalności Muzeum przy ul. Solec 61, w latach 2008–2015 w ramach dużego projektu „Skarbiec Dziedzictwa Kultury – Bazylika Archikatedralna i Muzeum Archidiecezji Warszawskiej", rozpoczęliśmy adaptację budynku dawnego Pałacu Dziekana na Starym Mieście na cele muzealne. Jesienią 2015 r., po częściowo zakończonych pracach przy wyposażeniu nowej placówki we wszystkie udogodnienia dla niepełnosprawnych (windy) i w techniczne nowości, zbiory MAW z Powiśla zostały przewiezione na ul. Dziekania. Uroczystego poświęcenia nowej siedziby Muzeum, którego już wcześniej zostałem dyrektorem, dokonał ks. kard. Kazimierz Nycz 18 listopada 2015 r. Zaczęliśmy powoli przebudowę podziemia na ekspozycję muzealnych drogich sprzętów liturgicznych, które dziś prezentowane są w pomieszczeniu zwanym odtąd „Skarbcem" w estetycznych, przeszklonych gablotach ze specjalną konstrukcją świetlną. Cała kolekcja MAW liczy obecnie ponad 20 tys. obiektów i zajmuje 1,2 tys. m². powierzchni na trzech kondygnacjach, na których prezentowana jest tylko niewielka część całości. Zbiór tworzą tkaniny liturgiczne, złotnictwo, rzeźba, malarstwo, rysunek, grafika i rzemiosło artystyczne. Są to dzieła sztuki zarówno sakralnej, jak i świeckiej.

Uroczyste otwarcie Muzeum Archidiecezji Warszawskiej w 1938 r. Od prawej abp Aleksander Kakowski i prezydent RP Ignacy Mościcki

FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ

Te bogate zbiory, uzupełniane nowymi darami i nabytkami, stanowią ekspozycje stałe. MAW organizuje też głośne wystawy czasowe, które, tak jak niedawna prezentacja obrazów Zdzisława Beksińskiego, wzbudzają duże zainteresowanie i dyskusje w różnych środowiskach.

Na wystawy czasowe przeznaczony jest cały parter budynku, ekspozycje stałe zaś zajmują kondygnację podziemną i pierwsze piętro. Od czasu otwarcia Muzeum dla szerokiej publiczności w 2016 r. zorganizowaliśmy 17 wystaw czasowych, w tym tak głośne jak pokaz rzeźb prof. Gustawa Zemły „Wrota Miłosierdzia", prezentacja rysunków Józefa Czapskiego, religijne realizacje Marii Hiszpańskiej-Neumann czy monumentalna wystawa „Sztuka Krzyża. Krzyż w Sztuce", we współpracy z Galerią Roi Doré z Paryża, podobnie jak wystawę malarstwa Zdzisława Beksińskiego.

Muzeum realizuje też bogaty program edukacyjny: lekcje muzealne, spotkania Festiwalu Nauk, Noc Muzeów, seminaria, cykle wykładów o sztuce, spotkania autorskie, wieczory poetyckie, koncerty. Staramy się zawsze, by nasze wystawy zbliżone były do sacrum, ale też stawiały pytania nurtujące współczesnych Polaków.

Ksiądz dyrektor jest z wykształcenia historykiem sztuki z doktoratem w tej dziedzinie. To zapewne determinuje w dużej mierze kierunek naukowej i muzealnej działalności placówki. Z pewnością także liczni księża, bibliotekarze, archiwiści, historycy mają na nią jakiś wpływ...

Z największą pokorą i skupieniem zawsze słuchałem słów zmarłego w 2008 r. wybitnego historyka sztuki, ks. prał. papieskiego, prof. Andrzeja Lufta, wykładowcę i dyrektora biblioteki Seminarium Duchownego św. Jana w Warszawie. Bardzo ważne dla mnie są też uwagi ks. biskupa Michała Janochy, również historyka sztuki i profesora Uniwersytetu Warszawskiego oraz Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Stale rozmawiamy o muzealnych problemach z ks. kard. Kazimierzem Nyczem. Muzeum Archidiecezji Warszawskiej cieszy się więc stałym zainteresowaniem i opieką hierarchów Kościoła w Warszawie.

Czy na zakończenie rozmowy może ks. dyrektor powiedzieć kilka słów o planowanych na najbliższe miesiące wystawach?

Jak już mówiłem, mamy w Muzeum kilka świetnych kolekcji polskiego malarstwa współczesnego, ale ich twórcy już od paru lat nie żyją. Z okazji 20. rocznicy śmierci chcemy przypomnieć takie postacie jak prof. Jerzy Tchórzewski czy Jan Lebenstein. Ich wspaniałe, religijne obrazy zawsze będą chlubą naszych zbiorów. ■

eprasa.pl c7862e56a9

Roger Moorhouse, „Trzecia Rzesza w 100 przedmiotach", wydawnictwo ZNAK

„Czy mój podpis jest wystarczająco wyraźny dla Was?" – takie pytanie Józef Stalin miał zadać ministrowi spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy Joachimowi von Ribbentropowi chwilę po złożeniu podpisu na mapie, która ustalała przebieg granicy po przyszłym rozbiorze Polski dokonanym przez Sowietów i Niemców we wrześniu 1939 r. Ta mapa jest jednym ze 100 przedmiotów związanych z historią Trzeciej Rzeszy, które w swojej książce opisuje Roger Moorhouse.

Dzieło brytyjskiego historyka, noszące tytuł „Trzecia Rzesza w 100 przedmiotach", już samym swoim konceptem rodzi pytanie o powagę. Jak można historię jednego z najstraszniejszych tworów państwowych sprowadzić do zbioru symbolicznych przedmiotów? Jednak książka Moorhouse'a nie jest po żadnej mierze próbą sprowadzenia tragedii II wojny światowej i poprzedzających jej czasów nazistowskiego terroru w Niemczech do jakiegoś zestawu przedmiotów materialnych. I nawet te wyglądające na najbardziej absurdalne, które znajdujemy na kartach książki, nie ujmują dziełu powagi w podejściu do dramatu opisywanych czasów.

Już w przedmowie do polskiego wydania „Trzeciej Rzeszy w 100 przedmiotach" Moorhouse dystansuje się od tego typu oskarżeń. Pisze o tym, jak dotkliwie Polska ucierpiała z powodu działań niemieckiej Trzeciej Rzeszy. Stwierdza też, że nie należy patrzeć na państwo Hitlera inaczej niż jak na „brutalnego i krwawego oprawcę". Zaznacza, że forma, którą wybrał do swojego dzieła, jest po prostu próbą opowiedzenia historii hitlerowskich Niemiec przy użyciu nowego narzędzia.

Moorhouse oddaje łamy swojej książki opisowi przedmiotów, które były narzędziami polityki, miały konkretny, wymierny wpływ na tworzenie się historii nazistowskich Niemiec: na propagandę państwa Hitlera, sposób kontroli niemieckiego społeczeństwa, uciemiężenie narodów okupowanych przez niemiecką armię, zniszczenie Europy, a w końcu na tragedię Holocaustu.

Nie jest to opowieść – mówiąc trywialnie – o kalesonach Rudolfa Hessa czy grzebyku do wąsów Adolfa Hitlera. Trudno jest doszukać się w konkretnej realizacji Moorhouse'a jakiejkolwiek chęci spłycenia tematu. Autor charakteryzuje w ten oryginalny sposób dzieje Trzeciej Rzeszy, zwracając uwagę na kluczowe szczegóły wnętrza nazistowskiego świata. Każdy z opisanych przez niego przedmiotów to osobna historia składająca się na obraz przerażającego państwa, które nieodwracalnie zmieniło bieg historii znanego nam świata. Moorhouse odsłania w ten sposób tło polityczne i problemy społeczne, które konstytuowały zbrodniczy reżim, szczegół po szczególe odkrywa i rekonstruuje świat Hitlera, Göringa, Himmlera, Goebbelsa i innych wodzów, ideologów i dygnitarzy narodowego socjalizmu w Niemczech.

Dzięki poszczególnym przedmiotom poznajemy najciemniejsze zakamarki niemieckiej machiny śmierci. Pojawiają się oczywiście obrazy, które widział każdy, kto choć pobieżnie zna historię II wojny światowej. Na kartach książki znajdziemy bramę z obozu Auschwitz-Birkenau, przerażający profil stahlhelmu noszonego przez Wehrmacht i Waffen-SS, pistolet maszynowy MP 40 („Schmeisser"), pistolet Luger czy myśliwiec Messerchmitt Bf-109. Ale jest tam też opowieść o aparacie fotograficznym Leica, który ułatwił nazistowskiej propagandzie tworzenie obrazów przemawiających do niemieckich umysłów.

Najważniejsza jest jednak próba pokazania przez Moorhouse'a przerażającej historii Trzeciej Rzeszy również poprzez takie elementy jak zdjęcie łóżka ze szpitala psychiatrycznego. To łóżko jest symbolem zbrodniczej Akcji T4, w wyniku której życie straciły dziesiątki tysięcy osób skazanych przez reżim na unicestwienie jako „zbędne" w nowym, wspaniałym świecie tworzonej przez nazistów Tysiącletniej Rzeszy. To na takim łóżku spały przed śmiercią chore psychicznie dzieci, którym Niemcy odmówili prawa do życia – nie było dla nich miejsca w „raju" Adolfa Hitlera. ■

TOMASZ KARPOWICZ

42/0918/F

eprasa.pl c7862e56a9

W PRZEDEDNIU „KRWAWEJ NIEDZIELI" 11 LIPCA 1943 r., KIEDY UKRAIŃCY ZACZĘLI MORDOWAĆ POLAKÓW GROMADZĄCYCH SIĘ NA MSZACH W KOŚCIOŁACH W PORYCKU, KISIELINIE, CHRYNOWIE CZY ZABŁOĆCACH, ZGINĄŁ MŁODY POETA I ŻOŁNIERZ ZYGMUNT JAN RUMEL

ŚMIERĆ POETY NA WOŁYNIU

MAREK KLECEL

Zapowiadał się już przed wojną jako świetny talent liryczny, zauważony przez Leopolda Staffa i Jarosława Iwaszkiewicza. Podobnie jak jego rówieśniczka poetka Krystyna Krahelska, pochodził z okolic Krzemieńca (jego ojciec był osadnikiem wojskowym na Wołyniu). Skończył słynne Liceum Krzemienieckie i kontynuował w swej twórczości poetycką tradycję „szkoły ukraińskiej" Słowackiego i Malczewskiego. W jego utworach przeważała liryka osobista, są też w nich obecne motywy historyczne i patriotyczne (trzy większe poematy o powstaniu styczniowym). Podwójne niejako przywiązanie do ziemi wołyńskiej wyraził w wierszu „Dwie Matki":

Dwie mi Matki-Ojczyzny
hołubiły głowę
Jedna grzebień bursztynu
czesała we włos
Druga rafy porohów piorąc koralowe
Zawodziła na lirach dolę
ślepą – los [...]
Dwie mnie Matki-Ojczyzny
wyuczyły mowy
W warkocz krwisty plecionej
jagodami ros,
Bym się sercem przełamał bólem w dwie połowy,
By serce rozdwojone płakało
– jak głos...

A w wierszu „Wołyń" wyraził ten związek bardzo już konkretnie i szczegółowo:

Kocham długie pagóry
złotej pszenicy i żyta,
Gryki miodem pachnące
i pszczelny zapach pasieki,
Południe gorącem zawisłe
w płachtach sinego błękitu,
Daleki, senny widnokrąg,
zasnuty chmurami jak mlekiem. [...]
Jakże do ciebie nie tęsknić,
ziemio sina
w poranki, a złota,
najzłocistsza wieczorem,
ujęta w dróg gliniastych
widlate ramiona
lub białą linią szosy
przekrajana wczoraj...
Jakże do ciebie nie tęsknić,
kiedy w oczach staje
Dzień roześmiany słońcem,
słomą kryte chaty
I ponad modły ludu wzniesiony
Poczajów...

Większość wierszy powstawała już w czasie wojny. W jednym z pierwszych, „Zajazd" z września 1939 r., jest już zapowiedź nadciągającej grozy, powszechnego zniszczenia i śmierci:

Zajechali nocą zbrojni przed dwór –
toporami wyrąbali wrót zwór [...]
Sienią w sień – cieniem w cień
– druga sień –
rąbać sień! Rąbać cień! Rąbać w pień!
Cień już padł – sieni dwie
– komnaty trzy!
Krwawy ślad... Jakiś krzyk!...
Iskier iskry!
Oknem w sad! Ratuj! Mord... Dalej bór...
Zajechali nocą zbrojni przed dwór...

Zapewne jeszcze na początku wojny Rumel wierzył w przyjazne współżycie Polaków i Ukraińców, mających wspólnych wrogów. Był zwolennikiem pojednawczej polityki ukraińskiej wojewody Henryka Józewskiego. Szybko jednak musiał zmienić pióro na karabin, z poety stać się żołnierzem jak wielu poetów żołnierzy czasów wojny.

Początek ludobójstwa

Od początku 1943 r. trwała systematyczna akcja eksterminacji Polaków przez Ukraińską Powstańczą Armię pod okiem okupantów niemieckich. Do czerwca tego roku wymordowano w bestialski, barbarzyński sposób ok. 10 tys. Polaków, także kobiet, dzieci i starców, we wsiach, w miasteczkach i osadach całego Wołynia. Ludność polska była zdana na obronę

FOT. LOWDOWN/WIKIPEDIA/CC-BY-SA 3.0; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c7862e56a9

własną, oddziały Armii Krajowej dopiero się tworzyły, konspiracja była rozbita wcześniej podczas okupacji sowieckiej. W tej sytuacji powstała różnica stanowisk we władzach podziemnych wobec UPA. Mimo trwających od miesięcy mordów na Polakach okręgowy Delegat Rządu uważał, że trzeba się z Ukraińcami porozumieć, wciągając ich do współpracy przeciw Niemcom. Natomiast dowódca AK na Wołyniu płk Kazimierz Bąbiński „Luboń" uznał, że rozmowy z Ukraińcami do niczego nie prowadzą, że trzeba z nimi walczyć, co okazało się słuszne kilka miesięcy później.

Ukraińcy byli podstępni. Po wcześniejszych rozmowach zgodzili się w marcu 1943 r. w osadzie Dominopol w powiecie włodzimierskim na taki wspólny oddział partyzancki, który miał walczyć z Niemcami. Zwerbowano do niego ok. 100 młodych polskich ochotników. W nocy z 10 na 11 lipca polskich partyzantów podstępnie wyprowadzono do lasu i rozstrzelano. Następnie oddział OUN UPA otoczył śpiącą jeszcze osadę i wymordował ok. 200 Polaków. Jeden z uczestników tego mordu Danyło Szumuk pozostawił bardzo wymowną i szczerą relację z tej akcji: „Dominopol otoczyliśmy około dwunastej, z dowódcą oddziału i całą świtą podeszliśmy do polskiego sztabu. Porucznik spojrzał w okno i szybko zorientował się w sytuacji, lecz nie miał wyjścia i otworzył drzwi. Zastrzeliłem go na progu. Kapitana zastrzeliłem w łóżku, a maszynistka wyskoczyła przez okno i tam ją zastrzelili nasi chłopcy. W międzyczasie dowódca oddziału wystrzelił z rakietnicy, dając w ten sposób sygnał, że sztab zlikwidowany i można zaczynać. Wówczas nasi chłopcy zaczęli hulać po całej wiosce. Do rana żaden Lach nie został żywy".

Tej samej nocy Zygmunt Rumel „Poręba" jako pełnomocnik Delegatury Rządu i dowódca VIII okręgu Batalionów Chłopskich na Wołyniu oraz Krzysztof Markiewicz „Czart", nie znając jeszcze całej sytuacji, udali się na rozmowy z przedstawicielami UPA. Uczynili to z pełnymi honorami wobec drugiej strony, w pełnym umundurowaniu i bez broni. Nie wiadomo, jak Rumel zginął. Znając bezprzykładne okrucieństwo Ukraińców wobec polskiej ludności, można podejrzewać, że nie pozwolono mu zwyczajnie umrzeć, że zginął w męczarniach. Prawdopodobnie, według jednego ze świadków, został rozerwany końmi.

W przededniu śmierci miał wygłosić swoją parafrazę Modlitwy Pańskiej, spisaną później przez świadka:

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie – spójrz na umęczoną polską ziemię, zbroczoną krwią od krańca do krańca. [...]

Ale nas zbaw ode złego. Od wroga na polskiej ziemi, od dalekich śniegów Sybiru, od dróg tułaczych wysiedleńców, od śmierci na lądzie, morzu i powietrzu, od zdrady własnych braci.

Amen. Niech się tak stanie, byśmy na polskiej ziemi stali się znów gospodarzami. Byśmy oparli się o góry i morze. Byśmy mogli w Twoim słońcu chlebem karmić głodne rzesze. Sprawiedliwy ład wprowadzić w sprawiedliwej Polsce. Niech się tak stanie, byśmy wolnymi Polakami byli, o Panie!"

Krwawe lato 1943 na Wołyniu

Później nastąpiły najstraszliwsze dni dla polskiej ludności Wołynia. 11 lipca, gdy prawdopodobnie Zygmunt Rumel w męczarniach zakończył życie, oddziały UPA napadły na 85 miejscowości w powiecie włodzimierskim i na 11 w powiecie horochowskim. Najbardziej bezwzględne i zaskakujące były napady na kościoły w czasie trwania mszy, gdy zbierało się tam najwięcej wiernych. Ukraińcy nie mieli najmniejszych zahamowań w mordowaniu sąsiadów w miejscach dla nich najświętszych. Przeciwnie, jak widać, wykorzystywali je bezwzględnie. W Porycku, mieście założonym przez zasłużoną rodzinę Czackich, których szczątki spoczywały w krypcie zbudowanego przez nich kościoła, Ukraińcy wtargnęli do tegoż kościoła w czasie południowej mszy. Zaczęli strzelać z karabinów do wiernych siedzących w ławkach. Według słów jednego z uczestników napaści kościół został wcześniej otoczony, tak że wszyscy, którym udało się z niego uciec, byli zabijani na miejscu. W Porycku zginęło wtedy ponad 220 Polaków.

W Kisielinie oddział UPA otoczył kościół podczas takiej samej mszy. Napastnicy czekali, aż ludzie zaczną wychodzić po jej zakończeniu. Wtedy zaczęli strzelać do wychodzących. Część ludzi zdążyła się cofnąć do kościoła i tam zorganizowała obronę w bocznej kaplicy oraz w korytarzu łączącym kościół z plebanią. Obrona była na tyle skuteczna, że dotrwali do zmierzchu, kiedy Ukraińcy zmuszeni byli przerwać atak i wycofać się z miasta.

Napady na kilkadziesiąt innych miejscowości trwały przez cały lipiec i sierpień, przybierając rozmiary jakiegoś obłędnego szału mordowania, a przedtem pastwienia się nad ofiarami do tego stopnia, że nie chodziło już o zabicie, unicestwienie (rzekomego) wroga, ale o zadanie mu przed śmiercią najcięższych tortur, cierpień, męczarni. Jeden z uczestników oddziału UPA Arsenij Bożewskij mówił wprost: „W okresie służby w UPA osobiście zabiłem 15 osób. Pamiętam, w lipcu 1943 roku przybył do byłej posiadłości hrabiego Koszewskiego, gdzie mieszkało około 100 Polaków, których zlikwidowaliśmy bezlitośnie przy użyciu broni palnej i białej. Zlikwidowaliśmy całe rodziny, nie oszczędzając starców, kobiet i dzieci. Dzieci płakały, kobiety – matki prosiły, aby zostawić ich dzieci przy życiu. Ale nie zwracaliśmy na te prośby uwagi i zabijaliśmy je, używając do tego broni i noży. Osobiście zastrzeliłem z karabinu w tej rozprawie siedmiu ludzi". Dużo częstsze, według słów innego uczestnika, było to, że „po zwierzęcemu zamęczono dużą liczbę ludności polskiej", zabijając nożami i siekierami, obcinając kończyny, rozbijając czaszki, wypruwając wnętrzności, zakopując żywcem do ziemi. Oblicza się, że tylko w lipcu 1943 r. zginęło ok. 10,5 tys. Polaków, a więc więcej niż przez całe pierwsze półrocze ludobójczej kampanii ukraińskiej na Wołyniu.

Jest więc śmierć i śmierć, różna zwłaszcza w czasach wojny. Śmierć nagła, szybka jak kula karabinowa, ale litościwa, by tak rzec, w porównaniu ze śmiercią odwlekaną zbrodniczym okrucieństwem wroga, przedłużającym się i nie do ścierpienia męczeństwem ofiar.

Zygmunt Rumel umierał zapewne tak samo jak wielu innych męczenników Wołynia. Jego koledzy po piórze, niemal rówieśnicy, poeci „pokolenia wojennego" Baczyński, Gajcy, Stroiński, Bojarski, Krahelska, wcześniej Trzebiński, umierali inaczej rok później na początku powstania warszawskiego. Oszczędzono im takiego męczeństwa, umierali w walce za wspólną sprawę. ■

Zygmunt Jan Rumel, „Wiersze zebrane", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2018

eprasa.pl c7862e56a9

RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

IPN dla Niepodległej

Jolanta Mysiakowska-Muszyńska, Wojciech Muszyński, „Architekt Wielkiej Polski. Roman Dmowski 1864–1939", IPN, Warszawa 2018; Marek Gałęzowski, Jerzy Kirszak, „Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski 1867–1935", IPN, Warszawa 2018; Grzegorz Bębnik, Sebastian Rosenbaum, Mirosław Węcki, „Wojciech Korfanty 1873–1939", IPN, Warszawa 2018; Mariusz Olczak, „Ignacy Jan Paderewski, 1860–1941", IPN, Warszawa 2018; Tomasz Panfil, „Ignacy Daszyński 1966–1936", IPN, Warszawa 2018; Tomasz Bereza, Marcin Bukała, Michał Kalisz, „Wincenty Witos 1874–1945", IPN, Rzeszów 2018

Setna rocznica odzyskania niepodległości stała pod znakiem wielu debat, konferencji i dyskusji poświęconych różnym aspektom drogi do powrotu Polski na mapy Europy oraz zasług w tym zakresie najważniejszych postaci w naszych XIX–XX-wiecznych dziejach. Wśród nich na pierwszy plan słusznie wysuwano: Romana Dmowskiego, Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego i Ignacego Daszyńskiego. Instytut Pamięci Narodowej postanowił w wyjątkowy sposób przypomnieć wkład sześciu Ojców Niepodległości w odzyskanie przez Polskę niezależności. Przygotowano albumy poświęcone każdej z wymienionych postaci. Cele serii wydawniczej trafnie zdefiniował dr Jarosław Szarek, prezes IPN: „Wydawnictwo to niech będzie przypomnieniem dla nas, ale i trwałym darem dla wszystkich pokoleń idących niepodległym szlakiem, a przede wszystkim wyrazem hołdu dla Ojców Niepodległości i wszystkich tych, którzy sto lat temu zrywali kajdany niewoli". Mimo że każdy z wydanych przez IPN albumów wpisuje się w przytoczone wyżej słowa, to jednak każdy ma także swoją wyraźną specyfikę, zarówno pod względem konstrukcyjnym, jak i w spojrzeniu na daną postać historyczną. Nie da się ukryć, że największe emocje wzbudzają tomy dotyczące Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego, którzy w największym stopniu przyczynili się do odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. oraz mieli zupełnie niemal rozbieżne wizje kształtu naszej Ojczyzny. Nie oznacza to rzecz jasna, że pozostałe cztery nie przyniosą również ożywionych dyskusji na temat zarówno zasług ich bohaterów, jak i sposobu ujęcia tematu przez autorów albumu.

Opis należy rozpocząć zatem od prac mających największy ciężar gatunkowy, czyli „Architekt Wielkiej Polski. Roman Dmowski 1864–1939" autorstwa Jolanty Mysiakowskiej-Muszyńskiej i Wojciecha Muszyńskiego oraz „Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski 1867–1935" przygotowanego przez Marka Gałęzowskiego i Jerzego Kirszaka. Autorzy obu pozycji przyjęli odmienne rozwiązania konstrukcyjne. Album o Dmowskim składa się z trzech większych części: „Niepodległościowy konspirator (1864–1905)"; „Polityk i dyplomata (1906–1919)"; „Myśliciel polityczny (1920–1939)" podzielonych na rozdziały dotyczące bardziej szczegółowych zagadnień. Zdjęcia zostały wplecione w każdą z części, tworząc właściwie komponującą się całość, na którą składają się: tekst monograficzny, ikonografia oraz trafnie dobrane cytaty zarówno z samego Dmowskiego, jak i jego admiratorów oraz przeciwników. Album autorstwa małżeństwa Muszyńskich można traktować jako spójną syntezę poglądów i drogi życiowej Romana Dmowskiego przygotowaną w przystępny sposób. Autorzy nie uciekali, co warto podkreślić, od spraw trudnych, takich jak stosunek ideologa Narodowej Demokracji do Żydów czy oskarżeń formułowanych przez jego przeciwników politycznych o rusofilię. W obu przypadkach obiektywnie wskazali na nieporozumienia interpretacyjne związane z tymi zagadnieniami, jasno zauważając, że niechęć do Żydów podyktowana była ich rywalizacją ekonomiczną z Polakami; podejście zaś do Rosji wynikało z kalkulacji polskich interesów, a nie z sympatii do zaborcy.

Odmienne rozwiązania konstrukcyjne przyjęli Marek Gałęzowski i Jerzy Kirszak, którzy biografię Marszałka i jego zasługi dla wolnej Polski przedstawili w dziewię-

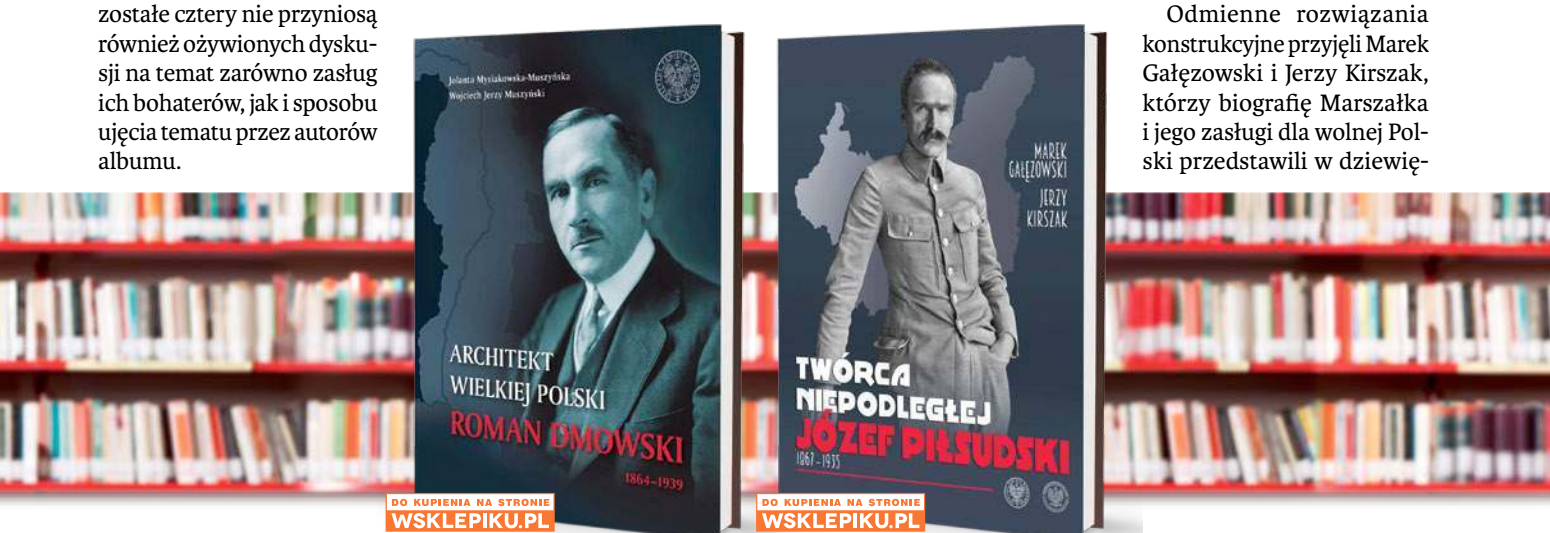

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
eprasa.pl c7862e56a9

ciu rozdziałach, po których nastąpiła prezentacja materiałów ikonograficznych: zdjęć Piłsudskiego i wielu istotnych dokumentów. Na ponad 100 stronach analizy znalazła się zwarta synteza kolejnych etapów życia Piłsudskiego, kształtowania się jego poglądów oraz działań, jakie podejmował. Autorzy swoją dość żywą narrację przeplatali obszernymi cytatami z wypowiedzi bohatera albumu oraz zdjęciami przedstawiającymi „Ziuka" w kluczowych momentach jego biografii. Jeśli chodzi o kwestie merytoryczne, wydaje się, że autorzy w nieco szerszym zakresie powinni uwzględnić głos krytyków Marszałka, szczególnie z okresu jego życia (przydałaby się także nieco bardziej wyważona ocena zamachu majowego).

Wśród czterech pozostałych albumów w moim przekonaniu najciekawszym i stojącym na najwyższym poziomie merytorycznym jest „Wojciech Korfanty 1873–1939" przygotowany przez Grzegorza Bębnika, Sebastiana Rosenbauma i Mirosława Węckiego. We wspomnianym wydawnictwie świetnie wszystko z sobą współgra: stojąca na wysokim poziomie biografia Korfantego, obraz ewolucji jego poglądów i ich społecznego odbioru, ale także właściwie dobrana ikonografia. Wiele miejsca poświęcono na rywalizację Korfantego z Michałem Grażyńskim, sanacyjnym wojewodą śląskim, który prześladował dawnego polskiego komisarza plebiscytowego w bezwzględny sposób. To najsmutniejsza część opowieści trójki autorów, pokazująca, jak za zasługi na rzecz włączenia do Polski Górnego Śląska „podziękowali mu" przedstawiciele sanacji.

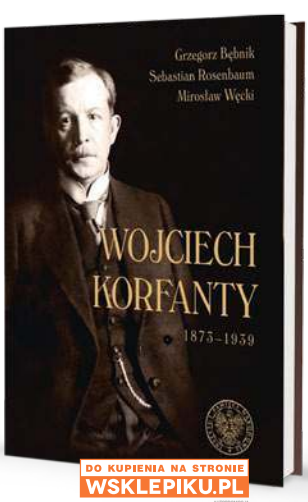

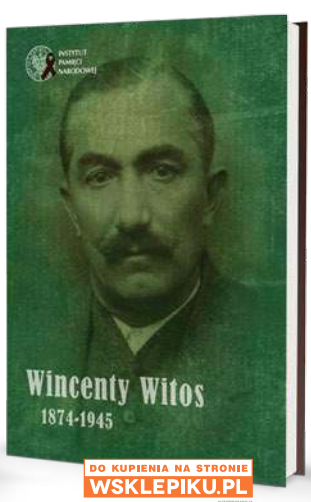

Albumy poświęcone Ignacemu Paderewskiemu oraz Ignacemu Daszyńskiemu pod względem rozwiązań graficznych i prezentacji ikonografii prezentują się doskonale. Można mieć jednak zastrzeżenia co do ich konstrukcji i zawartości merytorycznej. W przypadku wydawnictwa przygotowanego przez Mariusza Olczaka zabrakło większego pogłębienia biografii wybitnego artysty i męża stanu. Wprowadzenie dotyczące jego działalności artystycznej i patriotycznej liczy zaledwie 15 stron i aż prosi się o rozszerzenie opisu wspaniałej międzynarodowej kariery pianisty oraz jego roli jako premiera rządu i ministra spraw zagranicznych. Autorzy wstępu nie ustrzegli się również pomyłek merytorycznych, Paderewski nie był „pierwszym delegatem wersalskim", gdyż tak tytułowano Romana Dmowskiego. Należałoby także zdecydowanie pogłębić opis powodów rezygnacji Paderewskiego z funkcji rządowych, gdyż były one znacznie bardziej skomplikowane, niż opisali to autorzy wprowadzenia. Największym atutem albumu poświęconego artyście jest niewątpliwie doskonała ikonografia pochodząca głównie ze zbiorów AAN, bardzo dobrze dobrana do kolejnych etapów jego życia. Szczególną uwagę należy zwrócić na wyjątkowy zbiór karykatur, rysunków i plakatów z podobizną Paderewskiego.

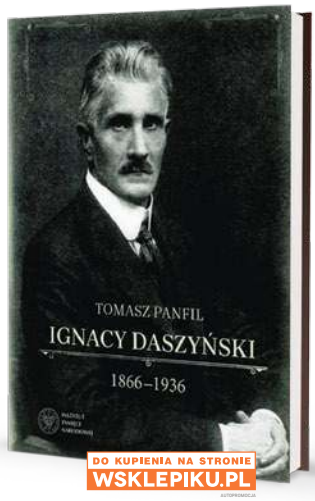

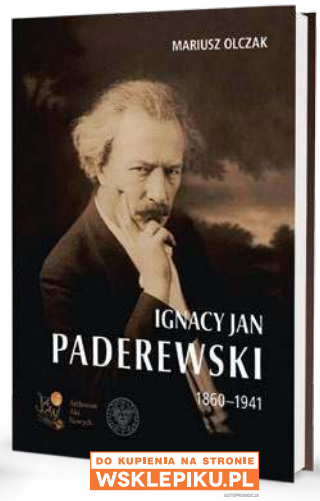

Tomasz Panfil w wydawnictwie poświęconym Daszyńskiemu dokonał właściwej syntezy jego osiągnięć, trafnie dobierając do tego odpowiednią ikonografię. Wydaje się jednak, że treść jest nieco zbyt rozdrobniona, gdyż cztery główne części podzielono na wiele mniejszych rozdziałów. Sądzę, że album zyskałby, jeśli autor dodałby więcej cytatów zwolenników i przeciwników Daszyńskiego.

Najstarszym z serii albumów wydanych przez IPN jest „Wincenty Witos 1874–1945" mający obecnie swoje drugie, nieco odświeżone wydanie, a przygotowany przed laty przez rzeszowski oddział IPN. Mimo że powstał w 2010 r., broni się pod względem walorów zarówno merytorycznych, jak i ikonograficznych. Składa się z czterech większych części opracowanych przez Marcina Bukałę, Tomasza Berezę i Michała Kalisza, podzielonych w sposób chronologiczny.

Podsumowując treść sześciu albumów, zarówno pod względem merytorycznym, jak i ikonograficznym, jest niezwykle ważnym wkładem IPN w świętowanie doniosłej rocznicy 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Seria wydawnicza, której pomysłodawcą był prezes IPN, powinna w istotny sposób przyczynić się do rozpropagowania drogi życiowej, poglądów i przede wszystkim zasług w walce o wolną Polskę sześciu wybitnych mężów stanu – Ojców Naszej Niepodległości. Dodam, że pamiętając o autorach prac, należy również doceniać walory rozwiązania graficzne przygotowane przez zespół wydawnictwa IPN, dzięki czemu albumy przybliżają dzieje postaci kluczowych dla odzyskania niepodległości w sposób niezwykle atrakcyjny.

REKLAMA

31/1217/F

eprasa.pl c7862e56a9

TRZEBA, BY WCIĄŻ BYŁO SŁYCHAĆ „GŁOSY"...

Z **BOHDANEM URBANKOWSKIM** rozmawia Hubert Musiał

W „Głosach" stworzył pan przejmujący obraz obozu zagłady. Po co wspominamy? Nie łatwiej zapomnieć, niż rozdzierać rany?

Bohdan Urbankowski: Nie tyle my wspominamy ich, ile oni nam coś przekazują. Każdy człowiek jest skarbonką, wartości mogą się w nim ujawniać lub nie, a ujawniają się wyłącznie w działaniu. Kod kulturowy. A doświadczenia obozowego nie wolno marnować. Obozy zagłady pokazały i wciąż nam pokazują człowieczeństwo w pigułce. Że choć warunki były o wiele trudniejsze, możliwe były patriotyzm, życie religijne. Zapomnienie po prostu okrada nas z tego wszystkiego.

Podobno zanim napisał pan „Głosy", musiał zrewidować swój światopogląd...

Żartuję czasem, że na własny użytek dokonałem przełomu w polskiej filozofii. Stało się to jeszcze przed moją pierwszą wizytą w Buchenwaldzie [w 1968 r. autor opowiada o niej na płycie dołączonej do nowego wydania „Głosów" – przyp. red.]. Sprowokowany przez Zygmunta Baumana zdaniem, że „coś takiego jak polska filozofia nigdy nie istniało", wdałem się z nim w spór i przygotowując się do decydującego pojedynku, zająłem się myślą Brzozowskiego, Kamieńskiego, Cieszkowskiego i Libelta. Wtedy też odkryłem, że chcąc powiedzieć coś o filozofii jakiejś epoki, trzeba wysłuchać nie jednego czy dwóch głównych filozofów. Pełny obraz może bowiem stworzyć dopiero suma dokonań jednostkowych wszystkich myślicieli

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE BOHDANA URBANKOWSKIEGO

eprasa.pl c786265

albo – lepiej – ich iloczyn. Przecież nie da się tak po prostu dodać do siebie racjonalizmu Hegla, filozofii praktyki Cieszkowskiego i filozofii wyobraźni Libelta. Oczywiście dzięki temu pojawiają się nowe skojarzenia, wartości, ale te nierzadko przeciwstawne idee, zamiast wzajemnie się znosić, mnożą się, tworząc coraz to dokładniejsze hipotezy, na wyższym poziomie, z którego widać więcej.

Był jeszcze jeden ważny powód powrotu do romantycznych filozofów, kiedy Marzec dał nam w kość. Nie fizycznie, bo jako jeden z „kulturystów z Kickiego" to ja dawałem popalić gliniarzom. Po wszystkim jednak przyszło poczucie ideowej klęski, niemal próżni. Wraz z grupą przyjaciół z Manifestu Nowego Romantyzmu szukałem wtedy odpowiedzi na pytanie, jak uchronić się przed nihilizmem. I znalazłem ją właśnie u Brzozowskiego i Libelta.

Ale co to ma wspólnego z obozami zagłady?

W gruncie rzeczy filozofia, podobnie jak poezja, jest systemem hipotez i metafor, choć posługuje się sformułowaniami z jednej strony uboższymi, z drugiej – bardziej precyzyjnymi. Uznając, że obóz był światem w miniaturze, zastosowałem podobną taktykę. Bohaterowie „Głosów" mają więc różnego rodzaju optykę wynikającą czy to z ich charakteru, czy to z życiowych doświadczeń, ale każdy z nich swoimi poglądami wzbogaca wiedzę o człowieku, o sensie życia. Żeby powiedzieć prawdę o doświadczeniu obozu, nie mogłem narzucić określonego, politycznego czy religijnego, punktu widzenia – musiałem stworzyć cały cykl tekstów pełnych niepokoju, nadziei. „Głosy" są więc iloczynem języków, stylów, form literackich oraz oczywiście światopoglądów. Tylko tak mogłem pokazać obóz zagłady taki, jaki naprawdę był.

Konstruktorom zagłady udało się stworzyć w obozach warunki wyjątkowe.

Z jednej strony ważny był aspekt ekonomiczny. Niewolnicza praca więźniów zapewniała Rzeszy stabilizację ekonomiczną, bo większość obozów była ulokowana w zagłębiach przemysłowych albo w bezpośrednim sąsiedztwie ich miast. Często pamiętamy, ilu Polaków zginęło na froncie, ilu w obozach zagłady, ale zapominamy, że wywożąc dwa i pół miliona Polaków na przymusowe roboty, Niemcy, podobnie jak Rosjanie, skonstruowali system nowoczesnego niewolnictwa... Z drugiej strony obozy dostarczały – jak powiedzieliby pozytywiści – niezwykle bogatego materiału eksperymentalnego. Napisałem w pomarcowym wierszu, że „człowiek to anioł jeżdżący na małpie", przy czym ani małpa, ani anioł, nie wiedzą, dokąd ich zaprowadzi droga. Cała nasza ewolucja polega na zmierzaniu ku „górze", ku wartościom, subtelnym uczuciom, ale w obozach za sprawą terroru śmierci, bólu, lęku i głodu Niemcy odwracali ten proces, sprowadzając więźniów do stadium zwierzęcia czy wręcz mięsa. Odczłowieczenie było zresztą ich największym sukcesem. Więźniowie wykonywali wtedy najpotworniejsze rozkazy i byli gotowi zabić za dodatkową miskę zupy.

Można się było temu przeciwstawić?

Walka z rzeczywistością obozową polegała nie tyle na dywersji, ile na odtwarzaniu, odbudowywaniu tego wszystkiego, co składało się na definicję człowieka. Innymi słowy: po potopie ognia i krwi należało dokonać ewolucji ludzkości w ekspresowym tempie. Sposoby były różne: odbudowując strukturę oporu, rekonstruując struktury społeczne, życie religijne czy po prostu relacje uczuciowe albo jak profesor Jakubowski w Buchenwaldzie potajemnie opowiadając „Trylogię" czy recytując „Pana Tadeusza". Znalazłem co najmniej dwie relacje, według których więźniowie pracowali z nadzieją, że wieczorem będą mogli posłuchać (!) tych opowieści. Kultura nie tylko dawała nadzieję, ale odwracała obozowe role. Dzięki niej zwierzętami okazywali się nie ci, których do tej roli sprowadzano, ale ich oprawcy – nawet jeżeli do swoich czynów dopisywali ideologię z najwyższej półki: Goethego, Schillera...

13 lat temu Dana Podracká, słowacka poetka i tłumaczka, napisała wiersz: „Bohdan Urbankowski od 35 lat pisze »Głosy«". Niedługo potem oficjalnie zakończył pan pracę nad tomem. Przypadek?

Bynajmniej. Ale nie zrobiłem tego, dlatego że Danka napisała te słowa, tylko dlatego że właśnie dzięki Danie uświadomiłem sobie, iż mogę jeszcze ciągnąć niektóre wątki, dodawać kolejne „głosy", a wraz z nimi jakieś nowe gatunki i style, ale wszystko będzie się już rozgrywać nie na płaszczyźnie filozofii i etyki, lecz wyłącznie estetyki.

Zatem „Głosy" to dzieło już zamknięte?

Żadne dzieło nigdy nie jest zamknięte. W kształcie, w jakim je stworzył artysta, jest zaledwie początkiem. Prawdziwy koniec utworu dopisuje czytelnik. I właśnie to jest prawdziwe życie książki. Każda powinna mieć ciąg dalszy w ludziach.

„Głosy" ten dalszy ciąg mają. Podczas przedstawienia-słuchowiska, którymi Teatr Rapsodyczny i PIW promują najnowsze wydanie tomu, widziałem na widowni niejedną wstrząśniętą twarz...

Z „Głosami" jest problem innego rodzaju. Ci, do których początkowo skierowałem ten cykl i w których te wiersze rzeczywiście żyły, wzruszając i przypominając im chwile z ich własnego życia – dziś już odchodzą, a ich miejsce zajmują młodsi. Mają inny bagaż doświadczeń, coraz mniej wiedzą, o czym mówią „Głosy", więc i emocje, jakie widywałem, kiedy na widowni zasiadali jeszcze byli więźniowie obozów zagłady, tym młodym są już niedostępne. Dla nich to po prostu kolejna opowieść, którą traktują w tych samych kategoriach co legendy i podania historyczne.

Obozy zagłady jako baśń o żelaznym wilku? I co teraz?

Nie tyle baśń, ile przekaz, opowieść o tym, jacy potrafią być ludzie. Czasem zezwierzęceni, a czasem wznoszą się na wyżyny człowieczeństwa, wyżyny przyjaźni przeciw śmierci, miłości przeciw śmierci. Bohaterowie tacy jak Kolbe, Pilecki, Bakalarczyk żyli naprawdę, naprawdę działali Teodor i Artur Gadzińscy, naprawdę była możliwa miłość Edka Galińskiego i Mally Zimetbaum. Myślę, że „Głosy" pokazują wzory wielkie, ale możliwe do osiągnięcia, że w jakimś stopniu zmieniają definicję człowieka, uświadamiają nieuświadamiane dotąd możliwości, zło i dobroć, piękno i podłość, które kryją się w nas samych.

Wracając do meritum, to, czy moje wiersze będą żyły dalej, zależy już nie tyle ode mnie, ile od mądrych pedagogów. ■

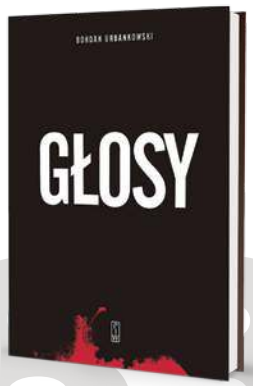

Bohdan Urbankowski, „Głosy", PIW, Warszawa, 2018

eprasa.pl c7862e56a9

Czeski punkt widzenia

PRZYPATRUJĄC SIĘ DOROBKOWI KINEMATOGRAFII CZESKIEJ I POLSKIEJ W OSTATNICH LATACH, MOŻNA ODNIEŚĆ WRAŻENIE, ŻE CZESI LEPIEJ OD NAS ZROZUMIELI, JAK WAŻNE JEST POKAZANIE ŚWIATU SWOJEGO DOŚWIADCZENIA PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

KAROL MAZUR

Nasi południowi sąsiedzi już w 2001 r. wyprodukowali całkiem niezły film o swoich lotnikach walczących w bitwie o Anglię („Ciemnoniebieski świat"), a w 2008 r. przypomnieli o swoim udziale w działaniach na froncie północnoafrykańskim nieco słabszą produkcją „Tobruk". Ostatnio zaś doświadczenie wojenne Czechów spotkało się z zainteresowaniem filmowców z Zachodu, o czym świadczą dwa filmy o zamachu na Reinharda Heydricha – „Operacja Anthropoid" z 2016 r. i „Kryptonim HHhH" z 2017 r., oba w międzynarodowej koprodukcji i obsadzie.

Antyniemiecki ruch oporu w okupowanych Czechach był znacznie mniejszy niż w Polsce. Od września 1940 r. działała tam konspiracyjna organizacja o nazwie UVOD, która skupiała różne środowiska niepodległościowe uznające zwierzchność czeskiego rządu na emigracji Edwarda Benesza. Członkowie tego ruchu nie podejmowali akcji wojskowych, ograniczając się do działań wywiadowczych i propagandowych. Nie znaczyło to jednak, że Niemcy pobłażali tej działalności. Kiedy we wrześniu 1941 r. protektorem Czech został Reinhold Heydrich, dotychczasowy szef RSHA, czyli Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, na Czechów spadła niespotykana dotąd fala prześladowań. Nowy namiestnik Hitlera szybko zyskał miano rzeźnika Pragi, gdyż wprowadził stan wyjątkowy i doprowadził do aresztowania kilkuset osób, które rozstrzelano za antyniemiecką działalność. Jako wysoko postawiony funkcjonariusz Rzeszy Heydrich miał więcej na sumieniu. Przede wszystkim odpowiadał za plany eksterminacji ludności żydowskiej w okupowanej Europie. Nic zatem dziwnego, że czescy decydenci w Londynie we współpracy z brytyjskim wywiadem podjęli decyzję o jego likwidacji. W tym celu pod koniec grudnia 1941 r. zostali zrzuceni do Czech dwaj wyszkoleni w Szkocji cichociemni – Josef Gabcik i Jan Kubis. Przygotowania trwały kilka miesięcy, podczas których rozpracowano drogi przejazdu i tryb poruszania się Heydricha. Ostatecznie zamachowcy postanowili wykonać zadanie 27 maja 1942 r. Nie wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Sten Gabcika się zaciął, a granat rzucony przez Kubisa nie trafił celu. Niemniej wybuch zranił protektora. Niegroźnie wyglądająca rana okazała się zabójcza i Heydrich zmarł na skutek zakażenia kilka dni później. Śmierć pupila Hitlera wywołała zmasowane represje w Czechach. Do historii przeszedł zwłaszcza los wsi Lidice, którą Niemcy spalili, mężczyzn zabili na miejscu, a kobiety i dzieci wywieźli do obozów koncentracyjnych. Sami zamachowcy ukryli się w praskiej cerkwi Cyryla i Metodego, ale na skutek zdrady zostali przez Niemców odkryci. Po kilku godzinach walki w oblężeniu, nie mając szans na ucieczkę, popełnili samobójstwo.

„Operacja Anthropoid" w reżyserii Brytyjczyka Seana Ellisa jest próbą rekonstrukcji wydarzeń. Głównymi bohaterami są sami zamachowcy. Śledzimy ich losy od zrzucenia na spadochronach, poprzez przygotowania do zamachu na Heydricha i samą akcję, aż po śmierć w murach praskiej cerkwi. Film został nakręcony z dialogami w języku angielskim, a rolę głównych bohaterów zagrali znani irlandzcy aktorzy: Cillian Murphy i Jamie Dornan.

„Operacja Anthropoid" to naprawdę dobry dramat wojenny. Akcja została poprowadzona dynamicznie, a postacie mają wyraźne rysy charakterologiczne. Obaj bohaterzy poznają w okupowanej Pradze swoje wybranki serca, co dodaje ich losom dramaturgii. Najciekawszym motywem filmu jest ukazanie znanego doskonale przywódcom polskiego podziemia dylematu: czy działania wojenne wobec okupanta nie przyniosą z jego strony zmasowanych działań odwetowych wobec niewinnych? Zamachowcy kilkakrotnie spotykają się ze sprzeciwem jednego z czeskich konspiratorów (w tej roli nasz znakomity aktor Marcin Dorociński) uważającego, że zabicie Heydricha to istne szaleństwo, które niczego w polityce niemieckiej nie zmieni, wywoła tylko falę brutalnych represji.

Podziwiając „Operację Anthropoid", nie sposób uniknąć gorzkiej refleksji o braku zainteresowania naszym doświadczeniem wojennym współczesnej kinematografii. Biorąc pod uwagę skalę naszego zaangażowania w walkę z III Rzeszą na różnych frontach, aż żal ściska, że film o Dywizjonie 303 powstał 17 lat po wspomnianej czeskiej produkcji, a na filmy o naszym udziale w bitwach o Narwik, Tobruk, Monte Cassino ciągle czekamy. Nie wspominając, że chociaż „Kedyw" takich akcji jak zamach na Heydricha przeprowadził kilkanaście, to ciągle oglądamy film o wykonaniu przez żołnierzy AK wyroku na kata Warszawy Franza Kutscherę, nakręcony w... 1959 r.

„Operacja Anthropoid", reż. Sean Ellis, 2016

48/1118/F

eprasa.pl c7862e56a9

Nie tylko o miłości

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Na księgarnianych półkach coraz więcej historycznej literatury dla dzieci i młodzieży. Można znaleźć ciekawą propozycję na świąteczny prezent. Książkę, która ma interesującą fabułę, pełnych życia bohaterów, a dodatkowo przekazuje sporą dawkę historycznej wiedzy. Te warunki spełnia powieść Kaliny Jerzykowskiej „Dwórki królowej Bony".

Fabuła przenosi czytelnika do 1530 r., w którym na dwór królowej Bony trafia młoda Jagusia Szydłowiecka. Nie dzieje się to przypadkowo – wezwana jest bowiem po to, by odwrócić uwagę pewnego zakochanego dworzanina od Jadwigi, córki Zygmunta Starego z małżeństwa z Barbarą Zapolya. Miłość ta bowiem nie idzie w parze z planami rodziców wobec córki. Okazuje się jednak, że doszło do wielkiej pomyłki, bo rzeczony dworzanin jest... bratem panny Szydłowieckiej. Nasza bohaterka zostaje jednak na dworze i bierze udział w głównej intrydze powieści. Uwikłane są w nią tytułowe dwórki, czyli utalentowane, sprytne i bardzo pomysłowe dziewczęta. Zawiązały one pakt, który miał chronić miłość królewny i jej wybranka. I ta ich gotowość do stania na straży miłości jest głównym wątkiem powieści, ale poruszane są w niej i inne tematy: historyczne, polityczne, społeczne.

Każdej z bohaterek poświęcony jest jeden rozdział opowieści. Poznajemy więc kolejne dziewczęta i ich osobiste historie. Losy panien pokazują życie w ówczesnej Rzeczypospolitej, stosunki panujące na dworze, a także kuluary wielkiej dynastycznej polityki. A na tym tle snuje się główny wątek pełen tajemnic, czarów i krakowskich legend. Znajdziemy również informacje o tym, co jadano, jakich sprzętów codziennych używano, jak się ubierano. Młody czytelnik poznaje także słownictwo charakterystyczne dla XVI w. Delikatna stylizacja językowa sprawia, że świat przedstawiony jest bardziej zbliżony do rzeczywistości renesansowej Polski, a znaczenie co trudniejszych wyrazów wyjaśniane jest w przypisach.

„Dwórki królowej Bony" to lektura dla osób, które lubią historie z dawnych czasów, chcą się dowiedzieć czegoś o życiu na królewskim dworze, wreszcie wspólnie z bohaterami śledzić dworskie intrygi i próbować rozwiązać zagadkę. Czegóż chcieć więcej od dobrego prezentu gwiazdkowego?

Kalina Jerzykowska, „Dwórki królowej Bony", wydawnictwo Literatura, seria „A to historia", Łódź 2018; wiek: 12+

REKLAMA

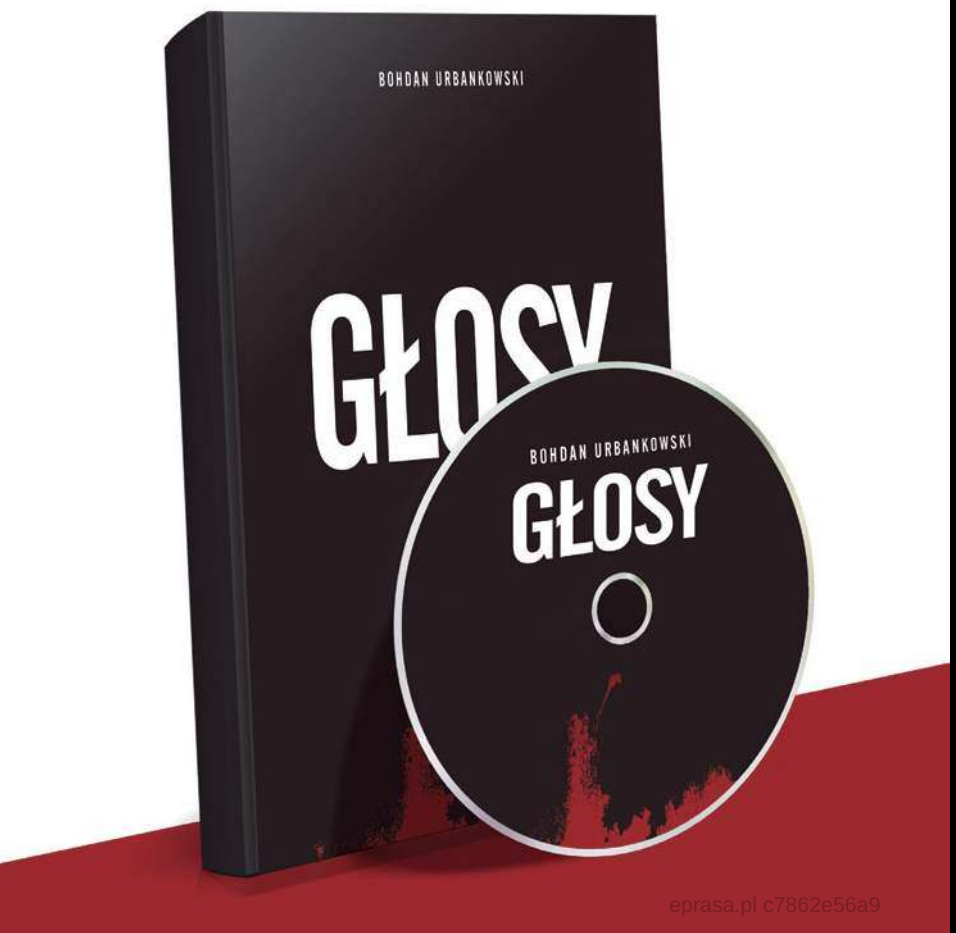

Państwowy Instytut Wydawniczy

Oparty na wspomnieniach więźniów poetycki zapis rzeczywistości obozów koncentracyjnych Buchenwaldu i Auschwitz. Książce towarzyszy audiobook.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zapraszamy do księgarni internetowej www.piw.pl

Tylko u nas e-booki w cenie 50% papierowej książki, ale nie więcej niż 20 zł!

/PanstwowyInstytutWydawniczy

eprasa.pl c7862e56a9

FOT. BEW

PSIE MINY

NAJPIERW MORZYĆ GŁODEM, POTEM OBŁADOWAĆ MATERIAŁEM WYBUCHOWYM I PUŚCIĆ POD NIEMIECKI CZOŁG...

MAGDALENA SZCZEPANIAK

Taką wyobraźnię mieli Sowieci. Okropną. Po ataku Niemiec wpadli na pomysł wykorzystania psów przeciw wrogim zagonom pancernym. Zwierzęta szkolono w centralnym ośrodku dla psów przeciwpancernych Armii Czerwonej w prymitywny sposób. Przez kilka dni instruktorzy nie dawali im jeść, następnie umieszczali pokarm pod stojącymi z włączonymi silnikami czołgami lub ciągnikami gąsienicowymi i zachęcali wygłodzone zwierzęta, aby podbiegały do pojazdów od tyłu i wchodziły pod nie, by wyciągnąć jedzenie. Do tej misji, której efekt na polu walki był jeden, wybierano psy wyjątkowo pobudliwe i bardzo ruchliwe.

W 1941 r. utworzono oddziały specjalne przeznaczone do zwalczania czołgów przeciwnika. Każdy oddział składał się z czterech kompanii, a w każdej z nich „służyło" 126 psów, co dawało 504 czworonogi w każdym oddziale. W warunkach bojowych zakładano im uprzęże z plecakami wypełnionymi ładunkami wybuchowymi. Gdy pies znalazł się pod wozem pancernym nieprzyjaciela, łamał przymocowaną do grzbietu antenę i w ten sposób uruchamiał zapalnik kontaktowy, który detonował ładunek wybuchowy.

O ile podczas szkolenia taktyka jako tako działała, o tyle na polu walki okazała się dziurawa jak sito. Psy przeciwpancerne miały bardzo niewielką skuteczność bojową z kilku powodów. Po pierwsze, niemożliwe było odtworzenie zapachu czołgów nieprzyjaciela ze względu na stosowanie przez Niemców innego paliwa, smarów czy farb, przez co czołgi te były dla psów obce zapachowo. Po drugie, warunki panujące na polu bitwy: hałasy, zapachy i zamieszanie wystraszały psy lub je dekoncentrowały. Po trzecie, psy przeciwpancerne w warunkach bojowych nie od razu wbiegały pod czołg przeciwnika; najpierw krążyły wokół niego, zastanawiając się, czy to właściwy cel i w ten sposób łatwo ginęły od postrzału. Po czwarte wreszcie, psów nie uczono agresji do żołnierzy niemieckich, co powodowało, że głodne zwierzęta można było zwabić za pomocą jedzenia i rozbroić. Zdarzało się natomiast, że były groźne dla swych opiekunów, którzy skazywali je na tak okrutną śmierć. Okazało się także, że podczas walki psy znacznie chętniej wbiegały pod pojazdy sowieckie niż niemieckie, a więc trzeba było je trzymać z daleka.

Ich atak udał się tylko raz i tylko dlatego, że był zaskoczeniem dla Niemców, którzy zignorowali grupę kręcących się koło pojazdów psów z sakwami na grzbietach. Wzięli je za zagubione psy łącznikowe szukające swojej jednostki. Gdy żołnierze niemieccy przekonali się, że to psy były przyczyną eksplozji, pozostałe zwierzęta natychmiast zabito, a inne niemieckie jednostki pancerne ostrzeżono za pomocą radia. W 1942 r., kiedy przez nieprawidłowe użycie psów cała sowiecka dywizja pancerna została zmuszona do wycofania się z bitwy, Rosjanie zaprzestali używania psów przeciwczołgowych na większą skalę, a centralny ośrodek szkoleniowy Armii Czerwonej został zamknięty. Pracę rozpoczęła natomiast propaganda sowiecka, która rozdmuchiwała sukcesy oddziałów specjalnych, by utrzymywać lęk wśród niemieckich załóg czołgów i zmuszać je do pozostawiania otwartych włazów w celu lepszej widoczności przedpola, przez co były bardziej narażone na ogień snajperów. W tej roli psy przeciwpancerne dobrze się sprawdziły. Żołnierze jednostek pancernych i zmotoryzowanych Wehrmachtu i Wafen-SS byli przekonani, że w Rosji wszystkie żywe stworzenia sprzysięgły się przeciw nim.

W jednej z depesz wydziału operacyjnego głównego dowództwa niemieckiego, adresowanej do sztabów wszystkich grup armii, napisano: „Dywizja pancerna na froncie wschodnim, która wybrała odpowiednie miejsce na postój i regulaminowo zamaskowała wszystkie pojazdy, przekonała się w momencie ogłoszenia alarmu, że posiada tylko 30 proc. sprawnych wozów. Stało się tak za sprawą polnych myszy, które dobrały się do przewodów elektrycznych, skutecznie unieruchamiając większość czołgów i ciężarówek". Oficer sztabowy opatrzył depeszę ironicznym, krótkim komentarzem: „Myszy sowieckie!".

W 1944 r., z powodu katastrofalnego braku broni przeciwpancernej na froncie wschodnim, przywódcy wojskowi III Rzeszy założyli szkołę psów przeciwpancernych Waffen-SS. Nie zachowały się jednak żadne dokumenty opisujące działalność tej szkoły ani opisujące działania niemieckich psów przeciw czołgom aliantów.

Korzystałam m.in. z tekstu Piotra Korczyńskiego „Psy przeciwpancerne" zamieszczonego w miesięczniku „Polska Zbrojna"

eprasa.pl c7862e56a9

SOWIECKIE CZOŁGI TYPU BT MOGŁY SIĘ PORUSZAĆ ZARÓWNO NA KOŁACH, JAK I NA GĄSIENICACH

POPRZEDNIK „RUDEGO 102", CZYLI CZOŁG BT-7

KACPER GROCHOCKI

Pod koniec lat 20. XX w. w ZSRS zapadły decyzje o rozbudowie i modernizacji sił zbrojnych, ze szczególnym naciskiem na rozwój broni pancernej. Jednak poziom rozwoju technologicznego Sowietów nie pozwalał na szybkie urzeczywistnienie tych zamysłów. Aby usprawnić cały proces, postanowiono skorzystać ze wzorców zagranicznych. W tym celu powstała specjalna komisja, która miała odwiedzić kilka państw europejskich oraz Stany Zjednoczone, by zapoznać się z tamtejszymi koncepcjami rozwoju czołgów i dokonać zakupu interesujących wozów lub technologii.

Ostatecznie, w 1930 r., Sowieci nabyli w USA dwa zaprojektowane przez Jamesa W. Christie udoskonalone egzemplarze czołgów M1931 (M1940) o zawieszeniu pozwalającym na poruszanie się zarówno na kołach, jak i gąsienicach.

Wobec doskwierającego braku wartościowego uzbrojenia wojsk pancernych chciano nowe wozy jak najszybciej wprowadzić do produkcji seryjnej, mimo że testy poligonowe wykazywały dużą awaryjność konstrukcji. Czołg na trakcji kołowej i utwardzonych drogach osiągał wysoką prędkość dochodzącą do 70 km/h, a zatem otrzymał oznaczenie BT-2, czyli bystrochodnyj tank (czołg szybkobieżny). W kwietniu/maju 1931 r. zaakceptowano jego seryjną produkcję, lecz proces ten ze względu na braki technologiczne w sowieckich fabrykach postępował powoli. Pod koniec 1931 r. gotowych było tylko kilka egzemplarzy czołgu z pancerzem z nieutwardzanej stali, które nadawały się tylko do prezentacji na paradach. Wojsko nie przyjęło ich ze względu na usterki. Produkcja BT-2 na większą skalę ruszyła dopiero w 1932 r. i kontynuowano ją do czerwca 1933 r., kiedy przygotowywano już jego następcę, tj. czołg BT-5.

Główną zmianą w nowym pojeździe miało być zastosowanie obszerniejszej wieży, pozwalającej na użycie cięższego uzbrojenia (armata kal. 45 mm), oraz poprawienie opancerzenia. Założenia te udało się spełnić, lecz nadal czołg nie zadowalał w pełni dowództwa Armii Czerwonej. Jego produkcję prowadzono do 1934 r.

Od roku następnego do końca 1940 produkowano w ZSRS już ostatnią, najbardziej rozwiniętą z wersji czołgów BT, czyli BT-7. Wóz ten, tak jak poprzednik, był uzbrojony w działo kal. 45 mm oraz do 3 km-ów kal. 7,62 mm. Pancerz osiągał grubość do 22 mm, a masa pojazdu wynosiła ok. 14 ton. Ostatni model produkowany seryjnie napędzany był silnikiem wysokoprężnym o mocy 500 KM, wcześniejsze wersje wyposażano w silniki benzynowe. Prędkość czołgu na kołach i dobrej drodze mogła sięgać nawet do ok. 85 km/h, a zasięg maksymalny w tych samych warunkach wynosił ok. 600 km.

Oprócz „standardowych" modeli BT powstawały różne ich odmiany, m.in. wozy dowodzenia i wozy wsparcia artyleryjskiego (BT-7A z armatą kal. 76,2 mm). Łącznie wyprodukowano niespełna 8,1 tys. sztuk czołgów BT wszystkich wersji, z tego BT-7 ok. 5,5 tys. egz.

Wozy typu BT były przeznaczone do głębokiego wdzierania się w linie nieprzyjaciela, dlatego ich główną zaletą miała być szybkość. Warunek ten wozy BT spełniały. Praktyka jednak pokazała, że napęd kołowy, który miał być atutem konstrukcji, był użytkowany marginalnie. Sieć drogowa w ZSRS była słabo rozwinięta, a wojna z III Rzeszą rozpoczęła się dla Sowietów od głębokiej i długiej defensywy na własnym terenie. Właściwości jezdne w terenie na trakcji kołowej czołgów BT były zbyt słabe, aby z nich korzystać. Wadą konstrukcji był niezbyt gruby pancerz oraz ogólna jakość wykonania pojazdów, wpływająca na ich niezawodność.

Służba bojowa czołgów BT rozpoczęła się w czasie hiszpańskiej wojny domowej, a na europejskim teatrze działań dobiegła końca w 1944 r. Na Dalekim Wschodzie popularne „Betjuszki" używane były do końca II wojny światowej.

Po wprowadzeniu do produkcji BT-7 nie porzucono dalszych koncepcji rozwojowych czołgu. Aby jednak zwiększyć jego możliwości bojowe, potrzebne były poważniejsze zmiany w jego konstrukcji. W ten sposób rozpoczęła się droga, na końcu której czekał słynny T-34 dzielący z wozem BT-7 część rozwiązań technologicznych.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c7862e56a9

JOANNA PUCHALSKA

JEJ SŁAWĘ UTRWALIŁ WACŁAW GĄSIOROWSKI W POWIEŚCI „HURAGAN". OKAZUJE SIĘ, ŻE PRAWDZIWE DZIEJE JOANNY SĄ JESZCZE CIEKAWSZE NIŻ TE KSIĄŻKOWE

SIERŻANT JOANNA ŻUBROWA

Córka konfederata barskiego Jana Pasławskiego do wojska trafiła, wiernie podążając za drugim mężem Maciejem Żubrem. Po tym, jak w listopadzie 1806 r. wydana na rozkaz Napoleona odezwa wezwała Polaków do walki o niepodległość i młodzież z zaboru rosyjskiego, w sekrecie jęła się przekradać na ziemie Księstwa Warszawskiego, wiosną 1807 r. państwo Żubrowie, żyjący dotąd spokojnie w Żytomierzu, po podróży pełnej przygód – bez paszportów przez dwie granice, w tym jedną zieloną – znaleźli się w Warszawie. Tu on wstąpił do 2. pułku piechoty Stanisława Potockiego, gdzie został kapralem. Joanny na markietankę wziąć nie chciano i groziło jej, że zostanie sama w obcym mieście bez środków do życia. Podjęła wówczas brawurową decyzję. Obcięła włosy i w męskim przebraniu, podając się za młodszego brata Macieja Żubra, zaciągnęła się do tego samego pułku i kompanii jako kadet. Mąż stwierdził potem, że chyba tylko kula rozłączyć ich potrafi.

Gdy sprawa jej płci się wydała, zgodzono się ją przyjąć do wojska, ale pod warunkiem że będzie służyć jako tzw. frej-kadet, a więc w swoim mundurze oraz bez pobierania żołdu i żywności. Maciej awansował w tym czasie na furiera, czyli podoficera zajmującego się zakwaterowaniem i zaopatrzeniem, więc głód jej nie groził.

Kobieta na froncie

Dzieje Joanny Żubrowej to jeden z wątków powieści Wacława Gąsiorowskiego „Huragan" wydanej w 1902 r. Postać ta nakreślona jest świetnie i stanowi ogromny atut fabuły, natomiast pisarz umniejszył jej wojenne zasługi, przedstawiając jako markietankę. Markietanki lub wiwandierki, żony lub kochanki podoficerów i zwykłych żołnierzy, ciągnęły za wojskiem, gotowały, prały, szyły, opatrywały rany, często zarabiały na sprzedaży żołnierzom alkoholu, tytoniu i żywności. Prawdziwa Joanna Żubr to nie żadna markietanka, lecz regularny żołnierz. Walczyła tak samo jak mężczyźni.

Szlak bojowy zaczęła od Raszyna, a sławę przyniósł jej szturm Zamościa, kiedy wdarła się na mury jako jedna z pierwszych. Generał Jean-Baptiste Pelletier napisał w raporcie, że „szczególniej mężną okazała się Joanna Żubr, żona furiera, która w tej kampanii jako żołnierz wciągniona w kontrolę, walczyła obok męża swojego".

Gdy po zajęciu w lipcu Krakowa działania wojenne na razie zakończono, za bojową postawę w Zamościu Joanna została zgłoszona do Krzyża Srebrnego Virtuti Militari. Komisja odznaczeń jednak orderu jej nie przyznała, tylko chciano dać nagrodę pieniężną. Kadet Żubrowa z oburzeniem odrzuciła propozycję, oznajmiając dumnie, że nie dla pieniędzy walczyła, ale dla honoru ojczyzny jako Polka, a nie jako najemnica. „Chociaż nie dacie krzyża, służyć będę i mieć krzyż będę" – zapowiedziała gniewnie. I tak właśnie się stało.

Blaski i...

Małżonkowie przenieśli się do 17. pułku piechoty. Maciej otrzymał nominację na oficera, ona została przyjęta jako kadet, ale jesienią 1809 r. otrzymała awans na furiera, a nim jej regiment wymaszerował na wojnę 1812 r., została sierżantem.

Życie małżeńskie państwa Żubrów mocno wplecione było w służbę wojskową. „Furier Żubr ćwiczył swoich żołnierzy i słuchał rozkazów podporucznika Żubra, stając przed nim na baczność i surowo przestrzegając dyscypliny wobec starszeństwa".

eprasa.pl c7862e56a9

Po bitwie pod Smoleńskiem w sierpniu 1812 r. i zmuszeniu Rosjan do odwrotu jej dywizja otrzymała zadanie osłaniania Mińska oraz zabezpieczenia drogi na Mohylew i Borysów. Sierżant Joanna Żubrowa brała wówczas udział w kolejnych potyczkach. Raz, gdy Maciej poszedł z połową oddziału na rekonesans i został otoczony przez oddział kozaków, żona przywiodła z odsieczą drugą połowę jego podkomendnych i go wyswobodziła. Po tym wyczynie na przyjęciu w kwaterze dowództwa „odbierała hołd należny i toast na jej zdrowie spełniano".

...cienie bojowego szlaku

Podczas odwrotu Wielkiej Armii spod Moskwy w bitwie nad Berezyną w listopadzie 1812 r. została ranna i drogę do Wilna przebyła wieziona na furmance. Niedobitki polskiego V korpusu cofały się po własnych śladach przez Wilno, Augustów, Rajgród na Warszawę. Gdy w styczniu 1813 r. wojska rosyjskie weszły na teren Księstwa, 2. batalion 17. pułku dostał rozkaz wymarszu na Sompólno, Kalisz i Częstochowę. W potyczce pod Sompólnem Joanna, uciekając przed kozakami, schowała się w oborze na stryszku i przeleżała przykryta snopkiem słomy. Los jej sprzyjał, bo kiedy kozacy przeszukiwali stryszek, upleciony z chrustu sufit zawalił się pod nimi, zanim zaczęli dźgać pałaszami jej snopek. Uciekła potem stamtąd w narzuconej na mundur kobiecej sukni otrzymanej od życzliwej chłopki. Dotarła do Kalisza i tu spotkała się z mężem.

Skierowano ich do obrony Częstochowy. Podczas wypadów na nieprzyjaciela Joanna dokazywała niczym Zagłoba w spódnicy. Na nic się to zdało. Po dwóch tygodniach walk twierdza się poddała. Generał von der Osten-Sacken zaproponował małżonkom przejście na stronę rosyjską, a oni oczywiście z godnością odmówili. Trafili do niewoli, lecz jako weteranom pozwolono im na wyjazd i dotarli do Lublina, gdzie Joanna zachorowała i została u życzliwych ludzi, a Maciej dołączył do VIII korpusu Wielkiej Armii i wymaszerował do Saksonii. Wziął udział w kilku bataliach, awansował na kapitana, otrzymał order Legii Honorowej i wrócił rok po klęsce pod Lipskiem. Gdy w 1815 r. kongres w Wiedniu przypieczętował nowy kształt Europy, dawne wojsko Księstwa Warszawskiego było wojskiem Królestwa Polskiego, a wodzem naczelnym został słynny z okrucieństwa brat cara Wielki Książę Konstanty. Joanna już wcześniej zrezygnowała ze służby czynnej, ale nadal chodziła w mundurze. Maciej posłużył czas jakiś i w 1816 r. ze względu na stan zdrowia podał się do dymisji.

Werbowanie do wojska (z litografii współczesnej, ze zbiorów p. Stefana Kulikowskiego)

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

Powojenne losy kombatanckiej pary

Dzięki protekcji życzliwych ludzi zdemobilizowany Maciej Żubr otrzymał stanowisko podleśnego w leśnictwie Wieluń, wprawdzie skromnie płatne, ale dawało jednak małżonkom pewną życiową stabilizację. Władze Królestwa Polskiego przejęły zobowiązania powstałe w okresie Księstwa Warszawskiego i w 1817 r. Aleksander I przyznał Joannie nagrodę pieniężną „za świetną odwagę i poświęcenie się wyższe nad jej płeć". A na jesieni 1818 r. wreszcie doczekała się obiecanego Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari. Jednak odznaczono ją nie za Zamość, lecz za kampanię 1812 r. i od tego roku przysługiwała jej związana z orderem pensja. Otrzymała także wojskową emeryturę.

Państwo Żubrowie zamieszkali w Popowicach w powiecie wieluńskim. Joanna, żywa legenda walk o wolną Polskę, gdy pojawiała się w Warszawie, na ulicy ustępowano jej miejsca i okazywano szacunek. Chodziła w czarnej sukni zapiętej pod szyję, miała żołnierską postawę i z dumą nosiła krzyż. Nie ma wiarygodnego archiwalnego potwierdzenia, że brała czynny udział w powstaniu listopadowym, natomiast w tym czasie na łamach dwóch warszawskich gazet pojawiła się podpisana przez nią odezwa apelująca do Polek o udział w walkach.

Pamiętajmy, że to sierżant

Maciej zmarł 5 lipca 1849 r. w Popowicach. Po śmierci męża Joanna przeprowadziła się do Wielunia. Zmarła trzy lata później na cholerę i została pochowana na miejscowym cmentarzu. Krakowski „Czas" napisał: „W liczbie ofiar epidemii w czasie grasowania jej w mieście Wieluniu, zabrana została także śp. Joanna Żubrowa, niegdyś sierżant 17go pułku piechoty liniowej b. Wojska Polskiego Księstwa Warszawskiego". A więc wtedy w powszechnej świadomości była sierżantem, czyli regularnym żołnierzem. Gdy jednak 50 lat później jej chrześniak Piotr Dobrowolski wystawił jej nagrobek, widocznie lepiej znając świeżo wydaną powieść Gąsiorowskiego – o potęgo literatury pięknej! – niż rzeczywiste dzieje matki chrzestnej, kazał dać napis: „Joanna Żubr, Markietanka Wojsk Polskich". A przecież powinno być: „Żołnierz 2. Pułku Piechoty, Sierżant 17. Pułku Piechoty Księstwa Warszawskiego. Jako pierwsza w Polsce kobieta odznaczona Krzyżem Virtuti Militari".

Krzyż ten po jej śmierci umieszczono na obrazie Matki Boskiej Różańcowej w wieluńskiej kolegiacie. Przepadł podczas niemieckiego bombardowania Wielunia w 1939 r.

O wojennych przygodach Joanny Żubrowej można przeczytać w książce Joanny Puchalskiej „Polki, które zmieniły wizerunek kobiety", która ukazała się nakładem wydawnictwa MUZA

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

eprasa.pl c7862e56a9

UCZULONE HISTORIE

POSTĘPY MEDYCYNY POZWOLIŁY ZŁAGODZIĆ LUB ZLIKWIDOWAĆ OBJAWY ALERGII. JEST TO JEDNAK MOŻLIWOŚĆ OSTATNICH LAT, WCZEŚNIEJ TRZEBA BYŁO STAWIAĆ CZOŁA NAJGROŹNIEJSZYM ALERGENOM, BIORĄC CAŁE RYZYKO NA WŁASNE BARKI

KRZYSZTOF ŻARYN

Ostatnio bardzo popularną praktyką, nie tylko wobec dzieci, stało się odczulanie. Dzień, w którym przyjmuje alergolog, jest w przychodniach dniem najbardziej natężonego ruchu, a pacjenci decydujący się na wizytę muszą wziąć wolne od codziennych obowiązków, by cierpliwie czekać na swoją kolej.

Alergia bowiem to bardzo uciążliwa przypadłość. Wie o tym każdy, kto co roku przeżywa katusze w momencie pylenia roślin. Uczulenie powstaje wtedy, gdy nasz układ odpornościowy wywołuje zmienioną reakcję tkanek na substancje obce zwane alergenami. Wspomniana wcześniej uciążliwość spowodowana pojawieniem się w powietrzu m.in. wielu pyłków kwiatowych może być irytująca, ale jest stosunkowo łatwa do wytrzymania. Jednak katar i łzy to niejedyna odpowiedź immunologiczna. W skrajnych przypadkach uczulenie może doprowadzić nawet do wstrząsu anafilaktycznego i śmierci. Nic więc dziwnego, że ludzie coraz chętniej korzystają z możliwości medycznego uporania się z problemem.

Starożytne alergeny

Najbardziej znanym antygenem, który wywołuje najcięższy rodzaj odpowiedzi alergicznej, jest jad osy i pszczoły. Przypuszczamy, że owady te żyły już 80 mln lat przed człowiekiem. Możemy więc śmiało uznać, że wraz z pierwszymi atakami żądeł na homo sapiens mogły ujawniać się pierwsze alergie.

Tego typu zdarzenia można zaobserwować m.in. na malowidłach ściennych japońskich jaskiń. Pierwszą wymienianą z imienia ofiarą alergii na te skrzydlate owady miał być legendarny król starożytnego Egiptu – faraon Menes. Ok. 3100 r. przed narodzeniem Chrystusa miał on dać się użądlić pszczole w czasie dalekiej podróży na Wyspy Brytyjskie, co spowodowało tragiczną w skutkach odpowiedź immunologiczną organizmu i śmierć w męczarniach. Istnieją jednak dowody na to, że opowieść nie jest prawdziwa (oparta na fałszywych źródłach), a rzeczony władca zmarł w wyniku zranienia przez hipopotama, co trudno jednoznacznie nazwać reakcją alergiczną. Mniej kontrowersji budzi opis śmierci wywołanej żądłem osy zawarty w Talmudzie Babilońskim, którego wiarygodności już nie podważano. Wydarzenie to było datowane na II w. przed narodzinami Chrystusa.

Innym rodzajem alergii często opisywanej przez naszych starożytnych przodków była astma. Jest to choroba, która objawia się nadmierną odpowiedzią immunologiczną oskrzeli na kontakt z substancją alergizującą. Powoduje kaszel, duszności oraz świszczący oddech. Tego typu dolegliwości opisywane były już w papirusie Ebersa, którego powstanie datuje się na 1500 lat przed narodzeniem Chrystusa. Również Hipokrates poświęcał dużo miejsca w swych dziełach opisom przypadków dychawicy płucnej. Trudno jednak było wówczas o trafne zdefiniowanie oraz epidemiologie choroby. Starożytni za powód powstawania astmy uznawali spływanie flegmy z mózgu do płuc oraz czarną krew, która miała płynąć w żyłach osób dotkniętych chorobą. W dzisiejszych czasach miałoby to nawet odzwierciedlenie w rzeczywistości, ponieważ u palaczy bardzo często rozwija się ten rodzaj alergii, a ich krew jest zdecydowanie ciemniejszego koloru. Z astmą często łączone były również alergie wywołujące katar. Flegma, która miała płynąć z mózgu i atakować płuca, miała znajdować ujście również w postaci nieżytu nosa. Jeden z tego typu

Starożytni za powód powstawania astmy uznawali spływanie flegmy z mózgu do płuc oraz czarną krew, która miała płynąć w żyłach osób dotkniętych chorobą

eprasa.pl c7862e56a9

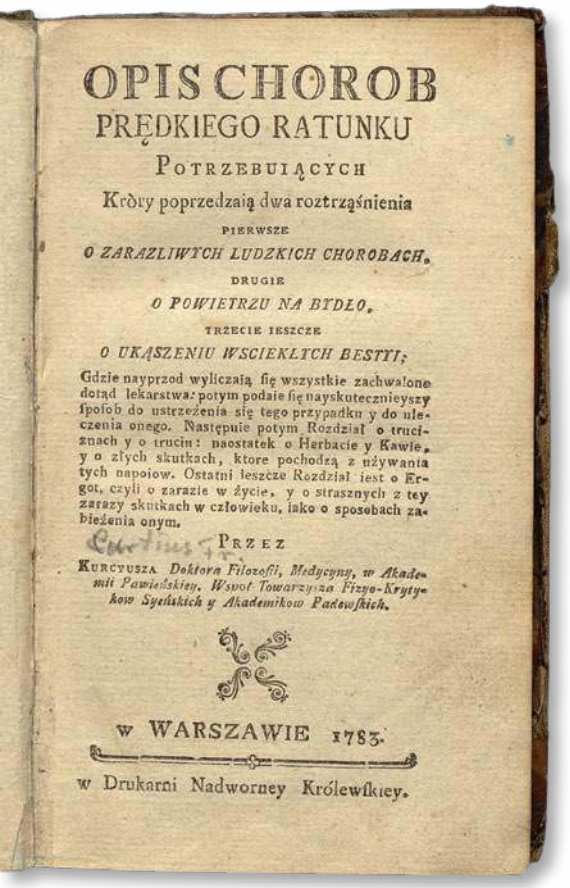

OPIS CHOROB
PRĘDKIEGO RATUNKU
POTRZEBUIĄCYCH
Kroły poprzedzaią dwa roztrząśnienia
PIERWSZE
O ZARAZLIWYCH LUDZKICH CHOROBACH.
DRUGIE
O POWIETRZU NA BYDŁO.
TRZECIE IESZCZE
O UKĄSZENIU WSCIEKŁYCH BESTYI;
Gdzie nayprzod wyliczaią się wszystkie zachwalone dotąd lekarstwa: potym podaie się nayskutecznieyszy sposob do ustrzeżenia się tego przypadku y do uleczenia onego. Następuie potym Rozdział o truciznach y o trucin: naostatek o Herbacie y Kawie, y o złych skutkach, ktore pochodzą z używania tych napoiow. Ostatni ieszcze Rozdział iest o Ergot, czyli o zarazie w życie, y o strasznych z tey zarazy skutkach w człowieku, iako o sposobach zabieżenia onym.
PRZEZ
KURCYUSZA Doktora Filozofii, Medycyny, w Akademii Pawieńskiey. Wspot Towarzysza Fizyo-Krytykow Syeńskich y Akademikow Padewskich.
w WARSZAWIE 1783.
w Drukarni Nadworney Królewskiey.

Książka z XVIII w. opisująca przypadki ukąszeń i sposoby ich leczenia

przypadków, które zna historia, zakończył się nawet utratą panowania. Britannicus – syn Klaudiusza, cesarza Rzymu – uczulony był na sierść konia. Kontakt z tym zwierzęciem powodował łzawienie oraz zaczerwienienie oczu, które miało powodować utratę możliwości widzenia. W związku z tym prawo dosiadania konia prowadzącego młodych patrycjuszy przypadło Neronowi – adoptowanemu synowi ówczesnego cesarza. Ta drobna sprawa w pewnym stopniu przyczyniła się do tego, że większy posłuch wśród wpływowej grupy interesu uzyskał późniejszy podpalacz wiecznego miasta niż pierworodny syn Klaudiusza.

Truskawki w walce o tron

Innym popularnym rodzajem alergii są alergie pokarmowe. Pierwszym, który opisywał zależności pokarmowe i występujące powikłania, był wspomniany już Hipokrates. Powiązał on występujące dolegliwości żołądkowe z piciem mleka. Biegunki czy wzdęcia są jednak typowym objawem nietolerancji pokarmowej, która nie jest tym samym co alergia. W notatkach uczonego odnaleźć można również opisy zmian skórnych, których powstawanie łączył z piciem krowiego mleka. Taką przypadłość możemy już z całą pewnością uznawać za nadmierną reakcję układu odpornościowego. Podobne obserwacje poczynił rzymski lekarz Galen, który oprócz alergii na mleko zaobserwował reakcję alergiczną na „zapach róży".

Sprytnie tę wiedzę na temat alergii pokarmowych wykorzystał panujący od 1483 r. król Anglii Ryszard III. Zanim objął tron, walczył o niego w tzw. Wojnie Dwóch Róż. Jednym z przeciwników politycznych Ryszarda był lord William Hastings. Na uczcie zorganizowanej przez arystokratę ówczesny pretendent do tronu wykorzystał alergiczną reakcję na truskawki, by oskarżyć swego wroga o próbę zabójstwa. Gdy bowiem zjadł owoce, na jego obliczu pojawiły się pokrzywka i obrzęk. Gospodarz biesiady został oskarżony o haniebne otrucie i wydany na ścięcie.

Zasługi prowokacji

Późniejsze odkrycia wynikały z obserwacji korelacji między narażeniem na alergen i reakcją organizmu. Zauważano coraz większy wpływ pylenia na powstawanie kataru siennego. Pod koniec XIX w. pojawiły się pierwsze metody wykonywania testów alergicznych. Ich pomysłodawcą był brytyjski lekarz Charles Blackley, który nakładał interesujący go alergen na skórę, rozdrapywał i czekał na reakcję organizmu. Jednak przełomem w nauce alergologii był eksperyment francuskich naukowców. W 1902 r. opublikowali oni pracę dotyczącą wpływu toksyn meduzy na powstawanie wstrząsu anafilaktycznego. Założeniem Paula Portiera oraz Charlesa Richeta było to, aby przez wprowadzanie do krwi psów małych dawek toksyny spowodować ich uodpornienie na daną substancję. Po pierwszej dawce pies nie odczuwał żadnych dolegliwości. Dopiero po drugiej, podanej trzy tygodnie później, pies zmarł, dostawszy wstrząsu anafilaktycznego. Tak opisywano objawy badanego psa: „W kilka sekund po zakończeniu wstrzyknięcia pies ciężko zachorował, oddychał z trudem i kaszlał. Nie mógł ustać na nogach, położył się na bok, dostał biegunki i krwawych wymiotów. Utracił wrażliwość i zdechł w ciągu 25 minut". Wyniki tego drastycznego procederu uznano za zjawisko zdecydowanie dalekie od profilaktyki prozdrowotnej. Nie oznacza to jednak, że zarzucono próby prowokacji w celu zwiększenia odporności. Przyniosły skutek blisko 10 lat później, kiedy brytyjscy uczeni Leonard Noon oraz John Freeman zastosowali pierwszy na świecie moduł odczulania. W celu zwiększenia odporności wprowadzali oni do organizmu pacjenta bardzo małe dawki alergenu, na który był on uczulony. Działanie to przyniosło zamierzony skutek, a założenia tej metody stosowane są w alergologii do dziś.

Odkrycia te były krokiem milowym w dojściu do dzisiejszych osiągnięć związanych z immunologią. Rozwój tej dziedziny medycyny, jak zresztą wielu innych, wciąż następuje. Kolejnym etapem będzie określenie genetycznych predyspozycji do alergii i ingerencja w ten zakątek ludzkiego organizmu. Pogłębianie wiedzy jest ważne, bo może nie tylko uratować życie, ale także znacznie poprawić jakoś codzienności. Warto zrobić sobie testy na alergię, by zapobiegać ewentualnym przykrym niespodziankom. Takie testy wykonuje i interpretuje lekarz. Nie zastąpią go zaś testy na nietolerancję, które zalewają nasz rynek, nie mając należytej rzetelności diagnostycznej.

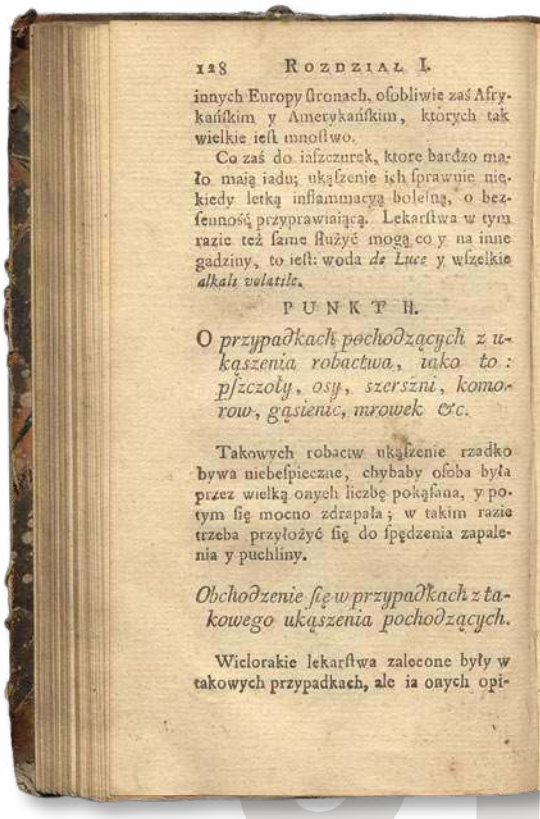

128 ROZDZIAŁ I.
innych Europy stronach, osobliwie zaś Afrykańskim y Amerykańskim, których tak wielkie iest mnostwo.
Co zaś do iaszczurek, ktore bardzo mało maią iadu; ukąszenie ich sprawuie niekiedy letką inflammacyą boleśną, o bezsenność przyprawiaiącą. Lekarstwa w tym razie też same służyć mogą co y na inne gadziny, to iest: woda de Luce y wszelkie alkali volatile.
PUNKT II.
O przypadkach pochodzących z ukąszenia robactwa, iako to: pszczoły, osy, szerszni, komorow, gąsienic, mrowek etc.
Takowych robactw ukąszenie rzadko bywa niebespieczne, chybaby osoba była przez wielką onych liczbę pokąsana, y potym się mocno zdrapała; w takim razie trzeba przyłożyć się do spędzenia zapalenia y puchliny.
Obchodzenie się w przypadkach z takowego ukąszenia pochodzących.
Wielorakie lekarstwa zalecone były w takowych przypadkach, ale ia onych opi-

FOT. U.S. NATIONAL LIBRARY OF MEDICINE: BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl c7862e56a9

Archiwum Akt Nowych

Powyżej: polowanie reprezentacyjne w Białowieży, styczeń 1930 r., prezydent Ignacy Mościcki wysiada z cadillaca. Poniżej: Ignacy Mościcki podczas polowania

POLOWANIA PREZYDENTA MOŚCICKIEGO

W POLSCE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM POLOWANIA BYŁY JEDNYM Z ELEMENTÓW DYPLOMACJI. PODCZAS TAKICH WYPRAW OMAWIANO WAŻNE SPRAWY PAŃSTWOWE. UCZESTNICZYŁY W NICH ZNANE I POWAŻANE OSOBISTOŚCI – POLITYCY II RP I ZAGRANICZNI DELEGACI

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

Prezydent Ignacy Mościcki był zapalonym myśliwym, inicjatorem powstania Polskiego Związku Łowieckiego i tradycji obchodów dnia św. Huberta, patrona myśliwych. Tego dnia organizowano świąteczne polowanie, które rozpoczynało zimowy sezon łowów. Reprezentacyjne polowania prezydent organizował najchętniej w Spale i w Puszczy Białowieskiej. Polował również w Karpatach Wschodnich oraz w lasach podwileńskich. Miał pewną rękę i celne oko, na urządzanych łowach najczęściej bywał mistrzem polowania.

Na polowania, szczególnie do Białowieży, prezydent Mościcki zapraszał również przedstawicieli innych państw, np. parlamentarzystów i członków rządu łotewskiego, polityków włoskich, ambasadora USA Johny'ego Cudahy'ego, regenta Królestwa Węgier admirała Miklósa Horthyego. Spotkania te były zawsze szeroko komentowane przez prasę, również zagraniczną.

Częstym gościem na polowaniach u Mościckiego był premier Prus, „wielki łowczy" III Rzeszy marszałek Hermann Göring. Pierwszy raz przybył do ośrodka reprezentacyjnego głowy państwa w Białowieży w lutym 1935 r. Zażyczył sobie polowania na wilki i rysie. Na polowanie zostali również zaproszeni Władysław Raczkiewicz, generałowie Kazimierz Sosnkowski i Kazimierz Fabrycy, a także kilku krajowych i zagranicznych posłów i ministrów. Takie spotkania politycy wykorzystywali do ważnych rozmów – Göring próbował przekonać Polskę do przystąpienia do paktu antykominternowskiego.

Owocne łowy zadowoliły Göringa, a uprzejmość i gościnność prezydenta Mościckiego zachęciły go do kolejnych wizyt. Polował on w Białowieży aż cztery razy, przy okazji odbywał spotkania z marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym, premierem Sławojem-Składkowskim, Józefem Beckiem i wiceministrem spraw zagranicznych Janem Szembekiem. Na polowania nie przyjeżdżał z pustymi rękami. Zawsze miał prezent dla gospodarza, oczywiście trafiony w gust. Raz był to polski posokowiec hanowerski ułożony do tropienia. W sierpniu 1938 r., znając jego pasję do automobili, niemiecki dygnitarz podobno podarował Ignacemu Mościckiemu samochód Mercedes-Benz, nadający się do jazdy terenowej oraz celów myśliwskich.

Prezydent Mościcki twierdził, że łowiectwo to najlepsza forma odpoczynku. Oprócz polowań „oficjalnych" o charakterze dyplomatycznym często korzystał z wypadów do lasu w wąskim gronie miejscowych leśniczych i myśliwych.

FOT. SHUTTERSTOCK, ZBIORY AAN

eprasa.pl c7862e56a9

WIZYTA OFICERÓW JUGOSŁOWIAŃSKICH W POLSCE W 1929 r.

PIOTR NIEDZIELA

W sierpniu 1929 r. z wizytą w Polsce przebywała delegacja oficerów armii Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. W Narodowym Archiwum Cyfrowym znajdują się fotografie autorstwa Narcyza Witczaka-Witaczyńskiego dokumentujące to wydarzenie.

Jugosłowianie przybyli 2 sierpnia 1929 r. na Dworzec Główny w Warszawie pociągiem z Zebrzydowic. W tej grupie znaleźli się m.in. gen. Emilo Belić, gen. Dragoljub Tasić, płk dypl. Michał Bodi. Wieczorem gości przyjął prezydent RP Ignacy Mościcki na Zamku Królewskim, a potem marszałek Józef Piłsudski w Belwederze. Nazajutrz delegacja gościła u szefa Sztabu Głównego WP gen. Tadeusza Piskora, po czym złożyła wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Podczas pobytu w Warszawie Jugosłowianie zwiedzili Łazienki, Zamek Królewski, Muzeum Wojska, Zachętę, pałac w Wilanowie.

5 sierpnia goście pojechali samochodami do Modlina, gdzie odbywały się ćwiczenia ośmiu pułków saperów. Oglądano m.in. budowę mostu polowego półstałego, budowę mostu pontonowego, przeprawę piechoty na pontonach.

6 sierpnia delegacja wizytowała Fabrykę Broni w Radomiu i Państwową Fabrykę Amunicji w Skarżysku. Obie wytwórnie były nowymi, dynamicznie rozwijającymi się zakładami zbudowanymi tam od podstaw.

8 sierpnia Jugosłowianie wyjechali do Krakowa. Zwiedzali Wawel i Muzeum Narodowe im. Czartoryskich. Oglądali także ćwiczenia saperów, m.in. układanie torów kolejowych. Następnego dnia goście przybyli do Zakopanego. Odbyli wycieczkę do Morskiego Oka. W Tatrach obserwowali ćwiczenia kompanii wysokogórskiej.

11 sierpnia delegacja wyjechała na ćwiczenia 2. Dywizji Kawalerii pod Sochaczewem. Oglądano m.in. przeprawę wojska przez Bzurę. Nazajutrz Jugosłowianie byli na poligonie artyleryjskim pod Toruniem, gdzie odbywały się ćwiczenia pokazowe Centralnej Szkoły Strzelniczej.

13 sierpnia goście przyjechali koleją do Gdyni. Wieczorem motorówkami pływali po Zatoce Gdańskiej. Następnego dnia zostali przyjęci przez dowódcę floty komandora Józefa Unruga, zwiedzili port handlowy i port Marynarki Wojennej.

15 sierpnia w Grudziądzu delegacja uczestniczyła w uroczystej promocji podporuczników w Centrum Wyszkolenia Kawalerii. Nazajutrz Jugosłowianie przybyli do Poznania, gdzie zwiedzali Powszechną Wystawę Krajową. Zorganizowano ją w związku z jubileuszem dziesięciolecia odzyskania niepodległości. Prezentowała dorobek odrodzonej Rzeczypospolitej. 17 sierpnia goście uczestniczyli w ćwiczeniach na poligonie w Biedrusku. Następnego dnia odjechali z Poznania koleją w kierunku stacji granicznej w Zebrzydowicach.

Stosunki między Polską a Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców były autentycznie przyjazne. Współpraca między Polakami a Serbami nawiązana została już w XIX w. Po I wojnie światowej oba państwa były beneficjentami upadku starego porządku, co umożliwiło odbudowę Rzeczypospolitej i zjednoczenie Słowian południowych w jednym państwie. Jednak te dobre relacje nie przerodziły się w sojusz. Wpłynęły na to różnice w położeniu geopolitycznym obu krajów i realia polityki międzynarodowej. Królestwo SHR odczuwało zagrożenie ze strony Włoch i Węgier, które miały bardzo dobre relacje z Polską.

Wizyta oficerów jugosłowiańskich w Polsce w sierpniu 1929 r. miała niewątpliwie znaczenie w kontekście polityki wewnętrznej w obu krajach. 6 stycznia 1929 r. król Aleksander I w reakcji na polityczny kryzys obalił obowiązującą konstytucję i wprowadził królewską dyktaturę. Sytuacja wewnętrzna w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców stała się więc podobna do tej, jaka była w Polsce po przewrocie majowym.

eprasa.pl c7862e56a9

KATARZYNA UTRACKA

1944/TOPOGRAFIA

OD SIERPNIA 2018 r. W MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO MOŻNA ZOBACZYĆ NOWĄ WYSTAWĘ „1944/TOPOGRAFIA. INTERAKTYWNA MAPA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO". POZWALA ONA Z GÓRY SPOJRZEĆ NA PLAN POWSTAŃCZEJ WARSZAWY, BY W PEŁNI ZROZUMIEĆ MILITARNE ASPEKTY JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ ZAŻARTYCH BITEW MIEJSKICH W HISTORII

Głównym punktem wystawy jest podświetlona makieta przedwojennej Warszawy z zaznaczonymi najważniejszymi arteriami, miejscami i budynkami. Na makietę z rzutnika wyświetlana jest animacja przedstawiająca 15 najważniejszych momentów dla powstania. Choć animacja trwa zaledwie trzy minuty, to zwiedzający mogą prześledzić przebieg walk od pierwszych chwil powstania, przez najważniejsze boje, upadek i kapitulację poszczególnych dzielnic i rejonów miasta, po dzień upadku, kiedy broniło się już tylko Śródmieście.

Chodziło o to, żeby uświadomić zwiedzającym, jak trudne zadanie stanęło przed powstańcami. Obszary zajęte przez Polaków nie tworzyły bowiem zwartej całości. Warszawa rozpadła się na odseparowane od siebie ogniska walki oddzielone siłami wroga. Dodatkowo obiekty o znaczeniu strategicznym, takie jak dworce, mosty i lotniska, do końca powstania pozostały w rękach wroga. W takich warunkach powstańcom przyszło przez 63 dni toczyć zażarte boje z przeważającymi siłami nieprzyjaciela.

Mapa w doskonały sposób pokazuje dynamizm walk ulicznych – zmieniające się pozycje sił powstańczych, kierunki ataku Niemców, Armię Czerwoną, która w połowie września 1944 r. zajęła Pragę, oraz desanty żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego na Żoliborz, Powiśle i Czerniaków. Na mapę naniesiono również miejsca alianckich zrzutów, trasy kanałowe, którymi ewakuowali się powstańcy z Ochoty, Starówki i Mokotowa. Zaznaczono też powstańcze reduty, które przeszły do historii powstania, m.in. pałacyk Michla przy ul. Wolskiej, Twierdzę Zmartwychwstanek na Żoliborzu, barykadę w Al. Jerozolimskich czy gmach Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej przy ul. Zielnej. Zaznaczono również bastiony niemieckiego oporu, m.in. Cytadelę, Uniwersytet Warszawski, gmach Banku Gospodarstwa Krajowego u zbiegu Al. Jerozolimskich i Nowego Światu, które utrudniały działania powstańcze, niekiedy wręcz je paraliżując. Uwagę przykuwa niemiecki pociąg pancerny jeżdżący po linii kolei obwodowej między Dworcem Gdańskim a Zachodnim, ostrzeliwujący polskie pozycje na Żoliborzu i Starym Mieście. Uwagę zwracają także biało-czerwone flagi wskazujące miejsca postoju Komendy Głównej AK oraz dowództwa powstania. Można prześledzić, jak wraz z rozwojem sytuacji militarnej w Warszawie zmieniały się miejsca ich stacjonowania.

Przy makiecie znajduje się interaktywny panel dotykowy, na którym można przeczytać krótki opis wyświetlanego na mapie wydarzenia. Zwiedzający może również zatrzymać prezentację, cofnąć ją lub przejść do wybranego momentu powstania. Dodatkowym elementem ekspozycji są umieszczone na ścianie, po obu stronach makiety, fotografie z krótkimi opisami redut powstańczych i bastionów niemieckiego oporu. Są one nie tylko ciekawym elementem graficznym, ale uzupełniają wiedzę zwiedzających o walkach prowadzonych w sierpniu i we wrześniu 1944 r. w Warszawie. Całości dopełniają ciekawe oświetlenie oraz skomponowana specjalnie na potrzeby wystawy muzyka Macieja Dobrowolskiego.

Trzeba zaznaczyć, że wystawa jest czasowa, jednak Muzeum rozważa umieszczenie jej w przyszłości na ekspozycji stałej. Tym bardziej że toczą się prace nad rozbudowaniem jej o dodatkowe treści merytoryczne.

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

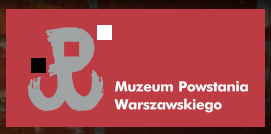

WIĄZANIE HISTORII

Landsbergis u Pendereckiego

PAWEŁ KOWAL

Wielkich artystów postrzegamy poprzez dzieła. 85. urodziny Krzysztofa Pendereckiego upłynęły pod znakiem wielkich koncertów. O Pendereckim i Magdalenie Abakanowicz piszą krytycy sztuki. Tymczasem społeczne lub polityczne konteksty ich życia, często bardzo ważne, zostają gdzieś na uboczu, historycy bowiem łatwo o nich zapominają.

Przykład? Z wielką zmarłą niedawno rzeźbiarką jest tak, że mało kto łączy dzielnego płk. Piotra Abakanowicza z NSZ i jego brata Konstantego – właśnie ojca artystki z nią samą. Oby tak nie było także z Pendereckim. W cieniu urodzinowych obchodów pozostała rola wielkiego kompozytora jako ambasadora Polski w czasach, gdy poprzez muzykę Penderecki przypominał światu: Polska istnieje, jest częścią tego, co dzieje się w światowej muzyce, wtedy awangardowej. Tak było np. gdy artysta komponował „Ofiarom Hiroszimy – Tren" wykonany w 1960 r.

Nieco napisano o ormiańskich korzeniach artysty, o jego utworach nawiązujących do biblijnej tradycji historii Izraela. Mało znany jest za to wkład Pendereckiego w relacje polsko-litewskie. W czasach komunizmu to muzyka była pierwszym drogowskazem trudnych polsko-litewskich dróg do pojednania. W 1966 r. Vytautas Landsbergis był w Jaśle, by spotkać się z Janem Brzezińskim, szkolnym kolegą Mikolajusa Čiurlionisa, znanego litewskiego kompozytora. Za sprawą Pendereckiego młody wtedy pianista w latach 1977–1980 przyjeżdżał z koncertami do Stalowej Woli i Baranowa Sandomierskiego. Bywał na festiwalu Pendereckiego, spotykał polską elitę. Polskie środowisko artystyczne było tradycyjnie aktywne społecznie; rozmówcami Litwina, który stanął potem na czele niepodległego państwa, byli ludzie z kręgów krytycznych wobec komunizmu. W 1980 r. Landsbergis przyjechał na festiwal Pendereckiego w Lusławicach, a potem znalazł się z Kwartetem Wileńskim jeszcze raz w Baranowie. To tam oglądał w telewizji podpisanie porozumień sierpniowych. Zapamiętał, co podkreśla we wspomnieniach, że przeżywał to wydarzenie bardziej niż 1968 r. w Czechosłowacji. Dopiero potem przyszły kontakty polityczne, relacje „Solidarność" – Sajudis. Początkiem trudnej – trzeba to podkreślić i jeszcze niezakończonej – polsko-litewskiej drogi do zgody była muzyka.

Muzyka nie tylko łagodziła obyczaje, ale torowała drogę polityce. Jeszcze raz – urodzinowo: niech żyje Penderecki! ■

GÓRNA PÓŁKA

Trzech za trzech

ANTONI DUDEK

Koniec maja 1947 r. Do nocnego pociągu jadącego w stronę Wrocławia wsiada 40-letni Feliks Lis. Wchodzi do przedziału, w którym wraz z grupą żołnierzy Armii Czerwonej jedzie młoda, przerażona i zapłakana kobieta. Lis dowiaduje się od niej, że została oddana Rosjanom przez męża za butelkę wódki. Wzburzony, stara się zainteresować sprawą konduktora i innych kolejarzy.

Rozpoczyna się ciąg wydarzeń, który swój pierwszy dramatyczny finał znajdzie kilka godzin później na dworcu w Lesznie, gdzie oddział polskich żołnierzy dowodzonych przez ppor. Jerzego Przerwę podejmie próbę uwolnienia kobiety. Sowieccy oficerowie otwierają do nich ogień, ale to Polacy celniej strzelają. Ginie trzech Rosjan, w tym kapitan i major.

Śledztwo bezpieki nadzoruje prokurator Wilhelm Świątkowski – jedna z najbardziej ponurych postaci w dziejach komunistycznego aparatu sprawiedliwości. Akt oskarżenia jest gotowy już po tygodniu, a proces dziewięciu oskarżonych o „gwałtowny zamach na żołnierzy radzieckich" trwa zaledwie dwa dni. Trzech żołnierzy, w tym ppor. Przerwa, zostaje skazanych na karę śmierci i zabitych już 15 czerwca. Feliks Lis, od którego interwencji wszystko się zaczęło, dostaje karę 12 lat więzienia, a podobne wyroki spadają na pozostałych żołnierzy i kolejarzy, a nawet na milicjanta, który zamiast na UB zadzwonił do jednostki wojskowej.

Tak w największym skrócie przedstawia się historia opisana w znakomitej książce Krzysztofa M. Kaźmierczaka, który przez wiele lat odtwarzał wcześniejsze i późniejsze losy ludzi, których połączyła osoba Zofii Rojuk. Tak bowiem nazywała się owa młoda dziewczyna, od której wszystko się zaczęło. Nie postawiono jej przed sądem, ale nie zostawiono w spokoju. Jako niewygodny świadek została wysłana do ZSRS, pozostawiając w Polsce maleńką córeczkę, do której po latach udało się dotrzeć autorowi książki. Podobnie jak do kilkunastu innych osób, bezpośrednio lub pośrednio związanych z dramatem na dworcu w Lesznie.

Poznając ich często skomplikowane losy, ale także kulisy propagandowej kampanii, jaką rozpętały władze komunistyczne, można lepiej zrozumieć, jak w rzeczywistości przebiegał proces, który w PRL-owskich podręcznikach historii nazywano „utrwalaniem władzy ludowej". Reportaż historyczny Kaźmierczaka to książka zasługująca nie tylko na nagrodę, ale i dobry film fabularny. ■

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

Krzysztof M. Kaźmierczak, „Rozstrzelani za uratowanie kobiety", Czerwonak 2018

eprasa.pl c7862e56a9

Pierwsze przymiarki oświetlenia

Ile czytelne pokazanie na jednym zdjęciu dyplomatycznych zabiegów Jeana de Monluca, dzięki którym w 1573 r. polska szlachta wybrała Francuza na króla Polski, jest niemożliwe, o tyle kadr pokazujący skandalizujący charakter Henryka Walezego, czyli kandydata do schedy po Jagiellonach – był już w naszym zasięgu. Żeby sugestywnie oddać emocje księcia z Paryża i dam jego dworu, do projektu zaprosiłem absolwentów Warszawskiej Szkoły Filmowej.

W rolę Henryka księcia d'Anjou bezbłędnie wcielił się Wojtek Węglarski, który z niewymuszonym wdziękiem poddawał się adoracji faworyt dworu. Tak jak francuski władca, ten młody aktor także świetnie jeździ konno, ale tym razem ta umiejętność się nam nie przydała.

Królewskiego blasku dodały na planie piękne damy zagrane przez Dominikę Luizę Sakowicz oraz Ewę Mosakowską. Choć dziewczyny niedawno ukończyły uczelnię, ich profesjonalizmu nie powstydziłyby się starsze koleżanki znane ze scen teatru i kinowych planów. Młode aktorki ucharakteryzowane przez Joannę Wasilewską oraz Klaudynę Pabudzińską-Kossek i ubrane w piękne kostiumy Teatru Wielkiego, dosłownie przeniosły nas w czasie w wiek XVI do Paryża na dwór Walezjuszy. Całości efektu dopełnił fantastyczny Adam Kozal, solista Polskiego Baletu Narodowego, którego znałem wyłącznie od strony zdolności tanecznych, a zaprosiłem do współpracy, kierując się walorami rysów jego twarzy á la Francuz. Aktorski popis dworzanina grającego na instrumencie strunowym ujawnił ogromne pokłady teatralnych możliwości z dużym zacięciem komediowym.

Zabawa bez wina? Nie da się! Młodziutkiego podczaszego zagrał wdzięcznie Xawery Daniel, student wydziału grafiki na PJATK, który ma już na koncie niemały dorobek aktorski.

Zdjęcia wykonał Jacek Szycht, którego projekt fotograficzny „Epoki Warszawy" zapadł mi w pamięci i po latach zaowocował naszą najnowszą, mistrzowską okładką. Ale nie mielibyśmy żadnych szans na osiągnięcie takiego efektu, gdyby nie pomoc jednego z najważniejszych ludzi Teatru Wielkiego Opery Narodowej, czyli dyrektora ds. technicznych, pana Janusza Chojeckiego. Po raz kolejny mieliśmy możliwość wypożyczenia przepięknych kostiumów (tu podziękowania za pomoc dla pani Zofii Mroczek) i rekwizytów, które dodały dworskiego splendoru.

MICHAŁ KORSUN

Fotograf Jacek Szycht i dyrektor artystyczny Michał Korsun

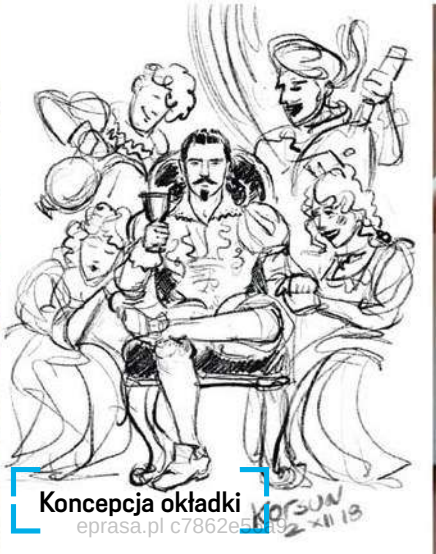

Koncepcja okładki

Charakteryzatorka Joanna Wasilewska w swoim żywiole

eprasa.pl c7862e

Jak biżuteria to tylko od garderobianej Marii Kozy

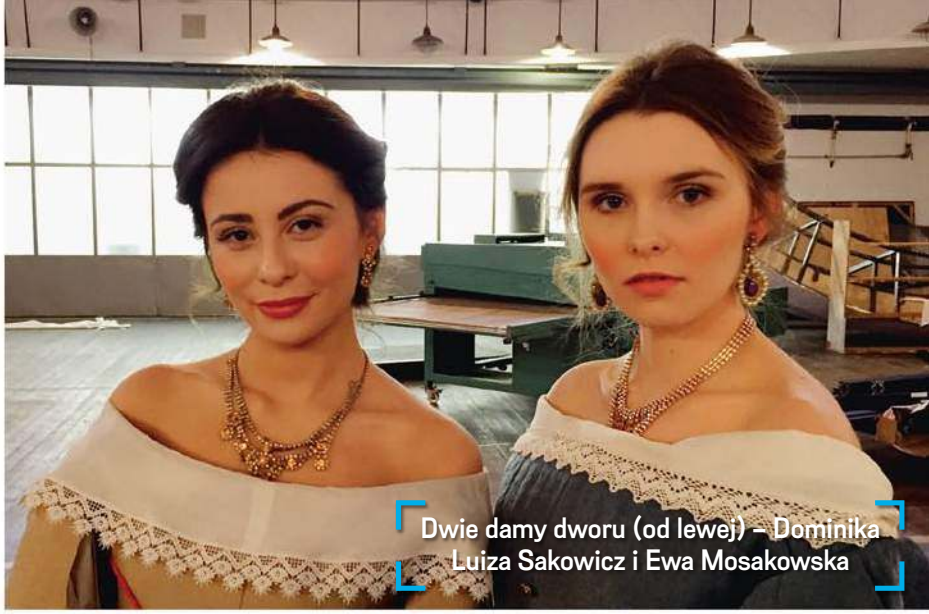
Dwie damy dworu (od lewej) – Dominika Luiza Sakowicz i Ewa Mosakowska

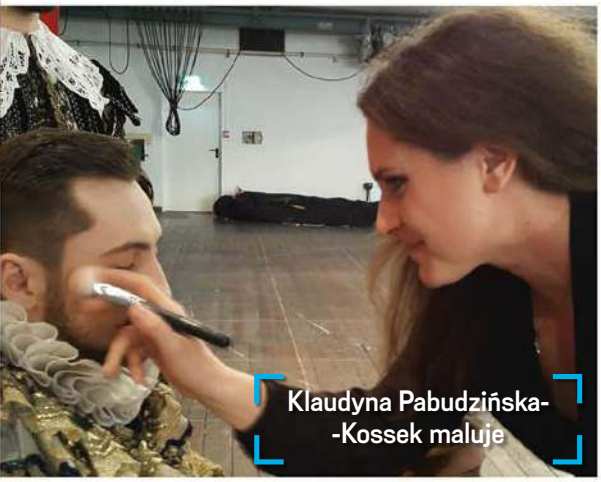
Klaudyna Pabudzińska-Kossek maluje

Solista Polskiego Baletu Narodowego Adam Kozal znalazł odpowiedni kostium

Chwila odprężenia. Z dzbankiem Xawery Daniel

Dominika Luiza Sakowicz i Wojtek Węglarski

Plan zdjęciowy z lotu ptaka

AKCJA „WIENIEC"

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Ciszę warszawskiej nocy 8 października 1942 r. przerwały potężne eksplozje, których huk dobiegał do centrum miasta z czterech stron świata. Ranek za sprawą osób dojeżdżających do miasta koleją przyniósł wieści, które sprawiły, że Polacy stracili powody do narzekania na przerwany sen. Wykolejone niemieckie pociągi i zniszczone tory szybko zostały skojarzone z nocnymi wybuchami. Polskie serca zabiły mocniej na myśl, że w okolicy działają podziemne oddziały zdolne zadawać niemieckiemu okupantowi dotkliwe ciosy. Takim na pewno było sparaliżowanie ważnego węzła kolejowego, jakim była Warszawa, w okresie kluczowych dla Wehrmachtu walk w Rosji. Ciągłość dostaw sprzętu, amunicji i innego zaopatrzenia miała tam dla Niemców fundamentalne znaczenie.

Skoordynowane wysadzenie w powietrze torów wokół stolicy odbyło się w ramach przeprowadzonej przez oddziały saperskie AK akcji „Wieniec". Jej efektem było zatrzymanie komunikacji kolejowej w rejonie stołecznym na kilka do kilkunastu godzin, wykolejenie dwóch pociągów i uszkodzenie dwóch kolejnych lokomotyw. Ponadto zaburzony został przepływ transportu szynowego z dyrekcji opolskiej, poznańskiej i gdańskiej, z których transporty na wschód wiodły przez Warszawę.

Dla AK akcja „Wieniec" okazała się swoistym sprawdzianem i własnych sił, bo była pierwszą przeprowadzoną na tak dużą skalę, i niemieckiej reakcji na działania jawnie sabotażowe. Saperzy wykonali powierzone zadania bardzo sprawnie, żadna z grup nie poniosła strat ani nie wdała się w niepotrzebną walkę. Z drugiej strony próba skierowania niemieckiego śledztwa na sowieckich dywersantów-spadochroniarzy, przez porzucenie na miejscu akcji pod Wawrem rewolweru rosyjskiej produkcji, nie powiodła się.

Tydzień później Niemcy, nie ujawniając tego faktu, rozstrzelali w Puszczy Kampinoskiej 39 Polaków. Następnego dnia w pięciu miejscach na peryferiach Warszawy, w pobliżu torów kolejowych, Niemcy ustawili szubienice. O świcie stracono na nich 50 Polaków, więźniów Pawiaka, z których większość była działaczami komunistycznymi. Rozlepione w stolicy obwieszczenia głosiły, że egzekucja to odwet za wysadzenie torów kolejowych przez „komunistów". W ten sposób próbowano przekonać społeczeństwo, że represje dosięgły wyłącznie sprawców dywersji.

Niemym świadkiem tych zdarzeń jest unikatowy obiekt – stojąca po dziś drewniana szubienica, na której w ramach odwetu zostali straceni nasi rodacy. Jednym z nich był brat mojego dziadka Wacław Skwarczyński. Bardzo trudno trafić do niej przypadkiem. Ulica Mszczonowska, przy której się ona zachowała, mimo bliskości Dworca Zachodniego, jest terenem odludnym. Być może i z tego powodu to miejsce pamięci popadło w ruinę. Otaczający szubienicę płot rozpadł się, metalowe elementy rozkradziono, a pamiątkową tablicę pokryła warstwa brudu. Całkiem niedawno, za sprawą tych samych ludzi, którzy opiekują się miejscami pamięci wzdłuż ul. Wolskiej i całą działalność finansują z własnych środków, sytuacja zaczęła się zmieniać. Kamienna tablica została domyta, zamontowano maszty z flagami, teren został wykarczowany i jest regularnie czyszczony. Obecnie grupa stara się sformalizować swoje działania i zakłada stowarzyszenie, którego jednym z pierwszych zadań będzie doprowadzenie do wpisania ocalałej szubienicy na listę zabytków, by zapewnić temu miejscu ochronę. Zaprawdę kondycja naszego narodu nie jest taka zła, skoro wydaje on takich synów!

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

eprasa.pl c7862e56a9

KRÓLEWSKA WIZYTA
W BAZIE POLSKICH SIŁ POWIETRZNYCH W WIELKIEJ BRYTANII

KONRAD WIESŁAW ŚLUSARSKI

Na przełomie 1940 i 1941 r. Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie były najsilniejszą ze stacjonujących w Wielkiej Brytanii armii krajów okupowanych przez III Rzeszę. Po klęsce Francji każdy wyszkolony żołnierz był niezwykle cenny dla osamotnionych i wciąż zagrożonych niemiecką inwazją Wysp Brytyjskich.

Z pozostałych aliantów silne oddziały miała Holandia, jednak znajdowały się one głównie w koloniach. Francja była rozbita, a po stronie de Gaulle'a pozostawała niewielka część wojsk, które zresztą Brytyjczycy traktowali nieufnie. Armia grecka broniła własnego kraju przed Włochami. Inne państwa (Belgia, Czechosłowacja, Norwegia) miały jedynie symboliczne formacje zbrojne. Pozycję PSZ wśród armii sojuszniczych wzmacniała ich postawa w dotychczasowych walkach, zwłaszcza sukcesy polskich pilotów w niedawnej bitwie o Anglię.

27 stycznia 1941 r. w bazie RAF Swinderby k. Lincoln w środkowej Anglii złożyli oficjalną wizytę król Wielkiej Brytanii Jerzy VI z małżonką królową Elżbietą. Na tutejszym lotnisku stacjonowały najstarsze dywizjony bombowe Polskich Sił Powietrznych: 300. Dywizjon Ziemi Mazowieckiej i 301. Dywizjon Ziemi Pomorskiej. Powstały one w lipcu 1940 r. głównie z pilotów ewakuowanych z Francji. Już od września brały udział w nalotach brytyjskiego lotnictwa bombowego na cele w Niemczech i okupowanej Europie Zachodniej. Wizyta była wyrazem uznania nie tylko dla pilotów obu dywizjonów, ale dla wszystkich polskich lotników walczących z Niemcami.

Na zdjęciu król ściska dłoń członkini polskiej kobiecej służby pomocniczej. Za królem stoi królowa Elżbieta. Podczas wizyty dostojnym gościom towarzyszyli: niewidoczny na zdjęciu dowódca lotnictwa bombowego marsz. lotn. Richard Peirse i widoczny z tyłu (pierwszy od prawej) dowódca 1. Grupy RAF gen. bryg. Robert Dickinson Oxland. Za królem po prawej znajduje się prawdopodobnie brytyjski dowódca bazy w stopniu pułkownika.

Po przystąpieniu do wojny ZSRS i Stanów Zjednoczonych oraz odbudowie w jej końcowej fazie francuskich sił zbrojnych PSZ spadły pod względem liczebności na dalsze miejsce wśród armii alianckich.

Król Jerzy VI jeszcze kilkakrotnie wizytował polskie jednostki wojskowe, m.in. w marcu 1941 r. dokonał inspekcji jednostek I Korpusu stacjonującego w Szkocji, a w lipcu 1944 r. odwiedził we Włoszech wsławiony walkami pod Monte Cassino II Korpus. Za każdym razem okazywał swój życzliwy stosunek do polskich żołnierzy, co pozostało na zawsze w ich pamięci. Niestety, nie przełożyło się to na późniejsze decyzje polityczne rządu brytyjskiego względem przyszłości Polski, na które monarcha miał tylko symboliczny wpływ.

8 czerwca 1946 r. ulicami Londynu przeszła wielka defilada upamiętniająca zwycięstwo. Wśród maszerujących przed Jerzym VI i królową Elżbietą oddziałów znaleźli się żołnierze ze wszystkich zakątków brytyjskiego imperium, a także niemal wszystkich państw sojuszniczych. Choć defilowali m.in. Czesi, Etiopczycy, Grecy oraz Irakijczycy, to zabrakło żołnierzy polskich.

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Król Jerzy VI i królowa Elżbieta podczas powitania z polskim i brytyjskim personelem bazy RAF Swinderby, 27 stycznia 1941 r.

FOT. IPN (AUTOR NIEZNANY)

35/0818/F

eprasa.pl-c7862e56a9

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl c7862e56a9